



BESTIA

Peternelle van Arsdale

Peternelle van Arsdale

BESTIA

Przełożył Paweł Łopatka

 Poradnia K

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

GDY ZAPADA CIEMNOŚĆ

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

LEPIEJ NA KLUCZ ZAMKNIJ BRAMĘ

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

DO DRZWI SKROBIE CICHO

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23

WYSYSA DUSZĘ, MISKĘ WYLIZUJE

Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29

BESTIA STRASZLIWA JEST

Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37

Tytuł oryginału: *The Beast Is an Animal* by Peternelle van Arsdale
Work: Polish Language Translation
copyright © 2019 by Poradnia K
Original English language edition
copyright © 2017 by Peternelle van Arsdale
Published by arrangement with Margaret K. McElderry Books,
An imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage and retrieval system, without permission in writing from the Publisher.

The copyright line for the jacket image is:
Jacket photo © Sarah Ann Loreth/Arcangel Images.

Adaptacja projektu okładki: JOANNA RENIGER
Projekt typograficzny i łamanie oraz zdjęcia na stronach 21, 51, 117, 199, 253: ANNA HEGMAN
Redaktor prowadzący: PAULINA POTRYKUS-WOŹNIAK
Redakcja: JOANNA TARGOŃ
Korekta: MAGDALENA GERAGA, JOLANTA KUCHARSKA

Copyright © for the Polish translation by Paweł Łopatka
Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2019

Wydanie I

ISBN 978-83-66005-38-9

Poradnia K Sp. z o.o.
ul. Wilcza 25 lok. 6, 00-544 Warszawa
e-mail: poradniak@poradniak.pl
www: www.poradniak.pl
Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: sklep.poradniak.pl
Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Bestia straszliwa jest
By skryć się przed jej mocą
Bramę zamknij, inaczej bowiem
Ani chybi dopadnie cię nocą*

*Bestia straszliwa jest
Do drzwi skrobie cicho
Wysysa duszę, miskę wylizuje
I dalej węszy, nienazarte lichy*

*Bestia straszliwa jest
Spiczasty ma podbródek
Pożera nocą, gdy śpisz
Zostawia tylko skórę*

DAWNA RYMOWANKA

TUTAJ ZACZYNA SIĘ OPOWIEŚĆ

Dawno, dawno temu żyły sobie dwie siostry. Przyszły na świat jedna po drugiej, z aksamitnymi czarnymi włosami na doskonale ukształtowanych główkach. Matka rodziła je dwie doby i przeżyła cudem. Nieomal co godzinę akuszerkę ogarniał lęk, że matka odejdzie, a wraz z nią i dzieci. Dziewczynki jednak urodziły się z pełnym wigoru krzykiem, a matka zapłakała z ulgą. Akuszerka ułożyła je w osłabionych matczynych ramionach. Kiedy jedna nagle wysunęła się z uścisku, akuszerka zdążyła ją złapać tuż przed upadkiem na podłogę. Uznała to wtedy za łut szczęścia, lecz niebawem miała gorzko pożałować ocalenia diabelskiej istoty.

To jednak było później. Tymczasem nowo narodzone niepokoiły z innych względów. Dwa zdrowe niemowlęta mogą zdawać się darem niebios, ale w wiosce niemal pustych spizarni i wyschniętych pól narodziny dwóch dziewczynek wzbudziły nie powszechną radość, lecz współczucie. Wieśniacy kręcili głowami, prosząc los, by ów pech się nie rozplecił.

Żałowali ojca. Liczył pewnie, że dostanie syna – jeszcze jedną parę silnych rąk do sadzenia i zbierania plonów. W każdym gospodarstwie potrzebny był zręczny chłopak do naprawy płotu i bronienia kóz i owiec przed wilkami.

Na matkę patrzyli wieśniacy wręcz z politowaniem. Lepiej było nie mieć dzieci wcale, aniżeli wydać na świat dwie dziewczynki. Mówiono nawet, że zrobiła to złośliwie. Do czegoś takiego mogła

się posunąć tylko kobieta harda.

Matka zawsze była cicha, skryta i, pochłonięta ogródkiem, stroniła raczej od ludzi. Dom, w którym mieszkała z mężem, stał najdalej od centrum wioski. Pod ich drzwiami nikt nie przechodził, nikt więc nie wstępował na pogawędkę. Nie miewali gości.

Matka od razu spostrzegła u dziewczynek coś intrygującego. Nie wspomniała jednak o tym nikomu, nawet mężowi. Jednakowe, miały tak samo czarne włosy, tak samo okrągłe szare oczy. I nawet identyczne znamię: plamkę w kształcie gwiazdy na łydce. Ale też coś je różniło. Starsza o parę chwil bliźniaczka sięgała po przedmioty lewą ręką, a młodsza prawą. Starsza miała znamię na lewej łydce, młodsza zaś na prawej. Ich czarne włosy kręciły się tak samo, ale w przeciwnych kierunkach. Dziewczynki były swoim lustrzanym odbiciem – identyczne, a nieidentyczne.

Matka pewnie by się tym nie zmartwiła, gdyby czasy były pomyślne, gdyby mieli obfite plony i pod dostatkiem żywności. Ale że ustały deszcze, a po ostrej zimie nastąpiło suche lato, byle drobnostka napawała niepokojem. Toteż dziwność bliźniaczek wystarczyła, by wzbudzić obawy w sercu matki.

Dziewczynki rosły, a deszcz nie nadchodził. Wzbierały chmury, a wraz z nimi nadzieja w sercach, nie spadła jednak ani jedna kropla. Kiedy lato dobiegało końca, a wieśniacy pogodzili się już z myślą o kolejnej długiej, głodnej zimie, ich niepokój przerodził się w strach, a ten w podejrzliwość. Zadawali sobie pytanie: Co zmieniło się od niedawnego czasu przed posuchą, gdy nikomu nie brakowało jada?

Zdrowy instynkt samozachowawczy kazał matce chronić córki przed nieufnymi spojrzeniami, tak więc długo żyły bezpiecznie. Aż raz odwiedziła ich sąsiadka z koszem jajek, których nie zdołała sprzedać w wiosce. Kury matki rzadko znosiły dosyć jajek, a że mąż je ubóstwiał, zaprosiła sąsiadkę do kuchni, aby się dogadać co do

ceny.

Sąsiadka usiadła przy stole, rozglądając się ciekawie. Z błyskiem zazdrości w oku spostrzegła czystą podłogę, biały fartuch matki i pulchne policzki dziewczynek. Dziewczynki miały ledwie roczek, ale chodziły już i gaworzyły. Sąsiadka przyglądała się, jak starsza sięga po przedmioty lewą rączką, a młodsza prawą. Później zauważyła na ich gładkich krągłych łydkach dziwne znamiona w kształcie gwiazdy. Pod wpływem niejasnego skojarzenia przeszły jej ciarki po plecach. Było to coś dziwnego – doprawdy przedziwnego.

Sąsiadka nie wróciła prosto do domu. Udała się do kowala, który gawędził przez płot z karczmarzem. Chwilę potem szła tamtędy żona Najstarszego i mimowolnie podsłuchiwała, o czym rozmawiają. Rzadko kiedy ciekawiły ją plotki, ale ta wieść była znacząca: jedna z sąsiadek odkryła, co zmieniło się w wiosce od zeszłego roku. Narodziło się dwoje jednakowych dzieci, napiętnowanych gwiazdą przez Bestię. Złego. Tego, Który Powstrzymuje Deszcze.

Ledwie ojciec pod wieczór wrócił z pola i zasiadł z matką do kolacji, posiłek przerwało im stanowcze pukanie do drzwi. Właściwie na długo jeszcze, zanim się rozległo, matka z ojcem usłyszeli zbliżających się do chaty kilkunastu wieśniaków. Spojrzawszy porozumiewawczo na żonę, ojciec wyjrzał przez okno w letni zmierzch. Poprzez cykanie świerszczy dobiegł ich cichy pomruk. Matka podeszła do drzwi, ale ojciec chwycił ją za ramię i powstrzymał. Razem wyczekiwali pukania.

Usłyszeli szuranie nogami na ścieżce wiodącej do schodów. Później ktoś odłączył się od grupy i po chwili zastukał pięścią w drzwi. Ojciec otworzył, by posłuchać, co wieśniacy mają im do powiedzenia.

Wieśniacy zachowali się roztropnie. Nie obwiniali ojca. Stwierdzili, że susza to sprawka czarownicy, on zaś jest niewinnie

pokrzywdzony. Z pewnością nie życzyłby sobie córki, a co dopiero dwu córek, nie mówiąc o dwu córkach naznaczonych przez Bestię. Niewątpliwie więc – uznali – za żonę ma czarownicę, a te jednakowe bliźnięta to owoce jej bezbożnego obcowania z Bestią. Ojciec mógł załatwić rzecz na dwa sposoby: albo wygnać czarownicę z dziećmi, albo odejść z wioski wraz z nimi. Wieśniacy oznajmili, że o brzasku wrócą, by wysłuchać, co postanowił.

Ojciec odczuł chwilową ulgę. Wieśniacy nawet nie wspomnieli o spaleniu jego żony i córek, zdeptaniu ich na śmierć ani utopieniu. Kolejna jego myśl była jednak mniej optymistyczna. Gdyby wygnano go wraz z żoną i dziećmi, wszyscy czworo umarliby z głodu. Nie przyjęto by ich w żadnej innej wiosce, on zaś bez gospodarstwa nie mógłby wykarmić ich zimą. Taka śmierć byłaby wolniejsza niż spalenie, ale też przyniosłaby więcej cierpienia.

Gdy wieśniacy się oddalili, ojciec powiedział do żony, że mogą zrobić tylko jedno. Ona musi odejść z dziewczynkami. Powinny udać się do lasu, nawiedzanego ponoć przez nieludzkie stwory. Ojciec nie wierzył w takie bzdury, ale sąsiedzi wierzyli, wobec czego żaden rozgniewany wieśniak nie odważyłby się pójść za jego żoną i córkami. Ojciec zapewnił matkę, że już za kilka dni je odnajdzie. Później zbuduje im schronienie i regularnie będzie je odwiedzał, przynosząc żywność i drewno na opał, póki nie będą mogły bezpiecznie wrócić do domu. Jak dobrze pójdzie – dodał – deszcz spadnie długo przed pierwszym przymrozkiem. Wieśniacy pojmą, że się omylili, i cała rzecz zostanie zapomniana.

Nazajutrz o świcie wieśniacy patrzyli, jak ojciec wiedzie żonę na skraj wielkiej puszczy. Ramiona matki ugięły się; niosła tyle, ile tylko mogła ubrań i jedzenia oraz ostry nóż i siekiere. Kury musiała zostawić, ale na długim powrozie prowadziła kozę. Ojciec nie ośmielił się ucałować żony ani objąć córek. Kiedy wchodziły do lasu, odwrócił się do nich plecami. Pod wieczór pewna wieśniaczka

przysięgała, że matka, bliźniaczki i koza znikną na jej oczach.

Las był bardzo ciemny.

Pierwsze kilka dni i nocy matka trwała w milczącym popłochu. Dziewczynki, zdumiewająco jak na swój wiek poważne i zdyscyplinowane, wyczuwały chyba, że nie pora na płacz i kaprysy. Znalazłszy suchą jaskinię, matka rozpałała ognisko, a po zachodzie słońca wciąż czuwała. Dziewczynki spały mimo wycia wilków. Koza nie zasnęła.

Piątego dnia, kiedy matka porzuciła już nadzieję, przyszedł ojciec. Odnalazł je, podążając za dymem z ogniska. Przyniósł prowiant i gwoździe – i u wejścia jaskini zbudował szopę. Potem oznajmił żonie, że musi wracać na farmę.

W obawie, by wilki nie dopadły kozy, matka trzymała ją w szopie przy sobie i córkach. Koza dawała mleko, zaś nocami ogrzewała ciałem dzieci, kiedy matka wpatrywała się w drzwi, wyczekując męża, aby zabrał je do domu.

Początkowo mąż przychodził raz w tygodniu. Potem bywał u nich raz na miesiąc. Ilekroć się zjawiał, matka go pytała: „Kiedy wrócimy do domu?”. Jednak nawet gdy spadły pierwsze deszcze i susza się zakończyła, ojciec mówił, że nie jest bezpiecznie, że wieśniacy nadal pamiętają, że ponoć w sąsiedniej wiosce spalono czarownicę. Kiedy matka odrzekła, że przecież nie jest czarownicą, pokiwał tylko głową i się odwrócił.

Z nadejściem piątej zimy w życiu córek ojciec zaprzestał odwiedzin. Odtąd mogły żywić się tylko łykowatą dziczyzną i kozim mlekiem, a matka raz po raz jęczała, co się stanie, gdy kozy nie da się wykarmić. Wypowiadając te słowa, przybierała czujną minę. Dziewczynki mocno tuliły się do kozy. „Prędzej umrzemy z głodu, niż ją zjemy” – powtarzały.

Matka dawno przestała patrzeć na drzwi w oczekiwaniu na męża. Dłuższy czas odwiedzał je już tylko po to, by zostawić prowiant. Nie dotykał jej, na dzieci nie spoglądał. Kiedy zrezygnował z wizyt, matka zastanawiała się, czy nie umarł. Ale uznała, że żyje.

Pewnego zimnego ranka, pod stalowoszarą niebem, matka zamknęła kozę w chacie i milcząc, powiodła córki przez las. Nie chadzały tą drogą od lat, ale znały szlak na pamięć. Późnym popołudniem, kiedy niebo już ciemniało, dotarły do tylnych drzwi gospodarstwa, które dawniej było ich domem. Na pukanie matki w progu stanęła, wzdychając, opasła rumiana kobieta. Po czym do drzwi podszedł ojciec. Na jego twarzy najpierw odmalowało się zdumienie, a później zawstydzenie. Położył rękę na ramieniu kobiety, potwierdzając przeczucia matki. Oto już nie była żoną, a mąż przestał być jej mężem.

Z upływem lat dziewczynki zdziczały, więc stojąc w świetle kominka w przytulnym korytarzu, nie odczuwały niczego poza ciekawością. Gdy uderzył w ich nozdrza zapach duszonego mięsa, ślina napłynęła im gwałtownie do ust. Wspomnienie tej woni towarzyszyło im przez całą drogę do zimnej szopy i odtąd żaden już pokarm nie smakował tak jak dawniej. Ani ciepłe kozie mleko, ani też łowione w zimnym srebrnym strumieniu pstrągi, ani żyłasty królik pieczony na ognisku aż tu i ówdzie szernieje, miejscami przybierając krwistą barwę – nic z tego nie zaspokajało już ich głodu. Dręczące nienasycenie wywracało im żołądki nawet kiedy były najedzone, nawet kiedy tamten gulasz dawno uleciał im z pamięci i nie umiały już przywołać woni strawy z prawdziwej kuchni.

Gdy dziewczynki rosły silne i pełne werwy, matka słabła. Z każdym rokiem spędzonym w lesie pochylały się jej plecy i mętniały oczy. Kiedy córki uganiały się po stokach, wspinały po

drzewach i łapały ryby gołymi rękami, matka nie wychodziła z ciemnej i wilgotnej szopy. Potem zaczęła kaszleć. I nie siedziała już; leżała na boku. Jej oddech świszczął, a skóra zrobiła się przezroczysta.

Z czasem dziewczynki miały coraz mniej wspólnego z matką, a coraz bardziej zbliżały się do siebie i do lasu, lecz i tak doznały wstrząsu, gdy któregoś dnia pod wieczór zastały w chacie matkę martwą. Leżąca przy niej koza podniosła głowę, kiedy weszły, z czarnymi włosami uwalanymi błotem. Gdy patrzyły po sobie zbite z tropu, niejasny odruch człowieczeństwa nakazał im pochować matkę. Długo w noc wykopywały w ziemi głęboką dziurę przy wtórze wycia wilków i szelestu listowia. Gdy starsza siostra syczała przez zęby, w odpowiedzi słyszały warczenie. Ale żaden wilk nie podszedł bliżej.

Dziewczynki żyły dalej same. W nocy koza jak dotąd zwijała się przy nich w kłębek, a nieraz rano, trącając ich twarze pyskiem, przypominała im, jak matka gładziła je po głowie i całowała. Niejasne poczucie rozżalenia przerodziło się w nich z czasem w zawziętość.

Któregoś dnia ruszyły razem w stronę wioski. Już od dawna rozumiały się bez słów. Gdy starsza siostra skierowała się ku chacie ojca, młodsza poszła za nią, nie zadając pytań. Wyczekiwały do zmroku, póki ojciec nie porachuje swoich zwierząt i nie zaśnie głębokim snem przy żonie w ich ciepłym wspólnym domu. Później, zakradłszy się do środka, otworzyły na oścież drzwi obory i drzwiczki do kurnika. Resztę powierzyły wilkom. Wkrótce po żywym inwentarzu ojca zostało tylko trochę piór i kości.

To jednak nie ukoilo bliźniaczek w ich zaciekłym gniewie. Więc w ciągu jednej ledwie nocy, skradając się, pełzając chyłkiem, pootwierały wszystkie klatki i obory we wsi, po czym, przysiadłszy na drzewach, syciły uszy wilczą ucztą.

Gdy w wiosce znów zaległa cisza, wycofały się do leśnej kryjówki. Parę godzin przed świtem leżały czujne, niezdolne zmrużyć oczu. Wtedy też zaszła w nich jakaś zmiana. Coś zamknęło się, a coś innego otworzyło.

Rankiem obie zwęszyły woń strachu. Napełniła je ciepłem, jakiego nie zaznały od mglistych, baśniowych czasów niemowlęctwa, gdy jeszcze sypiały w łózkach. Uznały, że nadeszła pora, aby odwiedzić ojca.

Słońce kryło się za horyzontem, kiedy szukając ojca, szły przez jego pola. Błoto i liście były już dla sióstr jak druga skóra i włosy, gdy więc zbliżyły się do ojca na wyciągnięcie ręki, ten szeroko rozwarł oczy w strachu na widok kobiet ulepionych z ziemi. Gdy z westchnieniem otworzył usta, starsza siostra wciągnęła w płuca jego trwożę, a włoski na jej ramionach uniosły się z rozkoszy. Ojciec przebiegł dłońmi po swych piersiach, jakby szukając czegoś, co zgubił, po czym padł na wznak, martwy, na swoim własnym polu.

Młodsza siostra musnęła prawą ręką twarz starszej. Oczy starszej na chwilę pociemniały, po czym znów zajaśniały szarością.

Starsza siostra wzięła młodszą za rękę i poszły spotkać się z rumianą kobietą. Gdy młodsza siostra zapukała, kobieta otworzyła im drzwi. Jej strach wydawał ostry odór skwaśniałego mleka. Przed młodszą siostrą objawił się namacalnie prosty umysł – i licha dusza, wręcz domagająca się pożarcia. Więc ją pożarła. Wchłonęła złęknioną duszyczkę tak jak ciepły obiad. Kobieta zrobiła to, co mąż – chwyciła się za piersi, jakby jej odebrano coś cennego, i padła trupem na kuchenną podłogę. Spoglądając na martwą kobietę, młodsza siostra poczuła, że wciąż jest głodna. Gdy wróciła ze starszą do domu, ich nienasycenie wzrosło.

Nazajutrz, zaczekawszy, aż zapadnie noc, gęsta i czarna, siostry wróciły do wioski.

Zbliżając się tam, zaskoczone ujrzały na polu dziewczynę –

właściwie jeszcze dziecko – która jakby na nie czekała. Nie była podobna do ich ojca ani do rumianej kobiety. Kiedy na nie spojrzęła, nie dostrzegły w jej oczach strachu. Przyglądała im się ciekawie i tyle. Ciekawość... Dziewczynka obudziła w nich wspomnienie, jak były dziećmi w tej wiosce. Postanowiły więc zostawić ją w spokoju – w ogóle nie tykać dzieci. To przerażonych dorosłych, tych, którzy oskarżali, którzy wygnali, każdego starszego od siebie wyszukiwały bliźniaczki. Strach ich wyczuwały tak jak dym w powietrzu. Miały jakby ten strach ukoić. Odebrać go tym ludziom.

Kontynuując dzieło, siostry odwiedziły wszystkie domy we wsi.

Dzieci zostawiły śpiące w łóżkach, a dorosłych martwych, bez duszy. Kradły więc, czego kraść nie wolno, zostawiając w wydartych miejscach pustkę, nieobecność. W kolejnych latach ta nikła przestrzeń miała się poszerzać, powiększać o kolejne dusze. Siostry jednak o tym nie wiedziały.

Wreszcie się nasyciły. Gdy księżyc zawisł nisko na niebie wśród przygasłych gwiazd, wyruszyły do domu poprzez srebro liści, muskając stopami ściółkę, jakby coś je niosło.

Gdy siostry zbliżyły się do szopy, zwąchały krew, cierpienie i strach – lecz dla nich przykry, więc przyspieszyły kroku. Drzwi szopy były rozwarte. Czyżby stara koza uchyliła je nocą pyskiem? W miejscu, gdzie nieraz kładła się, gdy przyświecało słońce, ujrzały gęstą kałużę jej krwi. Truchło powlokły gdzieś wilki.

Starsza siostra nie poczuła niczego. Młodszej pamięć podsunęła cień smutku, który jednak w okamgnieniu uleciał. Oto już nie były dziewczętami ani kobietami. Stały się kimś, czymś innym. Stwierdziły, że właściwie nie trzeba im już jadła ani wody. Świat obfitował w bojaźliwe dusze, które czekały tylko na pożarcie – a one wciągały je w płuca bez najmniejszego wysiłku.

Na imię miały Angelica i Benedicta. I były pożeraczkami dusz.



CZEŚĆ
PIERWSZA

Gdy
zapada
ciemność

Noce dłużyły się Alys.

I zawsze były jednakowe. Matka kąpała ją i wkładała jej przez głowę flanelową koszulę nocną. Układała Alys w płóciennej pościeli, pod wełnianymi kocami, które krępowały jej niespokojne ruchy. A potem więziły ją do rana mrok, cisza i bezsenność.

Alys tęsknie patrzyła za mamą, gdy ta wychodziła z pokoju. Mama odwracała się, uśmiechała do niej i zamykała za sobą drzwi, tłumiąc blask ognia z ciepłej kuchni. Alys wyobrażała sobie, że ojciec siedzi tam z fajką w ustach, z nogami przy palenisku. Później leżała w łóżku, słuchając odgłosów domu – szmeru rozmów rodziców, brzęku naczyń, kroków na drewnianych podłogach.

A potem ciszy.

Słyszała, jak oddychają. Słyszała ciche westchnienia mamy, chrapanie, a czasem jęk taty.

Alys miała już siedem lat, a zawsze była taka, odkąd pamiętała. Panicznie lękała się nocy.

Gdyby tylko pozwolili jej wstawać. To świadomość, że musi tkwić w łóżku, sprawiała, że nie mogła zasnąć. Słyszac, że ma spokojnie leżeć i spać, Alys czuła przemożną chęć sprzeciwu. Jej powieki rozwierały się szeroko i tak zostawały. Jako jedynaczka nie miała porównania, mówiono jej jednak, że jeśli chodzi o spanie, jest dziwna, bo każde dziecko poddaje się snowi, kiedy przychodzi na to pora. Alys tak nie umiała.

Alys postanowiła, że dziś będzie inaczej. Dzisiaj, kiedy w powietrzu niosły się pochrapywania i westchnienia, chciała na

zawsze wyrwać się z niewoli nocy. Ta noc miała się potoczyć tak, jak ona zechce.

Na wszelki wypadek czekała długo po zapadnięciu ciszy. Potem opuściła nogi na zimną drewnianą podłogę. Lato dobiegało końca, zbliżały się żniwa i choć dni były jeszcze ciepłe, czuła już zapach jesieni. Wyszukała grube pończochy, trzewiki i wełnianą sukienkę. Należała do dzieci, którym nie trzeba mówić, w co się mają ubrać. Mama nieraz chwaliła ją za rozsądek.

Teraz jednak Alys nie zamierzała być rozsądna. Tej nocy niemądrze było wypuszczać się z domu. Czuła to, ale też nie mogła się powstrzymać. Zaplanowała to już, więc po tak długim czekaniu, po tak długiej niewoli nie miała zamiaru znów odwlekać sprawy. Nie mogła czekać. Nie chciała. Nawet mimo tego, co wczoraj w nocy spotkało farmera i jego żonę, i tego, że nocy przedwczorajszej wilki zjadły w wiosce Gwenith wszystkie kury, kozy i konie. Alys żałowała maminych kurek. Były urocze i ciepłutkie, gdy brała je na kolana, i składały takie śliczne jajka.

Alys słyszała, jak rodzice rozmawiali o farmerze i jego żonie, tych umarłych. Mieszkali oni daleko, na skraju wioski, prawie przy samym lesie. Według mamy znaleziono ich tylko dlatego, że ktoś stwierdził, iż farmer mógłby wiedzieć, gdzie się podziały zwierzęta. Mówiła, że krwawa rzeźnia to sprawka czarownicy, a właśnie tam mieszkała dawniej czarownica z córkami bliźniaczkami. Tato odparł, że jeśli ktoś miał za żonę czarownicę, to nie znaczy, że jego druga żona też nią będzie. Mama odrzekła, że chyba jednak znaczy, bo co innego zabiłoby farmera? Poza tym śmierć jej kur to dowód, że wszyscy zostali ukarani za skryte, kto wie, jak nieczne postęпки małżonków. Wtedy tato zerknął na mamę, a mama zorientowała się, że Alys słucha i... no i tyle.

Alys powinna była bać się wilków i samej myśli, że farmer wziął sobie za żonę czarownicę, ale się nie bała. Alys, prawdę

powiedziawszy, nie bała się niczego, nigdy. Z rymowanek najbardziej lubiła makabryczne. O tym, jak Bestia wysysa z ludzi duszę, zostawiając tylko chrząstki i skórę. Takie właśnie upodobała sobie Alys. Gdy jej przyjaciółka Gaenor zamykała z piskiem oczy i zasłaniała sobie uszy, Alys śmiała się i śpiewała dalej. Czasem przyrzekała Gaenor przestać, a gdy tamta ufnie odsłaniała uszy – ciągnęła:

Bestia na cię popatruje

Gdy mocno śpisz

Więc otwórz się

I zaproś ją do siebie

Ojoj – mamcia zapłacze.

Alys wymknęła się z pokoju, nasłuchując oddechu rodziców. Później przeszła przez kuchnię i – nim zdążyła zmienić zdanie – wymknęła się z domu drzwiami kuchennymi.

Wokół było chłodno i wilgotno i nic jej nie ograniczało. A niebo... Ach, to niebo! Wprost przepelniały je gwiazdy.

Urzeczona Alys patrzyła w niebo. Rozglądając się, próbowała ogarnąć najdalsze jego krańce. Przenikała ją radość swobody; kiedy wszyscy we wsi spali, ona nawet nie starała się zasnąć. Pomyślała, że gdyby mogła spędzać noce tak jak teraz, już nie miałyby powodu się ich lękać.

Stojąc w ogrodzie rodziców, Alys znowu poczuła się osaczona. Za jej plecami wznosił się dom, a po obu stronach kurnik i obora. W mroku czaiły się domy sąsiadów. Zapragnęła znaleźć się na zarośniętym wysoką trawą polu, którego krańce tonęłyby w ciemności. Alys dobrze wiedziała, gdzie znajdzie takie właśnie pole. Musiała tylko dostać się do drogi, ruszyć nią i opuścić wioskę.

Czekało na nią tam, wielkie i szerokie, ograniczone tylko lasem, większym jeszcze i o wiele szerszym.

Nogi niosły ją przez ciemność. Raz po raz wyciągając ręce, czuła, jak ją owiewa nocna aura. Alys była sama, ale nie samotna.

Wreszcie dotarła do pola i weszła na nie. Wysokie trawy ocierały się jej o sukienkę, nawet mimo pończoch drapały, łaskotały skórę. Granice wokół niej przestały istnieć. Gdy już znalazła się pośrodku pola, spojrzała w górę, na gwiazdy. Z nieba – wywróconej bezmiernej misy – gwiazdy lały się na nią jak drobinki światła. Napawając się nimi, szeroko otwierała oczy.

Kobiety najpierw wyczuła, dopiero później zobaczyła.

Nie hałasem przyciągnęły jej uwagę, lecz bezdźwięcznością – były jak niematerialne. Ale miały ciało. Te kobiety. Te kobiety z błota i liści. Płynąc poprzez trawę, spostrzegły Alys rozwartymi szarymi oczami, które jarzyły się nawet nocą, oświetlone jakby od środka.

Mimo to Alys się nie bała. Jednak była zaciekawiona. Dotąd nie widziała takich kobiet. Nie pochodziły z wioski, a w każdym razie z żadnej z wiosek, o których było jej wiadomo. Na przyjezdne też nie wyglądały. Przyjezdni wyglądali dziwnie, ale te kobiety jeszcze dziwniej. Alys przyszło do głowy, że przypominają bardziej drzewa niż kobiety.

Zbliżyły się, stanęły przy Alys, po obu jej stronach, każda kładąc jej na ramieniu dłoń całą z błota i gliny. Były szczupłe i niewiele wyższe od niej, uzmysłowiła sobie jednak, że to wcale nie kobiety, tylko jeszcze dzieci. Dziewczynki. Starsze od niej, ale chyba niewiele. Tak czy siak na pewno nie matki.

– Jak ci na imię? – spytała jedna, a zabrzmiało to, jakby spytały chórem. Alys przemknął niby prąd po plecach, drżąca nić łącząca ich dłonie.

– Alys.

– Idź spać, Alys – odrzekła druga.

Na te słowa Alys poczuła, jak opadają jej powieki, tak jakby ktoś zaciągał zasłonę na jej oczach. „O, nie – pomyślała – nic z tego”. Prędko zadarła zasłonę, otwierając oczy szerzej.

– Ale mnie się nie chce spać – odpowiedziała.

– W tej nie ma lęku, Benedicto. – Dziewczyna obwąchała Alys. Tak samo obwąchiwał ją pies Gaenor.

– Rzeczywiście go nie ma, Angelico.

Benedicta. Angelica. Alys w życiu nie słyszała takich imion. Stwierdziła, że są piękne. I piękne były one same, te sowydziesiątki dziewczęta o długich ciemnych włosach, w które się zaplątały niezliczone liście i gałązki.

Wtem poszły sobie. Tak prędko, jak się zjawily, dziewczęta odleciały w swoją stronę. Z pola w mrok, znikając w dali, zostawiając Alys zdezorientowaną.

Alys obudziła się na zarośniętym polu, z wilgotnymi od rosy włosami i ubraniem. Niebo nad nią było pogodne, przejrzyste błękitne. O świcie zdarzało jej się czasem zdrzemnąć. Kiedy rodzice byli już na nogach, a niebo nie przybrało jeszcze nawet granatowej barwy, udawało jej się zasnąć bez trudu, świadomej, że świat wokół się budzi. A że nigdy nie spała tak długo, zerwała się w panice, pewna, że rodzice jej szukają.

Wstała i pobiegła ku drodze. Gdy wędrowała nią wczoraj, nie przyszło jej do głowy, że tak bardzo oddali się od domu... Dyszała i piekło ją w piersiach. Prócz swego oddechu i bicia serca nie słyszała niczego, gdy raptem dotarło do niej, że coś jest nie tak. „O tej porze wieś tętni życiem. Powinna więc słyszeć skrzypienie wozów, brzęk młota uderzającego o kowadło, głosy kobiet nawołujących dzieci, donośne okrzyki mężczyzn. A tu nic. Nawet śpiewu ptaków”. Ta cisza była głębsza i bardziej nieprzenikniona od tej, którą czuła Alys, gdy nie mogła zmrużyć oka w długie noce.

Gdy Alys przystanąła, niezdolna pójść dalej, usłyszała coś za plecami – koła wozu, który skądś zmierzał w stronę Gwenith. Obróciwszy się, zobaczyła, jak nadjeżdża. Kryty wóz prowadzony przez mężczyznę, ciągnięty przez dwa siwki.

Mężczyzna miał naciągnięty na czoło kapelusz z dużym rondem, a długie rude włosy unosiły mu się nad ramionami jak łopoczące skrzydła. Widząc Alys, ściągnął lejce i się zatrzymał.

– Hej, mała – zagadnął. – Oddaliłaś się od domu.

– Tak – odpowiedziała Alys. – Ale właśnie tam idę.

– Nie goń już tak, nóg szkoda. Wskakuj, a cię zawiozę. Tylko pokaż mi, któreśdy.

Alys podeszła do wozu i spojrzała na mężczyznę. Oczy miał ciemnozielone jak mech i rude włosy, ale brodę poprzetykaną bielą. Uśmiechnął się do niej. Jego życzliwa twarz spodobała się Alys.

– Mhm – odparła Alys. – Dobrze.

Podał jej rękę i po chwili umościła się na siedzeniu obok niego.

– Jestem Alys – przedstawiła się mu.

– A ja Pawł, nadobna Alys. – Mężczyzna uchylił kapelusza.

Uśmiechnęła się na to. Był miły. I tak ładnie się do niej zwrócił. „Nadobna” zabrzmiało jak z bajki.

– Mój dom jest tam, ten trzeci z lewej, zaraz za kowalem. Mama z tatą pewnie się okropnie martwią, tak że chciałabym tam dotrzeć w miarę szybko.

Pawł skinął głową i zmrużył oko, jakby ich łączyła tajemnica.

Kiedy byli coraz bliżej wioski, w Alys rósł niepokój. Nie wiedziała, czego bać się bardziej – gniewu rodziców czy osobliwej ciszy, która jakby zapadła nad wioską.

– Strasznie dziwne – rzekł Pawł. – Jak tu cicho, prawda?

– Mhm – zgodziła się Alys. – To chyba dlatego, że zwierzęta zdechły i w ogóle.

Pawł uniósł rude brwi.

– Jak to: zdechły?

– No napadły je i zjadły wilki.

Pawł gwizdnął.

– Aha, więc nie dziwota, że tak cicho. – Potrząsnął głową. – W życiu o czymś takim nie słyszałem. Nie zamknęli drzwi obór? Ani klatek?

– Zamknęli – odrzekła Alys.

- Więc w jaki sposób, według ciebie, dostały się tam wilki?
- Najstarszy mówi, że to sprawka Bestii – odpowiedziała Alys.

Pawł spojrzał na nią w zadumie.

- Nie spotkałem się jeszcze z wilkiem, który kogokolwiek słucha.

A ty?

Alys pokręciła głową.

- Nigdy w życiu nie spotkałam wilka.

– Nie? Więc coś ci powiem. Nigdy nie słyszałem, żeby wilki umiały otwierać drzwi obory. – Pawł cmoknął językiem. – Oj, Beti pewnie się pogniewa. – Spojrzał na Alys. – Beti to moja żona.

- Czemu ma się na pana złościć?

– Brak żywego inwentarza w Gwenith oznacza tłum niezadowolonych ludzi, którzy raczej nie zechcą ze mną pohandlować. Jako wędrowiec, nadobna panienko, muszę się wymieniać z ludźmi z twojej wioski. Z tego żyję. A jeśli do Krainy Jezior, skąd pochodzę, wrócę z pustymi rękami... to, jak mówiłem, moja Beti nagada mi do słuchu.

– Rety – westchnęła Alys, niepewna, co o tym myśleć. Wiedziała, że Kraina Jezior jest daleko, a pochodzący z niej wędrowcy są dziwni. Ubierają się osobliwie i nie cheszą, a poza tym robią rzeczy, o jakich dorośli mówią szeptem, myśląc, że nikt ich nie podsłucha. Rzeczy, których Alys nie bardzo rozumiała. Teraz jednak Alys chciała być czym prędzej w domu. Koniecznie musiała się wysiusiać, a im bardziej się lękała, co usłyszy od rodziców, tym większy ogarniał ją niepokój, że popuści w wozie.

- Tam mieszkam – powiedziała. – O, tam.

Pawł zajechał pod dom, ale Alys nagle odechciało się wysiadać. Coś odciągało ją od wejścia. Wiedziona gwałtownym przecuciem, mocno przywarła do siedzenia.

- Chcesz, dziecko, żebym ci towarzyszył? Może przy mnie łatwiej

by ci było dogadać się z rodzicami...?

– Tak – odparła Alys. – Chyba.

Lecz nie tego chciała. Alys pragnęła teraz zatrzymać świat i wcale tam nie wchodzić. Tymczasem Pawł zsiadł już z wozu i postawiwszy ją na ziemi, zastukał do drzwi.

Daremnie.

Zastukał znowu, mocniej. Mocniej, niż kiedy się stuka, wiedząc, że ktoś jest w domu i usłyszy. Jednak wciąż na próżno.

– Może wejdźmy – zaproponował. Nacisnął klamkę i przekroczyli próg domu. Panowała w nim głucha cisza. I chłód. Alys zadygotała. Kuchnia była pusta, a palenisko wygaszone. Wpadający przez okna blask słońca zdumiewał jaskrawością. Wszystko wyglądało niecodziennie. Alys wyczuła, że Pawł jest zbity z tropu tak jak ona. Zerknął na nią z nieswoim uśmiechem i rzekł:

– Zaczekaj tu, pójdę się rozejrzeć.

– Za czym? – nie zrozumiała Alys.

Pawł otworzył i zamknął usta. Po czym znowu je otworzył.

– Rozeznam się w sytuacji.

Alys usiadła na krześle przy kuchennym stole w oczekiwaniu na Pawła. Patrzyła na blat, upiorne kółka po kubkach na herbatę i długie rysy od noża.

Dobiegały ją odgłosy kroków Pawła, niespiesznych i miarowych. Usłyszała, jak otwiera drzwi, idzie dalej i się zatrzymuje. Wtem zawisła w powietrzu jedna nuta – ni to okrzyk, ni to westchnienie. Alys zerwała się na równe nogi i podążyła w tamtą stronę.

Pawł stał przy łóżku rodziców, na którym Alys zobaczyła leżących mamę i tatę, znieruchomiałych. Od razu wiedziała, że nie żyją. Tak samo jak wiedziała, że nie żyje stary pies Gaenor, gdy znalazły go pod tylnym gankiem. Śmierć miała w sobie po prostu coś odmiennego od życia.

Alys nie odzywała się, ale Pawł i tak odwrócił do niej głowę.

– Nie, dziecko. Nie, nie. Nie wolno.

Alys podbiegła do mamy i ujęła ją za zimną rękę. Lecz to już nie była ręka mamy ani nie była to mama. Mama odeszła i pozostało tylko ciało, wyzute ze wszystkiego, co najważniejsze. Została sama powłoka, nicość. W głowie Alys rozbrzmiała piosnka – której poprzysięgła sobie nie zaśpiewać już nigdy.

Bestia straszliwa jest

Spiczasty ma podbródek

Požera nocą, gdy śpisz

Zostawia tylko skórę.

Pawł usiłował przekonać Alys, by została w wozie, gdy on pójdzie szukać pomocy, lecz Alys odmówiła. Gdy kurczowo przywarła do jego ręki, chwycił ją za rączkę z całej siły. I tak zostali.

Pawł załomotał w pierwsze drzwi, na które się natknęli. Walił w nie i walił, a Alys, choć pogubiona, wyczuła, że boi się on coraz bardziej. W sercu zaś czuła tylko ziać i trzęsąc się od niego, szczekała aż zębami.

Gdy usłyszeli szuranie nóg za progiem, Alys wyczuła ulgę Pawła przez skórę jego dłoni.

Drzwi otworzyła Enid. Jako piętnastolatka, w porównaniu z Alys była prawie dorosła. Rozczochrana, w nocnej koszuli, przecierała oczy jak dziecko.

– Przepraszam. – Zrobiła taką minę, jakby nie bardzo wiedziała, za co przeprasza, ale czuła niezręczność sytuacji.

– Twoi rodzice – rzekł Pawł. – Gdzie są?

– Oni... – Enid urwała i obejrzała się za siebie, po czym znów skierowała wzrok na Alys i na Pawła.

– Dziecko – spytał Pawł za głośno – coś nie tak? Wszyscy w domu zdrowi?

Enid wyglądała jakoś dziwnie. Alys dopiero po chwili pojęła, co to sprawia. Najpiękniejsze w Enid były oczy, bladobłękitne jak niebo o brzasku. Ale dziś zasnuwała je czerń, tak że tęczęwki ledwie wyzierały spod bezdennych źrenic. Nie mówiąc słowa, Enid zapatrzyła się na Pawła, który ją ominął, pociągając za sobą Alys.

Gdy wszyscy się znaleźli w kuchni, przystanął i zwrócił się do

Alys:

– Tym razem musisz mnie usłuchać, dziecko. Zostań tutaj, a ja się rozejrzę.

Alys nie sprzeciwiła się, nie chciała. Znowu spojrzała na Enid, która stojąc we własnej kuchni, zdawała się nie wiedzieć, gdzie jest. Potem Alys przypomniała sobie o rodzeństwie Enid. Uniosła wzrok na sufit, jakby miała ich przezeń zobaczyć.

Zbliżyła się do Enid i ujęła jej zlodowaciałe dłonie. Enid była taka duża, a ona taka malutka. Alys nie mogła już znieść tego, że poza Pawłem tylko ona w tej wiosce nie śpi. Zrobiła więc jedyną rzecz, którą uznała za słuszną. Wypatrzywszy dzbanek z wodą, jaki można znaleźć w każdej kuchni, wzięła go i ochlapała Enid.

Dziewczynka pisnęła i zadrżała, a kiedy Alys popatrzyła na nią znowu, jej oczy były już nie czarne, lecz niebieskie – i Alys od razu poczuła się mniej samotna.

Otarłszy oczy, Enid spojrzała na Alys tak, jakby się nie znały.

– Moi rodzice? – zapytała. – Gdzie są?

Rodzice Enid nie żyli, tak jak rodzice Alys. I tak też było w każdym domu, wszędzie. Pawł nie pukał już nawet, tylko wchodził frontowymi drzwiami i znajdował wszystkich. Nastoletnie i młodsze dzieci żywe, głęboko uśpione. Rodzice, starsze rodzeństwo, ciotki, wujków, babcie, dziadków... martwych. Pustych w środku. W ciągu jednej nocy Gwenith stała się wioską sierot i opróżnionych skorup.

Nie przerywając snu sióstr i braci, Enid powiedziała do Pawła, że trzeba zbudzić Madoga. Też miał piętnaście lat i był jej przeznaczony. Przebudziwszy się, Madog tak samo pozwolił spać swym dwu siostrom i wraz z Pawłem, Alys i Enid udał się do kuchni w domu Alys. Pawł milczał, dzieci podobnie. Przestraszeni Enid

i Madog trzymali się mocno za ręce. Tak jak Alys ścisnęła dłoń Pawła.

Alys w końcu dopadł prawdziwy lęk. Nie przypuszczała, że może bać się bardziej niż wtedy, gdy ujrzała mamę z tatą leżących w łóżku, zimnych i martwych. Ale gdy ranek się przeciągał, a słońce wyostrzało kształty, jej przerażenie rosło. Kojąca z początku obecność Pawła, Enid i Madoga zawadzała jej, zwłaszcza że wszyscy troje byli wystraszeni.

Pawł nakazał dzieciom usiąść i zaczął przemierzać kuchnię. Ciężko tupiąc, przystawał raz po raz i podnosił wzrok na sufit.

Cofnął się, pokręcił głową. W końcu spojrzał na nich.

– Nie ma innej rady. Musicie zatroszczyć się o siebie, gdy ja pójdę po pomoc.

– Pomoc? – zdziwił się Madog. – Najbliższa pomoc to Defaid, całe dwa dni drogi.

Madog wydawał się dotąd Alys taki męski; na brodzie jeżył mu się już złocisty zarost, a ramiona i plecy miał silne od pracy na gospodarstwie. Teraz jednak miał oczy dziecka. Okrągłe.

– Wiem – odrzekł Pawł. – Ale nie mam drugiego wozu, a na piechotę was tam wlec nie mogę. Co drugie by padło. We wsi jest was z pięćdziesiątka, nie tak?

Madog nie odpowiedział, tylko skinął głową.

– A co z niemowlętami? – zapytała Enid. – Jak się nimi zaopiekować? W wiosce mamy co najmniej dziesięcioro dzieci przed drugim rokiem życia. Nie mówiąc o trzy-, cztero- i pięcioletnich szkrabach, które będą biegać samopas, przerażone.

Pawł podrapał się po siwo-rudej brodzie.

– No tak, racja. – Pojaśniał. – Ich nie budźcie.

– Nie budzić? – zapytała Enid. – A jeśli zbudzą się same? I zaczną pytać, gdzie jest mama z tatą? Albo domagać się mleka, a przecież ja

go nie mam...?

– Na to nie znam odpowiedzi, dziecko, ale powiem ci co innego. Ktoś rzucił na was urok. Wątpię, żeby te maluchy mogły się obudzić same. Zostawcie je w spokoju i bądźcie dobrej myśli. Całą tę wieś – machnął ręką, zataczając krąg w powietrzu – spotkało coś bardzo złego. Im szybciej więc was stąd zabiorę, tym mniej będziecie zagrożone. Najlepiej jeśli ruszę sam do Defaid i sprowadzę ilu tylko zdołam ludzi z wozami po te śpiące dzieci.

Wtem odezwał się Madog:

– No a co... z ciałami – rzekł to obojętnie, jakby chciał oderwać się od słów i sensu.

– Pozamykajcie drzwi i nie ruszajcie zmarłych – odrzekł Pawl. – Oby nie zrobiło się cieplej. – Spuścił wzrok na podłogę.

Alys zerkała raz na złąknionego Madoga, raz na pobladłą Enid. Potem, spojrzawszy na Pawła, błyskawicznie oceniła sytuację.

– Jadę z panem.

Pawł starał się przekonać Alys, by została z Enid i Madogiem, ale ona, czując, że nie będzie miała serca jej odepchnąć, przyłgnęła do niego z całej siły. Nakazał jej więc spakować ubranie i się pospieszyć.

Wyruszyli wczesnym popołudniem. Pawł powiedział, że chce przystawać tylko, by dać wytchnienie koniom, że będą się bardzo spieszyli. Mówiąc to, przeczesał wzrokiem leśną gęstwę po obu stronach drogi. Alys spojrzała tam, gdzie on, pomiędzy drzewa. Owinęła się szczelniej paltem mamy, które w ostatniej chwili ściągnęła z haka w kuchni. Pachniało troszkę mamą i troszkę też śniadaniem.

Po kilku godzinach Pawł zatrzymał się, by napić konie w strumieniu nieopodal drogi. Pogmerał w worku i dał Alys odrobinę suszonego mięsa, kawałek sera i jabłko. Alys usiadła na głazie, a on na pniu, ale zaraz wstał i spojrzał na nią, potem w głąb lasu i znowu na nią.

Bał się. Alys zapomniała o strachu, gdy zostawili za sobą wioskę. Jego miejsce zajęło w jej piersi dziwne brzemie, jakby niosła tam nieznośnie ciężki kamień. Strach Pawła udzielał jej się jednak, przebiegając niczym prąd po plecach, jakby ktoś wodził po nich paznokciem.

Kiedy Alys skończyła się posilać i wstała z głazu, Pawł czekał już przy wozie, by ją podsadzić. Zaraz też ruszyli w dalszą drogę, a pod wieczór, gdy przygasło słońce, Pawł zaczął rozglądać się we wszystkie strony niby zalękniony ptak. Jakby czując na sobie spojrzenie Alys, otrząsnął się i uśmiechnął.

– Bez obaw, nadobna Alys. Niedługo już będziemy w Defaid, i to cali i zdrowi.

Alys była na tyle duża, żeby wiedzieć, kiedy dorosły przekonuje ją o czymś, czemu sam nie daje wiary.

– Czego – zapytała – tak ciekawie wypatruje pan w tym lesie?

Pawł przyjrzał jej się i wznosił oczy ku niebu, jakby szukał wsparcia u przelatującej wrony. Roześmiał się bez przekonania.

– A jak sądzisz, dziecko, czego szukam? – Pytanie nie było cierpkie, pobrzmiewało rezygnacją. – Nie mam dzieci, więc może nie powinienem ci o tym mówić, twoi rodzice nie żyją jednak i szukam w lesie tego, co ich zabiło. I pewnie to czujesz, Alys, bo jesteś spostrzegawcza, nigdy nic ci nie umyka. Bez trudu poradzisz sobie w Defaid. Miej tylko oczy otwarte, dziecko, i zamkniętą buzię. I nie mówmy więcej o tym, co jest w lesie. Radzę ci to z serca. – Kiwnął głową, a potem znów spojrzął na konie i drogę przed nimi, tak jakby wszystko było już ustalone.

– Co jest w lesie?

Pawł znowu wznosił oczy do nieba.

– Nie dałem ci do zrozumienia, dziecko, że nie ma po co o tym gadać?

– Mhm, ale jeszcze nie jesteśmy w Defaid.

Pawł zaśmiał się, zbity z pantafyku.

– Jak żyję, nie spotkałem tak przebiegłej panny. – Znów spoważniał. – Cóż, gdyby spotkało to moich rodziców, na pewno też chciałbym się dowiedzieć. – Zerknął na nią, jakby brał miarę na komplet nowych ubrań. – Pamiętaj, że się mogę mylić, bo wiem to tylko z pogłosek. Z opowieści. Nic innego nie słyszałem. Ale to, co spotkało twoich rodziców, no i resztę... Wydaje mi się, że jest to sprawka pożeraczek dusz.

Alys ścisnęło w sercu, gdy usłyszała dwa ostatnie słowa.

Pożeraczki dusz... Mama z tatą rzeczywiście wyglądali, jakby im wyżarto dusze. Jakby to, co z nich zostało, było niepotrzebne.

– Kto taki? – zapytała.

Pawł pokręcił głową.

– Trudno zliczyć historie na ich temat. Historie starsze ode mnie. Takie, jakie się opowiada dzieciom, aby nocą nie wylaziły z łóżka. Znam je od swoich rodziców, a oni pewnie znali je od swoich. Pożeraczki dusz to ponoć demony. Ulepione przez Bestię z błota i złych zamiarów. Mają one odbierać ludziom dusze i oddawać Bestii na wieczną mękę.

Alys pomyślała o mamie i tacie, i pustych powłokach, które z nich zostały. Pomyślała, że całe dobro uleciało z nich tam, gdzie jest strasznie. Gdzieś, gdzie panuje groza i cierpienie. Wzdrygnęła się pod płaszczem, z myślą, że może mamie jest bez niego zimno. Ciekawe, czy duchy marzną...

– Sądzi pan, że tak się stało z rodzicami? Że pożeraczki dusz zabrały ich do Bestii?

Pawł gwałtownie odwrócił ku niej głowę, otworzył usta i krzywiąc się, odparł:

– Nie, nie, dziecko. Nic podobnego. Rodzice nie żyją. Ich cierpienie się skończyło. Nie wierzę w podobne bzdury. Tak jak nie wierzę, że drzwi obór potwierały wilki.

– Więc w co pan wierzy?

– Wierzę, dziecko, w ziemię, po której stąпам, i niebo nad naszymi głowami, i że przed kolacją głodnieję, a przed pójściem spać jestem senny. Wszystko inne to tylko bajki.

Alys popatrzyła na Pawła, mrużąc oczy. Dotąd nie spotkała dorosłego, który by mówił, że nic nie wie.

– A w pożeraczki dusz pan wierzy. Przecież sam pan mówił.

Pawł zawahał się, rozważając odpowiedź.

– Powiem ci prawdę, Alys. Do dzisiaj wątpiłem. Ale to, co spotkało tych nieszczęśników w twojej wiosce... Cóż, to wbrew naturze. Nie choroba, nie wilki, nie głód ani ziąb odebrały im życie, kiedy spali.

Po raz pierwszy od zeszłej nocy przypomniały się Alys dziewczęta podobne drzewom. Zdumiało ją, że o nich zapomniała, a jednak zapomniała. Myślała nad słowami Pawła, że pożeraczki dusz są demonami ulepionymi z błota i zła. Myślała o tych dziewczętach. O ich ubłoconej skórze. Liściach we włosach. Zastanawiała się, czy i na nią, jak na wszystkie śpiące dzieci w Gwenith, rzucono jakiś urok.

– Widziałam je chyba wczoraj w nocy – rzekła do Pawła. – Pożeraczki dusz. – Opowiedziała mu o dziewczętach, o tym, co mówiły i jak się pięknie nazywają. Angelica. Benedicta.

Na te słowa Pawłowi opadła szczeka, a potem ściągnął cugle tak gwałtownie, że Alys omal nie zleciała z wozu. Chwycił ją za ramiona.

– Nikomu, ale to nikomu nie wolno ci o tym wspominać. Musisz mi to przyrzec, Alys. Nikt w Defaid nie może poznać tej historii. Rozumiesz?

Miał tak gniewną minę, że Alys stwierdziła, że w końcu chyba się rozplacze. Nie płakała nigdy, a wiedziała, że w jej wieku to dość nietypowe. Enid płakała. Nawet Madog ocierał łzy. A ona wcale. Ale teraz była gotowa się rozplakać... Bo rodzice zmarli, a ona jechała z tym dziwakiem do dziwnego miasteczka i on się raptem zezłościł, bo coś zobaczyła. A może to oznaczało, że mama z tatą umarli przez nią? Może powinna była się domyślić, że te kobiety są niedobre...? Czy nie powinna była krzyknąć? Wydusiła tylko z siebie „przepraszam”, po czym zalała się łzami. Szlochała tak, że żołądek rozboleł ją nie mniej niż serce.

Kiedy płakała, Pawł tulił ją do siebie. Przyciągnął do piersi jej głowę i gładząc ją po włosach, cichutko uspokajał. Wreszcie wróciła

do równowagi.

– To ja powinienem przeprosić – rzekł Pawł. – Nie gniewam się na ciebie i nie masz powodu czuć się winna, dziecko. Przydarzyło ci się coś okropnego, dopilnuję więc, by się tobą zajęli. A w całym Byd nie znajdzie się dla ciebie lepszego miejsca niż Defaid. Będiesz tam przynajmniej miała Enid i Madoga – no i innych bliskich. Oraz defaidian. Potraktują cię życzliwie. Ale pamiętaj, że nie lubią oni odmienności ani tego, czego nie rozumieją. Gdyby się więc domyślili... jak by to ująć?... że miałaś do czynienia z pożeraczkami dusz, mogliby się obrócić przeciw tobie. Uznać cię za zbrukaną. A nie chcę, by cię to spotkało, dziecko. Toteż musisz mi zaufać. Niech na zawsze zostanie to między nami, zgoda?

Wtulona w jego pierś, Alys kiwnęła głową, że się zgadza. Miała dopiero siedem lat, lecz już wiedziała, co Pawł ma na myśli, mówiąc o zbrukaniu. Świetnie pamiętała kazania Starszych o Bestii i o tym, jak znajduje ona tych, co poddają się pokusie, oraz w jaki sposób sprowadza ich na manowce. Gdy już ktoś nosił znamię Bestii, to żadną miarą nie mógł go zmazać. Należał do niej. Alys była ciekawa, jak wygląda znamię Bestii.

Gdy Pawł wypuścił Alys z objęć, momentalnie zatęskniła za jego ciepłem. Wyprostowała się na siedzeniu przy nim i w ciszy ruszyli w dalszą drogę.

Jechali do rana. Pawł zachęcał Alys, żeby się przespała w wozie, ale odmówiła, upierając się, by czuć jak on. Mimo to usnęła, a kiedy się zbudziła, zwinięta u jego stóp jak piesek, niebo było różowe i wschodziło słońce.

Pawł wyjaśnił Alys, że zabierze ją do Najstarszego Defaid. Opowie Najstarszemu, co się stało, a wtedy ten na pewno wyśle po resztę dzieci wozy. Kiedy mijali domy na peryferiach Defaid, Alys zauważyła, że są schludne i podobne do siebie. Pobielane,

z drewnianymi płotami. Choć ledwie знаła świat poza swą wioską, stwierdziła, że jest tu prawie identycznie. Tyle że miejscowi wciąż mieli zwierzęta. A dzieci rodziców. I panował tutaj zgiełk, w porównaniu z niespodzianą ciszą Gwenith, przeraźliwy.

Zabudowa się zagęściła, czyli dotarli już do głównej części wioski, gdzie stały domy i sklepy handlarzy i rzemieślników. Minęli szkołę, większą od tej w Gwenith, i okazały bielony dom modlitwy o szerokich dwuskrzydłowych drzwiach. Rozglądając się, Alys spostrzegła, że oczy wszystkich kierują się na nią. Wieśniacy zdawali się śledzić wzrokiem ją i Pawła; wszyscy, mężczyźni, kobiety, dzieci przypatrywali się im z powagą. Alys zrobiło się niedobrze. Ostatni posiłek podszedł jej do gardła.

Gdy stanęli przed domem modlitwy, szarpnęła Pawła za rękaw.

– Mogłabym – wychrypiała, bo zaschło jej w ustach – zabrać się z panem do Krainy Jezior?

Ale Pawł nie usłyszał. Zsiadł już z wozu i przywiązywał konie. A Alys nie śmiała powtórzyć pytania, w obawie, że się nie zgodzi. Gdy wyciągnął ręce i zсадził ją na ziemię, po długiej jeździe kołyszającym wozem nie mogła ustać na nogach.

Alys coraz bardziej bała się wpatrzonych w nią zewsząd oczu – i gromadzących się wokół mężczyzn, postawnych, w czarnych szatach z białymi kołnierzami i kapeluszach. Byli to Starsi, tacy jak w Gwenith, tyle że postawniejsi i bardziej czarno-biali. Gdy Pawł zaczął im opowiadać, co się stało, podniósł się krzyk. Do Alys podeszła kobieta w czarnej sukni i wykrochmalonym białym fartuchu, wzięła ją za rękę i odciągnęła od Pawła. Kiedy Alys wyrywała się ku niemu, uśmiechnął się do niej i rzekł:

– Idź z panią Ffagan, dziecko, ja cię później znajdę.

Alys usłuchała go. Poszła z nieznajomą, a ta, trzymając ją za rękę, zaprowadziła ją do innej nieznajomej, która mieszkała

w kamiennym domu na drugim końcu wioski. Koło graniczącego z szerokim polem domu rosnęło najwyższe drzewo, jakie Alys zdarzyło się oglądać w życiu.

Nieznajoma posadziła Alys przy kuchennym stole i dała jej szklankę mleka oraz chleb z masłem i miodem. Na ten widok Alys znów zrobiło się niedobrze, ale jadła na siłę, bo mama nauczyła ją nigdy nie odmawiać poczęstunku.

Gdy Alys żuła więc i przelykała, kobiety oddaliły się do sąsiedniej, niewielkiej izby, gdzie poszeptywały coś zawzięcie, co rusz zerkając na Alys. Po chwili wróciły.

Pani Ffagan miała krągłą twarz i krągłe piwne oczy, zadarty nos i dziwnie małe usta. Nie spodobała się Alys. Druga kobieta, mieszkanka domu, była chuda, a nos miała zakrzywiony i przylizane ciemnobrązowe włosy. Alys nie mogłaby żadną miarą przytulić się do niej jak do mamy.

– Pani Argyll – przedstawiła się kobieta z nosem jak haczyk. – Odtąd będziesz tutaj mieszkać. – Obejrzała Alys od stóp do głów, jakby licząc, że czegoś się doszuka. – Wzięłaś ubrania?

– Tak – odparła Alys. – Są u Pawła.

Pani Argyll spojrzała pytająco na panią Ffagan.

– Wędrowiec, który ją tu przywiózł – wyjaśniła pani Ffagan. – Jego ma na myśli. – Pani Ffagan popatrzyła na Alys. – Przyniesie je przed wyjazdem. Dopilnuję tego.

Podążając wzrokiem za panią Ffagan, Alys zastanawiała się, czyby nie wyprowadzić jej z błędu. Mogłaby oświadczyć, że wcale nie zostaje, tylko jedzie z Pawłem do Krainy Jezior. Uznała jednak, że to bezcelowe. Czując, że pani Ffagan nie jest kobietą, która przejmowałaby się pragnieniami dzieci, Alys wolała zaczekać na wizytę Pawła.

Pani Argyll siadła naprzeciw Alys.

– Kolor masz niezły – rzekła.

– Kolor?!

– Skóry, dziecko. Nie wyglądasz, jakby coś ci dolegało. Trafiaś do mnie, bo jestem znachorką, akuszerką. W Gwenith też są, prawda?

Alys przytaknęła.

– Nie jestem chora.

– Wiem, świetnie to widzę. – Gdy kobieta spojrzała w bok, dotarło do Alys, że niechętnie patrzy jej w oczy. – Powinnaś więc jeść. Skoro nic ci nie dolega.

– Przepraszam – odrzekła Alys. – Nie mam ochoty na jedzenie.

– No tak – odparła pani Argyll, znów spoglądając na Alys. Teraz dotarła wzrokiem aż do jej twarzyczki. – Nie dziwię się. – Alys ulżyło, gdy tylko kobieta znowu spojrzała w inną stronę.

W kuchni, kiedy tak siedziały, panowała cisza, zewsząd dobiegał jednak codzienny zgiełk wioski Defaid. Spośród innych odgłosów Alys wychwyciła skrzywienie kół wozu Pawła. Wstała i wsunęła krzesło z powrotem pod stół.

– Dziękuję za poczęstunek, proszę pani. – Odwróciła się i wybiegła przed dom.

Pawł zatrzymał się i zeskoczył na ziemię. Wyjął z wozu torby Alys i ułożył je przy jej nogach. Uniósł kapelusz przed panią Argyll, która wyszła w ślad za Alys.

– Może wniosę je do środka?

– Nie trzeba – odparła pani Argyll. – Mąż wniesie. Jest w warsztacie, więc zajmie się nimi, kiedy wróci.

Pawł opuścił kapelusz i z uśmiechem sięgnął mimo to po torby.

– Ale to żaden kłopot, niech choć tak przysłużę się pani i małej.

– Nie trzeba – powtórzyła pani Argyll takim tonem, że Pawł odstawił torby.

Alys podeszła do niego i, szarpiąc go za rękaw, przyciągnęła blisko do siebie, by móc mu mówić do ucha. Włosy Pawła załaskotały ją po policzkach, gdy dotknęła buzią jego rudo-siwej brody, o wiele, wiele miększej, niż się spodziewała.

– Niech mnie pan zabierze do Krainy Jezior, proszę. – Tym razem wypowiedziała te słowa głośniej, by mieć pewność, że do niego dotrą, a z wysiłku aż zapiekły ją powieki i uzmysłowiła sobie, że znów płacze.

– Ach, dziecko – westchnął Pawł i się wyprostował, łagodnie kładąc dłoń na ramieniu Alys. Rozejrzał się, więc Alys też się rozejrzała, zdziwiona, czemu nie podsadza jej na wóz i nie odjeżdżają. Skoro powiadomił defaidian o reszcie dzieci, to chyba mogą już jechać, prawda...? Bo Alys nie mogłaby tu zostać. Nie chce.

Wtem wrócili czarno-biali mężczyźni i czarno-białe kobiety. Z dłonią pani Argyll na ramieniu, Alys była coraz dalej od Pawła. Wołając za nim, ujrzała, jak coś mówi Najstarszemu, spogląda na nią i wraca do rozmowy. Zobaczyła, jak Najstarszy kręci głową i wszyscy otaczają Pawła, ten zaś się rozgląda, a czarno-biali jakby go wchłaniają... aż niespodzianie siedzi na wozie. Wóz odjeżdżał, a Pawł oglądał się za Alys ze smutkiem i beznadzieją, kiedy ona, nie rozumiejąc tej beznadziei, ani tego, czemu jej nie zabrał, zawołała za nim raz jeszcze.

Usłyszała nad sobą głos pani Argyll.

– Płacz nic nie da, więc nie lej już łez, dziecko.

Więc przestała płakać. Była to pierwsza lekcja, jaką Alys odebrała w Defaid. Pierwsza z wielu lekcji.

Oto, co się wydarzyło w ciągu kolejnych godzin: pani Argyll przedstawiła Alys mężczyźni o stalowych włosach, który nazywał się brat Argyll. Pani Argyll nakazała Alys zwracać się do nich: matko i ojciec. Matka nakazała Alys zjeść obiad. Ojciec pokazał Alys, gdzie

ma trzymać ubrania. Matka nakazała Alys się umyć i włożyć koszulę nocną. Ojciec wskazał Alys łóżko, w którym miała się położyć pod płóciennym prześcieradłem. A potem Alys leżała w mroku, odgradzona od tych dziwnych rodziców drzwiami, kiedy noc zapadała wokół niej i tej pełnej dziwnych ludzi wioski.

Alys czuła się zmarznięta i samotna. Obnażona i wylękniona. Aż w pewnej chwili, zamarłszy w czerni, przypomniała sobie, że palto mamy zostało w wozie Pawła.

Noce sprzyjały

Siostry opuściły szopę w górach. Przestała być im potrzebna. Słoma w niej cuchnęła kozą, a palenisko stało się zbędne, bo już nie jadały gotowanych potraw.

Jadały takie dawno temu. Gdy miały matkę. Przedtem.

Czuły, jak patrzy na nie Bestia. Obserwuje. Prowokowały ją. Nie ulegała. Bez lęku odpowiadały jej spojrzeniem. Obnażała długie kły. Syczały w odpowiedzi.

Gnieździły się na drzewach. Było im wygodnie, przysiadaly na gałęziach jak sowy. Same nie potrzebując paleniska ani domu, bliźniaczki pilnowały właśnie domów i palenisk, matek i ojców, przerażonych tym, co czai się za progiem w ciemnym, ciemnym lesie. I czekały.

Wzlatywały nad ziemią i się kryły. Wspinały się i pełzały. Wkradały się w cień i kusiły we śnie.

Sióstr nie dało się schwytać. Stały się ostrożne. Wieśniacy mieli się przed nimi na baczności. Musiały być jak wilki. Jak Bestia. Trzymać się lasu. Polować tylko nocą.

Noce sprzyjały im. Strach rośnie nocą. A że siostry żywiły się strachem, nigdy nie były głodne.



CZEŚĆ
DRUGA

Lepiej
na klucz
zamknij
bramę

Alys przeżywała kolejne dni, robiąc to, co jej polecono, a w sercu raz miała pustkę, to znowu nadmiar uczuć. Chciała spać, a jednak spać nie znośła. Każde otwarcie oczu na obce jeszcze ściany wkoło było dla niej nie tyle wstrząsem, ile przypomnieniem, że nie ma domu. Że mama z tatą odeszli. Że mama nie będzie już jej gładzić włosów, wkładać jej przez głowę koszuli nocnej ani stawiać przed nią rano herbaty z mlekiem.

Enid, Madog i reszta dzieci z Gwenith przybyli do Defaid w takim stanie, w jakim Alys widziała je ostatnio – nie spali tylko Enid i Madog. Śpiące dzieci zostały ułożone w wozach. Przywiezienie ich zajęło mężczyznom z Defaid sporo czasu, bo – jak Alys usłyszała od matki – najpierw musieli wykopać groby i pochować zwłoki. Matka mówiła o tym bez ogródek. Powiedziała, że zwłok było tyle, że miast kopać osobne groby dla każdego, rodziny zakopywali razem. Alys liczyła, że sprawi jej to ulgę. Próbowwała sobie wyobrażać rodziców śpiących obok siebie. Ale przed oczami miała ten ostatni obraz: dwu wydrążonych skorup. Nieustannie powracał. Nieproszony, niechciany. Obierając dla matki marchew, przypominała sobie obieranie jej dla mamy. Tyle że w tych wspomnieniach twarz mamy nie była żywa – wyglądała jak ostatnim razem. Alys musiała się otrząsać, aby odegnać tę wizję. Gdy matka przyglądała się jej wtedy bacznie, Alys nie była zdolna na nią spojrzeć. Matka patrzyła na nią inaczej aniżeli inni. Wodziła wzrokiem po jej skórze. Jakby ją przenikała.

Kiedy przybyły dzieci z Gwenith, matkę i kilka tutejszych kobiet zapytano, jak je najlepiej zbudzić, jakby wcześniej spotkały się

z czymś podobnym. Wtedy Enid objaśniła, jak obudziła ją Alys: prędko, bez ceregieli, a skutecznie. Tak też zrobiły wieśniaczki; każde dziecko, od najstarszego nastolatka po najmłodsze niemowlę, zostało oblane zimną wodą i, krztusząc się, otworzyło oczy na nieznaną wioskę.

Dzieci z Gwenith, które miały rodzeństwo, starały się przywyknąć do obcości i do osierocenia. Dzieci bez siostr i braci wałęsały się jak duchy. Alys, jedynaczka, zastanawiała się, czy inni też tak ją widzą. Raczej nie – uznała jednak. Bo Alys coś postanowiła. Przyrzekła sobie, że kiedyś wyniesie się z tej wioski. Nie był to jej dom i żadną perswazją nie dałoby się tego zmienić. Kiedyś, obiecała sobie, znajdzie drogę do Krainy Jezior, zamieszka w krytym wozie i to będzie jej dom. W wozie uwolni się od wspomnień o tym, co straciła. W żadnym domu nie poczuje się u siebie. Żadni rodzice nie zastąpią Alys własnych.

Pierwszych kilka tygodni starsze dzieci z Gwenith trzymano w szkole i w domu modlitwy. Niemowlęta i najmłodsze dzieci rozdzielono między rodziny. Dzieciom przyjętym przez rodziny, które zgodziły się wziąć je pod opiekę, nakazano to, co Alys – żeby nazywały „swoich” matką, ojcem, siostrą i bratem. Pozostałe dzieci usłyszały, że ich położenie niedługo się zmieni.

Mieszkańcy Defaid nie zamierzali przyjąć wszystkich dzieci – pięćdziesiąt nowych gąb do wykarmienia przekraczało możliwości nawet tak bogatej rolniczo-pasterskiej wioski. Wysłali więc konnych do Pysgod, otaczającej rzekę od północy, i Tarren, u stóp gór na północnym zachodzie, z wieścią o tym, co się zdarzyło, i prośbą, by ich mieszkańcy wzięli na siebie ciężar wychowania przynajmniej części z tych dzieci. Nikt jednak się na to nie zgodził, a wymówkę mieli aż nadto oczywistą. Skoro jakaś wioska nie chce przyjąć tłumu sierot, które spotkało coś strasznego, niby dlaczego mieliby to zrobić oni?

Wtedy rozdzielono dzieci między defaidian już na stałe, starając się, aby rodzeństwa zamieszkały u tych samych rodzin.

Alys dowiedziała się tego od matki, z którą spędzała większość czasu. Liczyła, że będzie mogła widywać się z Gaenor częściej, lecz Gaenor i jej rodzeństwo zamieszkali na drugim końcu wioski. Ostatecznie więc mieli siebie, kiedy Alys nie miała nikogo.

Wzrok matki mocno onieśmielał Alys, ale jej towarzystwo wcale nie było najgorsze. Alys nauczyła się cenić to, że nie zwraca się ona do niej tak jak dorosły do dziecka. Rozmawiała z nią tak jak z innymi. Alys przywykła też do tego, że matka odzywa się rzadko i chyba jest nieczuła. Początkowo Alys sądziła, że matka wciąż się na nią złości, ale później stwierdziła, zaskoczona, że po prostu ma taki sposób bycia. Ojciec też był milczący, jednak nie nieuprzejmy. Jako stolarz całe dni przebywał poza domem, ale gdy wracał na obiad, a później pod wieczór na kolację, kiwał do Alys głową w taki sposób, jakby się cieszył, że ją widzi, choć jego mina nie zdradzała tego nigdy.

Niemniej Alys nie przywiązała się do nich do tego stopnia, by przyszło jej do głowy złamać daną Pawłowi obietnicę. O pożeraczkach dusz nie wspominała słowem, nawet gdy wieśniaczki, zebrawszy się przy stole nad herbatą i ciasteczkami owsianymi, gawędziły o pożeraczkach dusz tak, jakby świetnie znały się na rzeczy. Pawł omylił się więc tylko w jednym; wbrew jego słowom defaidianki nie były aż tak delikatne, by nie poruszać podobnych okropieństw. Co więcej, Alys spostrzegła, że czerpią z tego przyjemność. Policzki aż czerwieniały im z zapału. Powtarzały w kuchni jedna do drugiej: „pożeraczki dusz” i „wilki”. „Żeby tak dopadło jedną wioskę? Toż to musi być sprawka Bestii”... Mówiąc to, wieśniaczki drżały i dłońmi spękany od prania łapały się za serce.

– Jak myślicie, co knują gwenithianie? – zapytała jedna. Na to

kilka cmoknęło tylko i pokręciło głową.

– Pewnie robią swoje – odparła matka. – Jak my.

Żona Najstarszego, pani Ffagan, rzekła:

– Dobry Pasterz nie opuściłby gwenithian, gdyby podążali za nim, jak przystoi trzodzie. – Świdrowała kobiety okrągłymi oczkami. – Musieli zbłądzić, bo inaczej nie zwróciliby uwagi Bestii. Któraś w Gwenith zadała się z Bestią. Któraś. Może nie jedna... W lesie wyprawiali Pasterz wie co. Zapamiętajcie moje słowa.

Więc zapamiętały, znów kiwając głową i chwytając się za serce.

Alys rozgorzały policzki, a gniew zapłonął w niej jak rozżarzony węgiel. Prędko jednak ten gniew zastąpiło zawstydzenie. Bo chyba uwagę Bestii przyciągnęła właśnie ona! Kiedy wędrując po nocy, została dotknięta przez pożeraczki dusz. Dotąd miała w pamięci chwilę, gdy położyły jej dłonie na ramionach, i dziwne poczucie więzi, które ją wtedy przeniknęło. Pomyślała, że są piękne. I tak myślała nadal. A przecież były to stwory, które zabiły jej rodziców. Te stwory dotknęły Alys, nie odbierając jej życia.

– Jak pani sądzi, co zaszło w lesie? – zapytała jedna z kobiet. – Chodzi mi o te swawole z Bestią.

Wokół stołu zaległa nieprzenikniona cisza.

– Pani Hardy – odrzekła pani Ffagan, której krągłe piwne oczka skamieniały – jako cnotliwe czcicielki Dobrego Pasterza nie możemy o tym wiedzieć, prawda?

Rozległ się pomruk aprobaty i kobiety zajęły się herbatą i ciasteczkami.

Gdy rozmawiały dalej, Alys – za radą Pawła – milczała, patrząc uważnie i nasłuchując. Nie spuszczała wzroku z matki, której twarz jak zwykle była nieruchoma. Alys zdążyła się już zorientować, że matka wcale nie jest głupia. Gdyby jednak matka się dowiedziała, co zrobiła, albo czego nie zrobiła Alys tamtej nocy, kiedy zjawiły się

pożeraczki dusz... Alys odpędziła tę myśl od siebie, powtarzając sobie, że wkrótce – w końcu – zamieszka w Krainie Jezior. A wtedy ci nabożni ludzie przestaną się nią interesować.

Pewnego popołudnia, krótko po rozmieszczeniu dzieci z Gwenith u defaidiańskich rodzin, ojciec wrócił z pracy wcześniej i oznajmił, że Najstarszy chce porozmawiać z Alys. Po czym zabrał ją do jego domu, najokazalszego w sercu wioski, z obszerną bieloną werandą i jabłonią w ogrodzie od frontu. Otworzył im sam Najstarszy, więc Alys od razu mogła mu się przyjrzeć z bliska. Miał orli nos, nadzwyczaj duży; Alys zauważyła przede wszystkim jego smoliście czarne nozdrza.

Najstarszy wprowadził ojca z Alys do korytarza, a potem do nieskazitelnie czystej izby z wielkim, lśniącym drewnianym stołem. Na stole leżała jakaś księga, a za nim stało szerokie krzesło. Innych sprzętów w izbie nie było.

– Dziecko – spytał Najstarszy – wiesz, dlaczego tutaj jesteś?

Alys pomyślała, że albo ma ją za głuptaskę bez pojęcia, skąd się wzięła w Defaid, albo pyta po prostu o powód obecnej wizyty. Postanowiła odpowiedzieć na to drugie.

– Ojciec mówił, że życzy pan sobie mnie zobaczyć.

– No a czemu? – zapytał Najstarszy.

Alys podniosła wzrok na ojca, ale on wpatrywał się w podłogę.

– Yyy... nie wiem – odpowiedziała.

– Bo to ty, dziecko, nie spałaś, prawda? Tak powiedział nam wędrowiec, kiedy cię tu przywiózł. Że przechadzałaś się, gdy inni gwenithianie nie żyli albo spali. Prawda to, czy wędrowiec kłamał?

Alys próbowała odgadnąć, jakiej odpowiedzi spodziewa się Najstarszy. Doszła do wniosku, że najkrótszej.

– Rzeczywiście nie spałam.

– A to dlaczego?

– Bo nigdy nie śpię. Jestem taka od urodzenia.

– Więc rodzice nie mieli nic przeciwko twoim nocnym przechadzkom?

Alys przypomniały się kobiety zgromadzone w kuchni, które się zastanawiały, w jaki sposób gwenithianie przysporzyli im kłopotów. Poczwała, jak w niej kielkuje i zakwita twarde ziarenko wstydu. Nie zniosłaby, gdyby ten czarno-biały olbrzym o wielkich czarnych nozdrzach pomyślał o jej rodzicach coś złego.

– Nie mieli. – Alys w mig pojęła, że mówi to za głośno, bo proste dotąd czarne brwi Najstarszego mocno się zmarszczyły. Starła się uspokoić serce. – Mieli, ale i tak wyszłam. Tylko ten jeden raz.

– Jesteś krnąbrnym dzieckiem – rzekł Najstarszy. – Trzeba będzie cię tego oduczyć. Słyszysz, bracie Argyll? Ty i żona musicie bacznie pilnować tej małej.

– Dobrze – odpowiedział ojciec.

– A co widziałaś podczas tej przechadzki? – Gdy Najstarszy zerknął na Alys, ta natychmiast utkwiała oczy w ziemi.

– Nic – odparła. Opowiadała o tym tyle razy. Pani Ffagan opowiedziała w pierwszym dniu pobytu tutaj. A później powtarzała w kółko, ilekroć ją pytali. – Tylko gwiazdy. – Nie podniósłszy głowy, Alys poczuła jego wzrok na ciemieniu.

– Bracie Argyll, proszę na słowo. – Najstarszy odwrócił się i wyszedł, a ojciec za nim, z czapką w ręce.

Alys została sama w izbie. Ogarnęła spojrzeniem wielki stół i księgę. W Gwenith książek nie było, wyjąwszy *Słowo Pasterza*, oprawny w czarną skórę tomik z jego naukami, które zapisała drobnym charakterem pisma mama. Alys podeszła do księgi, usiłując ją otworzyć. Wsunęła między stronicę złożone dłonie – i tak rozłożyła księgę.

Wewnątrz był śliczny obrazek. Bardzo kolorowy, obramowany

zółcieniem, który lśnił jak słońce. Właściwie trzy obrazki w jednym, jak spostrzegła Alys. Jeden u góry, drugi pośrodku, trzeci u dołu – każdy inny.

Górny obrazek był jasnoniebiesko-zielono-śnieżnobiały. Pod błękitnym niebem, wśród falujących łąk, stał siwobrody mężczyzna w białej szacie, z laską pasterską w ręku. Radosne puciołowate dzieci, całe w bieli, zebrały się wokół niego, a jedno siedziało mu na kolanach.

Obrazek w środku był utrzymany w tonacjach ziemi i zboża. Widniały na nim pola pszenicy i jęczmienia oraz krzepcy rolnicy, idący z pługiem za końmi o potężnych zadach. Na schodach domu modlitwy stał Starszy z uroczystą miną, z nabożnie złożonymi dłońmi.

Alys przemknęła wzrokiem po dwóch obrazkach od góry. Nie przykuły jej uwagi tak, jak ten na dole. Cały czerwono-czarno-żółty, pełen był dymu i buchał płomieniami. Pośrodku widniał długi lejek wetknięty w ziemię powyżej. Wpadali weń, osuwając się jak popiół, maleńcy ludzie – a pod nim Alys zobaczyła Bestię. Choć dotąd nie wiedziała, jak wygląda, rozpoznała ją nieomylnie. Wyczuła. Bestia siedziała tam z rozwartą na spadających ludzi paszczą. Przyczajona na dwóch ptasich nogach. Jej ramiona, nieludzko długie, trzymały się tułowia na kościstych skrzydłach bez piór. Tułów porastała czarna sierść, gęsta między nogami i na piersi. Nad jej łbem sterczało dwoje uszu, spiczastych niczym rogi. Spomiędzy długich kłów wyłaził czarny jęzor, gotowy chwycić spadające ciałka.

Alys przytknęła palec do obrazka w księdze. Obwiodła postaci potępionych, popieściła diable skrzydła.

Urzeczona skrzydłami, nie usłyszała, jak do izby wchodzi ojciec i Najstarszy. Krzyknęła więc ze zdumienia, gdy poczuła na ręce dłoń Najstarszego, a potem z bólu, gdy tak ścisnął rękę, że omal nie pogruchotał kości.

Później było tak: ojciec patrzył, blady jak płótno. Najstarszy kazał Alys podwinąć rękawy. Wręczył ojcu długi kij, a ojciec okładał, okładał i okładał nim białe ręce Alys. Od początku do końca chłosty Najstarszy prawił kazanie. Opowiedział Alys o Bestii, która czyha w ognistej pieczarze. O tym, jak aż do kości obdziera z ciał grzeszników, gdy ci wyją z bólu, jak im wylupia oczy długimi czarnymi szponami, i jak te katusze nigdy się nie kończą. Bo ciało, zdarte ze skórą, i wylupione oczy odrastają, więc męka zaczyna się od nowa. Na koniec rzekł, co los gotuje dziewczynkom, które nie chcą być posłuszne. Na zawsze pozostają już we władzy Bestii.

Przez całą drogę do domu od Najstarszego ojciec milczał, zaś Alys kuliła się, osłaniając obolałe ręce. Przemyśliwała nadzieje, związane z ojcem i matką. Wspominała, co Pawł mówił o defaidianach. Żałowała, że nie ma brata albo siostry, kogoś, kto należałby do niej tak naprawdę. Nie jak udawani rodzice, którym ją oddano. Pragnęła mamy i taty. Kiedy łzy napłynęły jej do oczu, powstrzymała je siłą woli. „Płacz nie pomaga” – jak powtarzała matka.

Gdy zbliżali się do domu – który Alys odtąd przestała uważać za swój – ojciec rzekł:

– Nie umiem wyrazić, jak żałuję, dziecko. Ale liczę, że kiedyś sobie uświadomisz, że ukarano cię wyłącznie dla twojego dobra. Im szybciej się nauczysz nie iść za kaprysem, tym lepiej dla ciebie. Nie twierdzą, że kara to rzecz dobra. Mówię, jak jest. Rozumiesz, Alys?

– Tak – odpowiedziała Alys.

Kiedy weszli za próg i ojciec opowiedział matce, co się stało, ta chciała posmarować ręce Alys maścią. Alys się nie zgodziła.

Ojciec zaperzył się, gdy Alys poszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Matka powiedziała tylko, żeby dał jej spokój. Alys długo siedziała beczynn timer. W pokoju było jedynie wąskie łóżko, przy nim stolik, a na ścianie kilka kołków na jej nieliczne ubrania. Weszła, nie zastanawiając się, co robi, więc czuła teraz nudę i zamknięcie. Miała spędzić całą noc sama, a tkwić tu jej się nie chciało. Z nimi jednak też nie zamierzała siedzieć. Bez trudu mogłaby w tej chwili wybiec – a matka z ojcem by za nią wołali. Ale pobyt w Defaid, chociaż krótki, nauczył ją, jak sobie radzić, stwierdziła więc, że wolność da jej praca, która oderwie ją od domu. Wstała i poszła do

kuchni.

Matka łuskała groch, a ojciec podniósł wzrok znad herbaty.

– Nie potrzebujesz czegoś z lasu, matko? Pójdę i ci nazbieram.

Matka odwróciła się i spojrzała Alys prosto w twarz. Badawczo, przenikliwie. Alys popatrzyła w inną stronę.

– Tak, dziecko – odrzekła matka. – Potrzebuję. Przydałoby mi się trochę skrzypu i kory wiązu czerwonego. Weź koszyk i swój ostry nóż.

Tak wyekwipowana Alys wyszła na swobodę.

Najpierw powędrowała ku najbliższej kępie wiązów. Czyli poza zasięg wzroku wieśniaków – pilnujących swej trzody pasterzy, kobiet krzątających się w ogrodach i pochłoniętych zabawą dzieci. Wyjęła nóż i nacięła zgrabny stosik kory. Dowiedziała się od matki, że kora tego wiązu pomaga przy przeziębieniach i bólach gardła. Alys posługiwała się nożem pewnie, śmiało, więc nosiła go przy sobie bez obaw. Mama nigdy by jej na to nie pozwoliła.

Pomyślawszy o niej, Alys poczuła się przez chwilę winna. Miast straszliwego obrazu, który wciąż nie dawał jej spokoju, przypomniawszy sobie kobiece kształty mamy i pocałunki, które mama składała na jej czole przed snem. Alys zmusiła się natychmiast do myślenia o innych rzeczach. Bo to wspomnienie okazało się nie mniej przykre od tamtego.

Skrzyp rósł bliżej lasu, Alys udała się więc na skraj zielonej gęstwy. Zbliżając się tam, coraz bardziej czuła chłód i wilgoć. W cieniu wzdłuż lasu przycichły dochodzące z dali odgłosy żęcia zboża i stukot końskich kopyt, tak że obróconej tyłem do pól Alys wydawało się, jakby prócz niej w całym Byd nie było żywej duszy.

Las był głęboki i stary. Gałęzie drzew, wysokich i gęstych, spletały się ze sobą w górze. Mech i paprocie okryły niczym dywan nagie korzenie, kopce kamieni, gnijące pnie i powalone drzewa.

W powietrzu unosiła się mgła, więc liście ociekały wilgocią. Gdzieś zwierzęta uganiały się i pełzły, furczały i klekotały.

Alys spostrzegła to wszystko, stojąc u progu lasu. Bez matki nie wolno jej było przekraczać tej granicy. Kiedy miała czegoś poszukać, musiała robić to tuż przy polach uprawnych, tak żeby była widoczna. Mogła się przechadzać wzdłuż krawędzi lasu, coraz dalej i dalej od wioski, właśnie tak jak teraz. Ale matka zabroniła jej wchodzić głębiej między drzewa w pojedynkę.

Alys nie słuchała jednak. Zapuszczała się tam, ilekroć matka kazała jej coś przynieść. Choć Alys znacznie oddaliła się od wioski i długo już nikogo nie spotkała, co chwilę zerknęła w prawo, sprawdzając, czy ktoś nie dostrzegł szarej myszki, idealnie wtopionej w otoczenie.

Wreszcie weszła do lasu.

Wsuwiała palce w omszałe pęknięcia kory, zapuszczając się w las coraz głębiej, przeskakując konary i wąskie strumyki. Mgielka spowijała włosy i twarz Alys, i ubranie jej mocno nawilgło. Szła już tą drogą dość długo, o wiele dłużej niż powinna. Zamiast słońca, które wskazywałoby kierunek, nad głową miała tylko zielonoszary całun mgły i liści. Gdyby zboczyła teraz w lewo albo w prawo, mogłaby się zgubić. Ale Alys nie bała się, że zginie.

Alys odczuwała spokój. Wytchnienie od czarno-białych Starszych i ich czarno-białych małżonek. Wytchnienie od niezliczonych spojrzeń utkwionych w niej, dziewczynce, która czuwa, kiedy reszta leży martwa lub uśpiona. Dorośli starali się śledzić ją dyskretnie. Ale dzieci w Defaid, widząc Alys, wytykały ją palcami i rozdziawiały buzie, dopóki nie odciągnęli ich rodzice. Słyszała, jak cała wioska szepcze za jej plecami: To ona, ta, co nie spała, gdy przyszły pożeraczki dusz. Ta, co niby niczego nie widziała. Ja jej nie wierzę. A ty?

Alys nie była pewna, co onieśmiela ją bardziej – wytykanie

palcami w Defaid czy osobliwy podziw ze strony dzieci w Gwenith. Patrzyły na nią, jakby była wyjątkowa. Jakby wiedziała o czymś, o czym one nie wiedziały; jakby знаła przyczynę odejścia ich rodziców. Alys trochę to złościło, bo była taka jak one. Tak samo straciła najbliższych. No i miała dopiero siedem lat. Cóż mogła wiedzieć? A przecież okłamywała i siebie, i te dzieci, byle tylko nie stracić twarzy. Bo coś wiedziała o tej strasznej nocy, więc co dnia – gdy się budziła, jadła, myła, pracowała – ta odmienność ciążyła jej bardziej. Wciąż miała sobie za złe, że tamtej nocy wstała z łóżka. Gdyby nie niesforność, nie różniłaby się od dzieci z Gwenith. Tak samo byłaby sierotą, ale przynajmniej zacząłaby. „Jeśli rzeczywiście jestem wyjątkowa – powtarzała sobie w duchu Alys – to dlatego, że coś ze mną nie tak”.

Nie przystawała.

Starsi powiadali, że w lesie roi się od zła, że pełno w nim diabelskich stworzeń. Otoczona drzewami o gałęziach jak ramiona, Alys myślała tylko o dziewczętach drzewach – pożeraczkach dusz – które tamtej nocy przemówiły do niej i odleciały. Rozejrzała się. Nagle przyszło jej do głowy, że są w pobliżu, a może trochę głębiej, dalej. Może dzisiaj znów się na nie natknie, albo one natkną się na nią... Przeraziłaby się wtedy i uciekła. A jednak pożeraczki dusz w zatrwajający sposób fascynowały Alys. Już samo to świadczyło pewnie o jej niegodziwości. Ale czuła, że ponowne spotkanie raz na zawsze powie jej, jakim jest dzieckiem. Mama mówiła, że czarownice sprawdza się przez przytopienie. Jeśli podejrzana idzie na dno, to znaczy, że jest przyzwoita. Jeżeli zaś wypływa na powierzchnię, to znak, że jest czarownicą. Alys pomyślała, że z nią może być podobnie. Gdyby znów spotkała pożeraczki i gdyby ją zabiły, wiedziałyby, że była dobra tak jak mama z tatą. W przeciwnym razie byłaby niedobra. Złe życie byłoby koszmarem. Ale przynajmniej by się dowiedziała. Gdyby była zła, nie mogłaby

zamieszkać u wędrowców, nawet jeśli by ją zapraszali. A nie zapraszaliby, znając jej charakter. Więc zamiast domu w Krainie Jezior, znalazłaby jaskinię w górach. Nocą paliłaby ogniska i żyła o grzybach i jagodach. Wyobraziła sobie, że wygląda jak kobiety drzewa. Oczy jej zrobiłyby się pewnie większe i jasne tak jak ich oczy.

Na tę myśl Alys tknął niepokój, aż ciarki przeszły jej po głowie. Nie była całkiem gotowa żyć w jaskini. Jeszcze.

Jej serce zabiło mocniej. Czowała, że powinna wracać. Przyjdzie tu kiedy indziej. Mhm. Innym razem.

Przystanąła w pół kroku, ujrawszy tuż przed sobą białawą kępę wśród mszystej zieleni – dorodne grzyby rozkwitłe niby kwiaty, którymi mogłaby wypełnić koszyk po brzegi. Jakby się do niej śmiały, domagając się zebrania. Jak coś, o co wręcz powinno zadbać dobre dziecko. Choć więc nadal była zła na ojca i na matkę, czowała, że oboje ucieszą się z tych grzybów. Bez namysłu przeskoczyła krzewy i przykląkszy, zaczęła ścinać grzyby nożem.

– *Czym jesteś?*

Alys wyprostowała się i wstała z ziemi. Głos rozbrzmiał jej w głowie, lecz to nie był jej głos.

– *Czym jesteś?*

Odwróciła się, oszołomiona. Teraz głos odezwał się w jej piersi. Nikt jednak do niej nie mówił – otaczały ją liście i drzewa. Wtem dostrzegła w przelocie jakiś ruch. Mogłaby salwować się ucieczką, ale zapomniała, w którą ma biec stronę. To coś, co przemykało wśród listowia, było wszędzie naraz – przed nią, później znów z prawej, a potem za jej plecami.

– *A ty czym?* – spytała Alys przestrzeni, lasu, tego czegoś, co przemieszczało się wśród drzew.

Gdy na jej okrzyk stworzenie przystanąło, Alys uzmysłowiła

sobie, że wie, w którym miejscu. Pień drzewa rosnącego na wprost niej obejmowało jak winorośl dziesięć czarnych szponów. Jakby czując, że został dostrzeżony, stwór schował je w jednej chwili.

Alys nie słyszała niczego poza własnym oddechem.

– *Szukam dziewczynki. Ty nią jesteś?*

– Jakiej dziewczynki? – odpowiedziała Alys.

– *To ty. Jesteś tą dziewczynką.*

Wtem stwór się pokazał. Stwór, którego dotąd widziała tylko raz – w księdze Najstarszego. Bestia. Stała przed nią na długich ptasich nogach, ze złożonymi skrzydłami bez piór. Wzrostem przewyższała o połowę najrośniejszego z dorosłych mężczyzn znanych Alys. Miała małe, czarne, lśniące, przenikliwe oczy – jak szparki nad krótkim ryjem o ziejących, wężących nozdrzach. Różowe wargi uniesione nad cienkimi kłami, z których dwa najdłuższe sięgały jej daleko za podbródek. Zbierając zapachy z otoczenia, stwór szybko wysuwał spomiędzy zębów czarny rozdwojony jęzor.

Alys zebrała się w sobie, by nie zemdleć. Serce ścisnęło się w niej, jakby któryś z mięśni osłabł od zbyt ciężkiej i za długiej pracy.

Stwór postąpił krok w stronę Alys, podnosząc ptasie nogi nad korzeniami i zwalonymi konarami. Jego łapy o czarnych pazurach zastukotały o kamienie. Przybliżywszy się do Alys, zgiął się w pół i przytknął pysk do jej twarzy, aby mogła zajrzeć w ciemność połyskliwych ślepi. Śmierdział ziemią i futrem. Gdy ją obwąchiwał, nozdrza rozszerzały mu się i kurczyły. Wtem wysunął zza kłów długi czarny jęzor, zadrapując jej lewy policzek.

– *Jesteś nią. Daj mi coś. To daj.*

Wygiął się w tył, a potem znów do przodu, wpatrzony w niewielki ostry nóż w ręce Alys. Sięgnął szponem i postukał w ostrze. Stuk, stuk.

– O, to. Dawaj.

– Na co ci mój nóż?

Znowu się wychylił, spojrzął Alys w oczy. Alys odwróciła wzrok, mrugając. Stwór też zamrugał.

– *Chcę mieć. Na pamiątkę.*

Serce Alys zwolniło i przykry ucisk ustąpił. Włoski na ramionach stanęły jej na sztorc, a krew w żyłach zaczęła krążyć żwawiej. Nie wiedząc czemu, ale czując, że powinna właśnie tak postąpić, Alys wręczyła Bestii nóż, trzymając go za ostrze. Stwór ujął nóż i go obwąchał, przechylając głowę.

– *Pokaż ręce.*

Znów niepewna, co robi, ale też bez wahania, Alys podwinęła rękawy i pokazała Bestii przedramiona, całe w czerwonych pręgach od uderzeń kijem. A Bestia ją polizała.

Gdy jęzor Bestii dotknął jej skóry, Alys się zatraciła. A raczej przestała być sobą. Stała się... żywiołem. Bez płci. Korzeniem, drzewem, ziemią. Nabrała mineralnej woni kropel deszczu na skale. Sama jej nie czuła. Nie było to wrażenie, odczucie. Była kamieniem. I była deszczem.

Ocknęła się. Przeszły ją dreszcze, gdy Bestia wodziła jęzorem po jej rękach. Jakby ją muskały setki miękkich piórek. Nie wiedzieć kiedy pręgi zniknęły.

– Dziękuję – szepnęła Alys. Nie była już żywiołem, ale czuła żywioł w Bestii. Czuła deszcz.

– *Napotkałaś pożeraczki dusz.*

– Tak – odparła Alys. – Napotkałam.

– *Znowu je napotkasz.*

Alys przypomniało się, jak Bestia najpierw ją spytała nie kim, ale czym jest. I oznajmiła, że jej szuka.

– Po co mnie szukałaś? – zapytała teraz Alys. – Dlaczego mnie?

Bestia podniosła głowę.

– *Jesteś jak one.*

Tak to Alys poznała odpowiedź na pytanie, które prześladowało ją od tamtej nocy. Pytanie, które się rozrosło, spęczniało, zogromniało do rozmiarów drzewa z za domu ojca i matki. Poczła taki dreszcz, jaki ją przeszył, gdy pożeraczki dusz kładły ręce na jej ramionach. Poczła więź, która je łączyła, i swoje z nimi pokrewieństwo. Bliskość z tymi stworzeniami, które zabiły jej rodziców.

– Więc... jestem zła?

Bestia przyjrzała jej się bacznie. Rozwarła pysk jakby do ryku, lecz Alys tylko owiał wiatr. Przewiewana na wskroś, czuła strumień, parów, źdźbło trawy, płatek... Potem Bestia przysiadła i dała susa. Alys usłyszała odgłos gramolenia się, chrobotanie i szelest liści. Wydało się jej, że widzi, jak coś przemyka między liśćmi w górze – jednak Bestia zniknęła.

Tego wieczoru Alys odmówiła matce pokazania ramion. Nie zamierzała jej wyjaśniać ich gładkiej, nieskazitelnej bieli.

Matka obruszyła się.

– Jak wolisz. – Po tych słowach dała Alys maść i, odpuszczając mycie naczyń, pozwoliła jej się położyć.

Alys nie mogła zasnąć, pochłonięta myślami o Bestii. Przypomniało jej się doznanie żywiołu. Jak stała się żywiołem. Czy to złe? Nienaturalne? Ale wiatr jest najnaturalniejszy w świecie... Czowała, jak ją przewiewa – i jak wiruje wraz z nim.

Mijały godziny, a sen nie przychodził, kiedy usłyszała, jak ktoś do niej puka. Drzwi uchyliła matka z lampą naftową w ręce.

– Wstawaj, dziecko. Musisz mi pomóc.

Alys prędko się ubrała i wybiegła za próg, gdzie matka czekała już, owinięta w chustę, z lampą w jednej ręce, a koszykiem w drugiej.

– Chodźmy.

W wiosce było ciemno i spokojnie, toteż Alys nie musiała pytać, dokąd się udają. Wyczuła, że idą do jedyne go oświetlonego o tej porze domu, jedyne go, w którym przez chorobę nikt nie mógł zmrużyć oka. Matkę, jako akuszerkę, wzywano w środku nocy nieraz. Alys zaś wiedziała kiedy, bo nazajutrz rano twarz matki była poszarzała, a sińce pod oczami nie lawendowe raczej, tylko purpurowe. Dziś matka po raz pierwszy poprosiła Alys, żeby jej towarzyszyła.

Dom, w którym płonęły światła, należał do Pryce'ów. Dzień

wcześniej Mary Pryce urodziła chłopczyka. Ale to nie matka odbierała poród. Matka Mary zamiast niej wezwała inną akuszerkę. Jednak teraz zażyczyli sobie matki. Pani Pryce musiała bardzo źle się poczuć. Typowe dolegliwości leczyła zwykle ta lub inna znajoma akuszerka, lecz ojciec mówił, że gdy się chorym pogarszało, niezmiennie wzywano matkę.

Noc była ciepła, ale w domu Pryce'ów matka z Alys zastały zaduch. Kominek buchał żarem i pozamykano okna. Alys zaczęła się pocić pod koszulą z wełny. W kuchni matka zdmuchnęła lampę i postawiła ją na stole, przy którym siedział brat Pryce. Miał szczerą twarz i rzadkie jasne włosy. Był blady, wyraźnie przerażony. Siostra Mary, z wyglądu rówieśniczka Enid, kołysała kwilące niemowlę.

Matka rozejrzała się czujnie po pokoju.

– Gdzie Mary? – zapytała.

– Na górze – odparł brat Pryce zdławionym głosem.

– Jest z nią nasza matka – dodała dziewczyna.

– Mały potrzebuje mamy. Sarah, podaj go Alys. Później zgaś ten ogień i otwórz szeroko okno.

Sarah zawahała się, lecz Alys odebrała jej chłopczyka. Był drobny, a przy tym ciężki. Alys zapatrzyła się na jego szaro-piwnie oczy i otwarte usteczka. Czuła jego zagubienie w tym szorstkim, migotliwym miejscu.

– Mama kazała zamknąć okna, by nie wchodziły demony – wyjaśniła Sarah i, załamując ręce, spojrzała na brata Pryce'a, który popatrzył na matkę Alys, ale się nie odezwał. W miejscu jego ciała Alys ujrziała pustkę. Jakby tam siedziała figura woskowa, a on był gdzieś daleko.

Matka pokręciła głową.

– Dziecko, tu nie ma demonów. Rób, co mówię. Alys, pójdziesz ze mną.

Na górze były dwa pokoje. Matka zaprowadziła Alys do oświetlonego. I tutaj buchał ogień, a okna były szczelnie zamknięte. Matka odstawiła koszyk i wzięła od Alys dziecko. Pojmując w lot milczące spojrzenie matki, Alys zgasiła ogień i otworzyła okno. Świeże powietrze przecudownie ochłodziło jej policzki.

Matka powiedziała kiedyś Alys, że śmierć ma szczególny zapach. Alys tyle już razy widziała martwych ludzi i zwierzęta, że była z nim oswojona. Ów gnilny odór, słodkawy, przypominał woń zepsutego mięsa. A w pokoju czuło się nie trupa, tylko brudne ciało i nieświeży oddech.

Mary leżała na poduszkach, poczerwieniała i spocona. Trzymając na ręku niemowlę, matka odkryła nieco Mary. Pogłaskała ją jak dziecko, uspokajając cichutkim nuceniem.

– Podnieś się. Nakarmisz synka. – Rozsznurowała górę koszuli Mary i pomacała jej pierś. – Masz pokarm. A trzeba go synkowi. No już.

Malec najwyraźniej wyczuł, że jest blisko mleka, bo rozkwilił się jak szalony. Gdy matka przystawiła go do piersi Mary, momentalnie zapadła cisza. Alys starała się nie patrzeć, jak osłabiona Mary gładzi go po główce. Rozmyślała, czy Mary przeżyje. Matka wspominała, że gorączka po porodzie źle wróży. Alys miała nadzieję, że Mary nie odejdzie. Gdyby teraz opuściła malca, byłoby niedobrze. Niejedno dziecko umarło tuż po swojej matce.

Matka zwróciła się do pani Jones, matki Mary.

– Siostrzo, jesteś wyczerpana. Na razie ja się tym zajmę. Idź się położyć. Nie zostawię twojej córki samej. Odpoczywaj.

Pani Jones wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć. Lecz i tak protestowała. Mary rzekła:

– Mamo, nie martw się, bo już mi lepiej.

Alys nie dała temu wiary, pani Jones jednak, licząc, że to prawda,

pocałowała córkę w czoło i pogłaskała wnuczka. Po czym oddaliła się z pokoju jak cień.

– Mary – powiedziała matka. – Uważnie słuchaj. Jesteś chora, więc ci pomogę. Porządnie nakarmisz synka, a gdy skończysz, weźmie go Alys. Mnie i ciebie czeka potem praca.

Gdy nasycony malec usnął, Alys siadła z nim na stołku w kącie, czekając, co zrobi matka. Rozebrawszy Mary z przepoconej koszuli nocnej, matka ostrożnie powiodła dłońmi po jej brzuchu, powiększonym jeszcze od ciąży. Odtąd Alys już nie odwracała wzroku. Uzmysłowała sobie, że wcale nie jest tu potrzebna matce. Matka zawsze robiła takie rzeczy sama. Przyprowadziła tutaj Alys, żeby jej to pokazać. Alys posłusznie milczała więc i się przyglądała.

Matka wyjęła coś z koszyka, przewiązane sznurkiem zawiniątko. Poklepała Mary po ramieniu.

– Zaparzę ci herbaty, którą musisz wypić duszkiem. – Po tych słowach wyszła z pokoju.

Mary spojrzała na Alys, a ta uśmiechnęła się do niej. Mary o uroczej krągłej twarzy nie wyglądała na starszą od siostry.

Alys wstała.

– Chcesz zobaczyć synka?

Gdy Mary kiwnęła głową, Alys delikatnym ruchem podsunęła jej niemowlę. Układając je w ramionach Mary, poczuła bijące od niej ciepło. Mary nie buchała żarem, tylko jakby miała pod skórą płomyk. Przytknąwszy dłoń do jej brzucha, tak jak robiła to matka, Alys poczuła pod palcami pulsowanie krwi w żyłach i powietrze w płucach. I jeszcze coś. Coś obcego. Ognisko choroby. Wtedy Alys przemknęło przez myśl coś dziwnego – że mogłaby tam włożyć rękę, wyjąć je, ot tak, i uzdrowić Mary.

– Alys? – rozległ się nad nią głos matki.

Stojąc nad Mary, z dłonią rozplaszczoną na jej brzuchu, Alys

zapomniała o bożym świecie.

– Nic się nie dzieje, proszę pani – rzekła Mary, klepiąc Alys po rękę. – Dziewczynka jest delikatna.

– Wiem – odparła matka. – Alys, zabierz maleństwo.

Alys usłuchała. Matka przytknęła do warg Mary filiżankę i kazała jej wypić herbatę do dna. Herbata cuchnęła tak paskudnie, że Alys zrobiło się niedobrze. Mary, krzywiąc się, wypła wszystko do ostatniej kropli.

– A teraz, Mary – rzekła matka. – Wstaniesz.

– Nie mogę, proszę pani – odrzekła Mary. – Ledwo siedzę.

– Owszem, możesz. A gdy poczujesz skurcze, nie wolno ci się znów kłaść, dziecko. Pochodzimy sobie po pokoju, póki nie pozbędziesz się tego, czego nie udało ci się pozbyć wcześniej. – Matka spojrzała na Mary. – Łożyska i błon płodowych. Musi wyjść wszystko, bo inaczej potem gnije. I stąd bierze się gorączka. Bardzo niebezpieczna. Wstań więc i wysil się, by móc nakarmić synka, gdy zbudzi się i zawoła.

W niespełna godzinę było po wszystkim. Zagryzłszy wargi, Mary zwlekła się łóżka. I chodziła w koło, często kucając. Gdy krew ciekła jej po nogach, matka zbierała coś z podłogi w prześcieradła. Mary rozplakała się w jej ramionach.

– Już dobrze, dziecko. Wszystko będzie dobrze.

Matka przywołała wzrokiem Alys. Wzięła od niej niemowlę i oddała mamie. Później wzięła oboje w objęcia, pilnując, żeby Mary nie upuściła synka.

Alys lekko przytknęła dłoń do brzucha Mary, ledwie muskając jej muślinową koszulę. Mary oddychała spokojnie i przestała się już pocić. Wszystko było w normie. Gdy podniosła oczy na matkę, ich spojrzenia się spotkały. Matka położyła dłoń na dłoni Alys.

– Pamiętajcie – szepnęła – gdyby was pytano, co to za herbata,

mówcie, że rumiankowa. Tyle. Że napiłam Mary kojącą herbatą rumiankową.

Tej nocy Alys spała niespokojnie, a gdy wstała, żeby pomóc matce przy śniadaniu, okazało się, że sen prawie całkiem uleciał jej z pamięci. Bo miała sen. Przywoływała skrawki obrazów. Płaczące niemowlęta, nogi we krwi i zgrzytająca kłami Bestia... Potem wiatr, deszcz i liście w jej włosach. Wspinaczka na drzewo – wrażenie tak sugestywne, że omal go nie wzięła za wspomnienie. Jak to dziewczynka, nigdy się przecież nie wspinała. A już z pewnością nie na drzewo.

Po śniadaniu – złożonym z owsianki z miodem i śmietaną – ojciec poszedł do warsztatu jak co dnia. Matka nakazała Alys zacerować jedną z jego koszul.

– Kiedy skończysz, wybierzemy się do lasu. Weź swój ostry nóż, nie zapomnij.

Zbliżając igłę do szorstkiej koszuli, Alys skamieniała.

– Nie mam go – odrzekła.

Prawdę mówiąc, kochała nóż bardziej niż lalkę zostawioną w Gwenith. Uwielbiała trzymać go w dłoni. Miał idealny ciężar i rozmiar. Ojciec własnoręcznie wyrzeźbił uchwyt.

Matka popatrzyła na Alys przenikliwymi ciemnymi oczami.

– Jak to: nie masz?

– Pewnie wczoraj go zapomniałam. – Nie skłamać, kłamiąc – Alys nabierała w tym wprawę.

– Skoro tak – odparła matka – pójdziemy go poszukać.

Alys zerknęła na matkę, gotowa odpowiedzieć, że poszuka noża sama, kiedy drzwi się otworzyły i w progu stanął ojciec. Jego czarna, przykurzona trocinami sylwetka odbijała się na tle porannego słońca.

– Chcą nas widzieć w domu modlitwy – oznajmił. – Wszystkich.

Kiedy tam szli, wyjaśnił, że Starsi zdecydowali o przyszłości wioski i uradzili, jak można by ją ocalić przed tym, co spotkało Gwenith.

Wieśniacy szczerze wypełnili dom modlitwy, po jednej stronie zebrali się mężczyźni i chłopcy, a po drugiej kobiety, dziewczęta i dzieci. Stłoczeni na podłużnych drewnianych ławach bez oparcia. Najstarszy zasiadł na szerokim krześle z przodu, a reszta Starszych stanęła rzędem po jego prawej i lewej stronie. Najstarszy był wśród nich najbardziej barczysty i najwyższy, więc Alys pomyślała, że pozycję zawdzięcza pewnie wzrostowi.

Gdy wszyscy wieśniacy już się umościli, dwaj – wypisz wymaluj Najstarszy – krzepcy chłopcy zamknęli dom modlitwy. Najstarszy wstał.

– My, Starsi – zaczął – chcieliśmy sobie odpowiedzieć, czemu gwenithianie stracili w Dobrym Pasterzu opiekuna. Dlaczego ich opuścił i pozwolił Bestii wysłać między nich pożeraczki dusz i swe potomstwo, wilki. Kto sprowadził to zło do Gwenith.

Kiedy w sali rozległ się pomruk, Alys dobiegło powtarzane syczącym szeptem: „pożeraczki dusz” i „czarownica”. Czuła, jak wieśniacy zerkają, mrużąc oczy, na nią i resztę dzieci z Gwenith. Przypomniała sobie przestrogę Pawła, żeby nawet nie wspominać o pożeraczkach. Jak zachowałby się teraz, gdyby powiedziała mu o Bestii? Pewnie uciekłyby od niej. Nawet on by się jej teraz lękał. Alys traciła nadzieję. Choć nauczyła się kłamać, nie kłamiąc, nie umiałaby udawać, jak należy, ani zataić tego, co zrobiła, co widziała i do czego dopuściła... Unosiłoby się to nad nią jak odór. Pękłoby i wysączyło się z niej tak jak zgnilizna z owocu.

Najstarszy uniósł otwartą dłoń i wieśniacy się uciszeli.

– Nie znajdujemy odpowiedzi, przyjaciele. Nie potrafimy pojąć,

co spotkało Gwenith. Możemy jednak pozostać czujni w duchu na pokusę pychy, cudzołóstwa, lenistwa i obżarstwa.

Alys zastanawiała się, co znaczą te długie i niezrozumiałe słowa. Wiedziała, że obżarstwo ma coś wspólnego z przejedzeniem. Tato nieraz nazywał obżartuchem Najstarszego Gwenith, tłuściocha, który ich odwiedzał, ilekroć mama piekła ciasto z jeżynami.

Mamine ciasto z jeżynami... W tym roku już go nie będzie. Ale może dostanie szarlotkę. Alys z miejsca wróciła do rzeczywistości. Nie wiedziała, czy matka piecze ciasto. Nie miała bladego pojęcia.

Starszy ciągnął przemowę:

– Możemy dziękować, że zło, które zabrało tych nieszczęśników z Gwenith, nas omija. Pasterz uznał nas za godnych swej opieki. Osądził niegodziwych, zaś resztę nas oszczędził.

Alys ogarnęło już jej znane, dojmujące uczucie gniewu. Według tych ludzi mamie z tatą zabrano życie dlatego, że byli podli. A przecież wcale nie byli. Niedobra była Alys. To ona wyszła nocą na przechadzkę i dała się dotknąć pozeraczkom dusz. Ona też stwierdziła, że są piękne. I ona oddała nóż Bestii, trzymając go za ostrze – zamiast wrazić go w jej ciało po rękoność, tak jak zrobiłby to pewnie każdy z tych tu, przyzwoitych defaidian. Deszczowa woń Bestii nie przelękała Alys, lecz uspokoiła, a jej ból ukoił język, którym Bestia lizała ją po przedramionach.

– Nie możemy jednak liczyć tylko na opiekę Pasterza – rzekł Najstarszy. – Musimy Mu udowodnić, że jesteśmy godni Jego troski. Żeby więc chronić się przed potworami Bestii, wzniesiemy wokół naszej wioski potężne drewniane ogrodzenie.

W odpowiedzi rozległy się na sali ożywione szepty.

Najstarszy znów podniósł rękę.

– Wiem, bracia i siostry, wiem. Ciekawi was, jak się to uda. Plany już są gotowe, a w czyn wcielą je mężczyźni i młodzieńcy. Starszy

Miles sporządził mapę nowej – ogrodzonej – wioski Defaid. Zamieszkali dziś na peryferiach zostaną przeniesieni bliżej centrum. Będziecie wprawdzie musieli opuścić domy i zbudować nowe wewnątrz nowych granic. Ale w zamian za to drobne poświęcenie – w czułych objęciach Pasterza nic wam nie zagrozi. Potraktujmy jako przestrożę dramat, który dotknął Gwenith. Weszła między nich Bestia, nie wiedząc w jaki sposób. Zgubili drogę. Nam więc zgubić jej nie wolno.

Kiedy kazanie się skończyło, wieśniacy wstali. Dorośli utworzyli grupy, zadając sobie pytania, na które żadne nie umiało odpowiedzieć. Alys popatrzyła na ojca i na matkę.

– Musimy się przeprowadzić, prawda?

– Tak – odrzekł ojciec. – Musimy.

– Mogą nam to nakazać? – zapytała matka. – Nie moglibyśmy przekonać Najstarszego, że nasza wiara jest dość silna, że nie musimy opuszczać domu i kryć się za ogrodzeniem...?

– Heledd – odpowiedział ojciec. Tak matka miała na imię. – Odpowiedź na to pytanie znasz tak dobrze jak ja. Skoro nakazuje to Najstarszy, musimy go usłuchać.

Alys zrobiło się żal matki. Tak bardzo kochała ten dom, a i ona już go trochę polubiła. Zwłaszcza to ogromne drzewo, najrozłożystsze i najszersze ze wszystkich, które widziała w życiu.

Ojca jednak nie umiała żałować tak do końca. Nie zapomniała mu pręg na przedramionach. Bestia je zagoiła, ale Alys dotąd pamiętała, jak piekły. Więc chociaż ojciec mówił, że nie mógł zachować się inaczej, a ona czuła, że te cięgi wcale nie były najmocniejsze... tak czy owak zrobił to – dlatego tylko, że tak polecił Najstarszy. Zatem nie, nie mogła zbytnio go żałować. No i raz poprzysięgła sobie, że gdy dorośnie, nigdy nie będzie robić niczego wbrew swej woli. A co dopiero słuchać jakiegoś pana w czarno-

białym stroju.

Alys wlokła się za matką żółwym krokiem, z niedorzeczną nadzieją, że im wolniej pójdzie, tym prędzej matka zapomni o jej ostrym nożu. Ale matka nie zapominała o niczym. Nawet ogrodzenie i strach przed opuszczeniem domu nie oderwały jej myśli od noża.

– Gdzie byłaś, kiedy ostatnio miałaś go przy sobie, Alys? – zapytała.

Gdy stanęły na skraju lasu, matka spojrzała na Alys pytająco. Alys przypomniała sobie, że kiedy się poznały, matka nie patrzyła jej jak teraz prosto w oczy. W tej chwili Alys pomyślała, że może był to z jej strony wyraz życzliwości. Matka znała siłę swego wzroku. Wiedziała, jak Alys się kręci, uziemiona tym spojrzeniem. I teraz Alys poczuła, że matka próbuje zbić ją z tropu. Chce dać jej do zrozumienia, że nie pozwoli się oszukać.

Wystarczyło jedno drgnienie powiek Alys. Tylko jedno zerknięcie w głąb wilgotnego lasu. Alys spojrzała matce prosto w twarz, lecz było już za późno. Matka się zorientowała. Orientowała się zawsze.

– Poszłaś do lasu sama? – spytała, a raczej stwierdziła pewnym tonem matka.

– Poszłam.

– Skoro tak, to chodźmy go poszukać. – Matka obróciła się na pięcie i ruszyła w las, nie oglądając się za siebie. Kamienie i konary omijała wprawnym krokiem, tak jakby znała na pamięć wszystkie zakamarki lasu. Szły w milczeniu, matka na przedzie, więc Alys uzmysłowiła sobie, że wcale nie szuka ona noża. Wreszcie matka przystanąła i popatrzyła na Alys.

– Musimy być ostrożne. Znacznie ostrożniejsze.

Alys poczuła, że przechyla głowę jak pies Gaenor.

– Twoje wędrówki, Alys. Znam tę potrzebę. Rozumiem, skąd się w tobie wzięła. A jeśli sądzisz, że ktoś cię teraz obserwuje... nie masz pojęcia, dziecko. Ogrodzenie budują nie po to, by ludzie trzymali się od nas z dala. Budują je, żeby nikt nie wychodził. Zwłaszcza tacy ludzie jak my. – Matka złapała Alys za nadgarstek. – Powiedz, Alys. No powiedz mi, że wiesz.

Wstrząśnięta Alys doznała wrażenia, jakby ciasno otoczyły ją mury. Ze zduszonym oddechem zapragnęła rozpaczliwie wydostać się ze swego ciała. Matka puściła jej rękę. Żołądek podszedł jej do gardła, aż omal nie zwymiotowała pod nogi matki.

– Uważam – ciągnęła matka. – Tak bardzo uważam. Ale teraz największa ostrożność nie wystarczy. Spaliliby nas obie jako wiedźmy, gdyby wiedzieli, do czego jesteśmy zdolne. Nie patrz tak na mnie, dziecko. Wiem, że wiesz. Wiem, że wiesz, co zrobiłam w brzuchu Mary. Wiem, że to czułaś, gdy przed chwilą trzymałam cię za rękę. Wiedziałam to od pierwszej chwili, gdy usiadłaś przy kuchennym stole. Nie pytaj, skąd. Ale wiedziałam.

Alys miała masę pytań, lecz wołała nie przerywać matce, w obawie, że ta znowu ucieknie w milczenie.

– Skąd to w nas? – zapytała jednak. – Jesteśmy niegodziwe?

– Nie jesteśmy. Czy zdolność rozpoznania choroby poprzez dotyk to coś złego?

– Więc czemu by nas spalili jako czarownice?

– Ze strachu. – Matka wzruszyła ramionami na znak, że to jedyny powód.

Alys przypomniało się, jak matka skłamała co do herbaty.

– Ta herbata, którą dałaś Mary... To coś magicznego?

Matka odchrząknęła.

– Nie bądź niemądra, Alys. Nie było żadnych czarów. Jedynie działanie natury. Nauczyłam się od matki, tak jak ona nauczyła się od swojej, które zioła wywołują poród i pomagają wydalić łożysko. Ale Starsi nie życzą sobie takich ingerencji. Według nich mamy tylko ufać Pasterzowi. Kiedy żyjemy, to żyjemy. Gdy umieramy, to umieramy. – Znowu odchrząknęła. – Nie jesteś głupia, Alys, ani ja nie jestem. Gdy więc przeniesiemy się za ogrodzenie, nie zabiorę ziół z piwniczki i już nigdy nie będziemy o tym mówić. Uważaj na siebie, słyszysz? Bo wchodząc w nowy obręb wioski, powierzamy swój los Starszym. Nie będzie już więc odwrotu. Zrozumiałaś, dziecko?

Alys pokiwała głową, nie do końca przekonana, czy rozumie. Czasu zostało niewiele. Za mało, by zdążyła zadać inne nurtujące ją pytania. Matka nigdy nie mówiła tyle, ile teraz w tym szarawym i ociekającym rosą lesie.

– A pozeraczki dusz?

– Słucham? – Matka zmrużyła oczy.

– No, czy się ich nie boisz?

Matka westchnęła, jej rysy złagodniały.

– Chyba powinnam. Po tym, co zrobiły twojej mamie, twemu tacie i pozostałym nieszczęśnikom z Gwenith. Ale bardziej obawiam się kaszlu, który nie przechodzi, i wzrastającej gorączki, której nijak nie da się obniżyć. Takie to, nie inne strachy budzą mnie w środku nocy, dziecko. – Matka zawróciła w stronę domu. – Chodźmy, Alys. Ojciec pewnie wyczeka już kolacji.

Nie pojmując, co ją napadło, Alys zapytała:

– A nóż?

Matka popatrzyła na nią, wznosząc oczy do nieba.

– Przecież wiesz, dziecko, że go nie znajdziemy.

Zgodnie z nakazem Najstarszego defaidianie opuścili gospodarstwa i chaty na peryferiach. Wioska skurczyła się. Alys miała wrażenie, jakby wokół szyi zaciskała jej się pętla. Bramę ogrodzenia, objaśnił Najstarszy, zamykać będą o zachodzie słońca, a otwierać dopiero o świcie. Ma to ich chronić przed Bestią i jej sprzymierzeńcami.

Budowę ogrodzenia rozpoczęto od razu. Powietrze wypełnił jazgot pił do cięcia drewna. Karczowanie lasu wokół Defaid przedstawiało okropny widok. Drzewa, jedno po drugim, trzeszcząc, waliły się na ziemię. W głównej części wioski, gdzie wokół solidnych kamiennych domów było dotąd dużo przestrzeni, wszelkie niemal szczeliny wypełniły domy z drewna. Nowy dom matki i ojca był niewielki w porównaniu ze starym. Parterowy, miał piwniczkę i dwie izby, przylegające do głównego pomieszczenia, w którym mieściła się kuchnia ze stołem i paleniskiem. Któregoś popołudnia, krojąc ziemniaki w dawnej kuchni, z której wkrótce miała się wynieść, matka rzekła do ojca:

– Gorące latem, zimne zimą, takie to są drewniane domy. – Potrząsnęła nożem. – Oczywiście Najstarszy nie musi się przeprowadzać. Oooo, nie. Nie ruszyłyby się ze swego kamiennego domu.

Tak domy, jak i ogrodzenie budowano w gorączkowym pośpiechu i z determinacją. Jesień była w pełni, dokładano więc starań, by zdążyć przed przymrozkami, kiedy nie będzie już można stawiać filarów ani kopać piwnic. Co dnia więc wioska Defaid zapełniała się nowymi budynkami, a ogrodzenie rozrastało się i wznosiło nad nimi jak żywe stworzenie wśród mgły.

Ogrodzenie miało kształt trójkąta, którego każdy z trzech krańców wieńczyła wieża strażnicza. Na dachu każdej strażnicy zawieszono na żelaznym haku latarnię. Strażnice miały w podłodze klapy z drabinami – i tylko po nich wchodziło się na górę, pokonując

wysokość dwudziestu stóp. Trzy stopy poniżej szczytu ogrodzenia, na całej jego długości, biegła niebezpiecznie wąska kładka. Do wioski wchodziło się jedną tylko bramą. Szerokości dwudziestu stóp, zamykaną na drewnianą zapadkę, wielką tak i ciężką, że do opuszczania jej co wieczór trzeba było ośmiu rostrych mężczyzn.

Gdy budowniczy i rzemieślnicy zajmowali się konstrukcją ogrodzenia, Starsi debatowali nad tym, jak strzec go przed nieproszonymi gośćmi. Pilnowanie go za dnia nie nastęczało problemu. We wsi nie brakowało silnych ludzi, mieli więc oni ustawiać się pod ogrodzeniem i sprawdzać handlarzy przybywających do wsi, później zaś – o zmroku, przed zamknięciem bramy – dopilnowywać, czy wszyscy odjechali. To dozór nocny martwił defaidian. Kto spośród nich miałby dość odwagi? Jak mieliby się chronić przed zagrożeniami, zwłaszcza ci na polach, strzegący swej trzody? Na myśl o pożeraczkach dusz i wilkach wieśniacy wzdrygali się ze strachu.

Aż pewnego dnia wezwano do domu modlitwy wszystkie dzieci z Gwenith powyżej siódmego roku życia i oznajmiono im, co następuje.

Starsi uradzili, że to one winny co noc strzec ogrodzenia. Będą też wychodzić poza ogrodzenie, aby pilnować owiec. Bo przecież w Gwenith nic się im nie stało. Bestia im nie zagraża, więc nikt inny nie nadaje się do tego lepiej. Tylko one mogą bez lęku czuwać na pastwiskach od zachodu do wschodu słońca. Młodsze dzieci, rzecz jasna, są zwolnione z tego obowiązku. Reszcie zaś przydzielili się posterunki wokół ogrodzenia – i stada owiec na polach. Żadne nie będzie bezczynne. Tak jak pies zostawia zapach, aby odstraszyć lisy i wilki, dzieci z Gwenith posłużą w nocy za latarnie odstrasające stwory Bestii, które mogłyby zagrozić wiosce.

Uchwalono też, że co noc dorosły z Defaid sprawdzi, czy zamknięto bramę. Ma on siedzieć w wartowni, bezpieczny za

ogrodzeniem. Każda z sierot dostała gwizdek z trzciny na rzemyku – do powieszenia na szyi. Na pierwszy znak niebezpieczeństwa dzieci, gwizdząc, miały budzić ze snu wieśniaków, aby mogli oni pozamykać się w piwniczkach przed pożeraczkami dusz i innymi potworami.

Tak to sieroty z Gwenith zostały strażnikami Defaid. Zaś Alys poznała cenę zadowolenia mężczyzny w czarno-białym stroju.

Alys sądziła dawniej, że miło nie spać w nocy, jako niemądre dziecko, któremu nikt nie zabrania decydować, czy jest, czy nie jest zmęczone.

Teraz Alys była zmęczona ciągle. Nieustannie też miała nudności. Nieraz zdarzyło jej się usnąć z brodą przy samym ogrodzeniu – i zbudzić się chwilę później z drzazgami powbijanymi w skórę. Tymi drzazgami przejmowała się jednak najmniej. Jeden błędny krok na wąskiej kładce biegnącej u szczytu ogrodzenia wystarczał, żeby spaść z dwudziestu stóp na twardą ziemię. Dzieci strzegły wioski od kilku miesięcy, a kilkoro zdążyło już połamać kości. Madog szeptał do Enid, że któreś w końcu złamie kark. A wtedy może, dodawał, defaidianie się opamiętają. Będą musieli uznać, że to nie jest zajęcie dla dzieci.

Aż jedno z dzieci złamało kark. Bergam, jednak jak Alys i tak jak ona siedmiolatek. Tej nocy Alys była na pastwisku – i właśnie Enid powiedziała jej nazajutrz, jak usłyszała krzyk w ciemności, a potem odgłos upadku, tak potworny, że chyba nie zapomni go do końca życia.

Madog mylił się. Upadek Bergama nie zmienił myślenia defaidian. Starsi upomnieli tylko dzieci z Gwenith, by były ostrożniejsze.

Raz omal nie zabiła się tak samo Alys. Stało się to, gdy nadszedł pierwszy przymrozek. Kładka była oblodzona, a oczy Alys nie przywykły jeszcze do ciemności. Teraz mogła chodzić tą drogą z zaciśniętymi powiekami, z rękoma związanymi z tyłu. Lecz na początku każda noc budziła grozę jako walka z sennością.

Dzieci miały czuwać, stojąc oddalone jedno od drugiego. Nie mogły ze sobą rozmawiać ani się gromadzić. Gdy więc Alys straciła równowagę na śliskiej kładce, powinna była stracić życie, bo nie miał kto jej złapać. Szczęśliwie rzucił się ku niej chłopczyk imieniem Delwyn, który zawsze chodził tuż za nią, bo źle się czuł samotny. Zamiast więc połamać karki, podtrzymali się nawzajem. Chwilę później przywarli do siebie, z dygoczącymi sercami. Po czym Alys szepnęła mu „dziękuję” i oboje złapali równowagę.

Każdy kolejny dzień Alys w Defaid wyglądał tak samo jak poprzedni. W południe matka budziła ją, by zjadła obiad, zrobiła to i owo w domu i wysłuchiwała prostych nauk. Przed zachodem słońca podawała jej kolację, a potem wysyłała ją pilnować ogrodzenia albo strzec owiec poza nim. Kiedy wschód słońca kończył jej czuwanie, budząc ze snu innych, Alys wracała do domu, żeby znów posilić się i przespać.

Spędzanie nocy wraz z resztą dzieci z Gwenith mogłoby być przyjemnością... Wszyscy jednak byli zbyt zmęczeni, by rozmawiać, a co dopiero chcieć się bawić. Gaenor tak zmizerniała z wyczerpania, iż Alys się przeraziła, że jeszcze chwila, a całkiem zniknie. W Gwenith Gaenor była rumiana i wiecznie roześmiana. Teraz stała się ledwo cieniem siebie i miała sińce pod oczami.

Alys czuła, że wygląda jak ona. Tak jak wszystkie dzieci z Gwenith. Ciemnowłosego czy jasnowłosego, wyższego czy niższego, o oczach barwy mchu lub skały – żadnego dziecka z Gwenith nie dało się pomylić z dziećmi, które przyszły na świat w Defaid. Zapadłe oczy dzieci z Gwenith różnił jedynie odcień sińców – od zielonego, poprzez szary, po granatowo--fioletowy. Ani jedno z tych dzieci nie było też puciołowate. Sprawiały wrażenie, jakby silny podmuch wiatru nocą mógł zwiać je z ogrodzenia. Co zresztą czasami się zdarzało.

Dzieci z Defaid natomiast były różowiutkie i beztroskie. Raz po

raz wybuchały śmiechem, baraszkowały w blasku słońca, a w nocy smacznie spały.

Alys nie przepadała za dziećmi z Defaid. Za nimi ani za ich głupimi rymowankami. Do tego stopnia, że znienawidziła te stare piosenki, mimo że w czasach Gwenith wiele z nich śpiewała sama. Teraz odbierała je inaczej. Wszystkie rymy tak się do niej przyczepiały, że nijak nie umiała ich wytrząsnąć z głowy.

Niby cię nie widzę?

Toś jest w dużym błędzie

Nura daj pod kołdrę

Próbuj śpiewać piosnkę

Gdy od tyłu się podkradnie

Cichutko zakwili

Masz ambaras, moja mała

Bestia cię przyszpili!

Wspominając, ile to razy straszyla rymowankami Gaenor, Alys stwierdziła, że nie ona je śpiewała, tylko inne dziecko. W innym życiu. Odkąd mamę i tatę zabrały pozeraczki dusz, a w lesie podeszła do niej Bestia, dawne piosenki przyprawiały ją o mdłości. Serce jej twardniało i ciemniało, gdy słyszała, jak je podśpiewują bezmyślne dzieci z Defaid. Miała ochotę złapać któreś z nich za włosy – na przykład słodką Cerys, jedną z najładniejszych tu dziewczynek – i powiedzieć, jak wygląda Bestia, kiedy się skrada do ofiary. I że nie kwili, tylko mówi do człowieka z jego wnętrza. Że czuje się przy niej zapach wiatru... Alys chciała zobaczyć, jak Cerys wybałusza oczy z przerażenia. Chciała ją doprowadzić do łez.

Alys też się czasem bała. Złoszcząc się jak teraz, czuła, była

pewna, że inne dzieci z Gwenith nie mają takich wstrętnych myśli. Inne dzieci z Gwenith były zmęczone. Znużone. Często smutne. Ale nie gniewne czy zawzięte. Zawziętość miała gorzki smak. Od tej goryczy aż jej zasychało w ustach. Pozornie Alys nie różniła się od innych dzieci z Gwenith, spostrzegła więc, że nie przystają już, by na nią patrzeć tak, jakby знаła rozwiązanie niepojętej dla nich zagadki. Była wyczerpana jak one. Brnęła przez życie z taką samą rezygnacją. Los ich nie różnił się niczym.

Kiedy Alys była mała, sądziła, że noc to coś strasznego, ale teraz noc stała się potworem, wielkim, mrocznym, decydującym o kolejnych dniach jej życia. Potwór zamieszkiwał ogrodzenie, zbudowaną z drewna górę, którą Alys poznała lepiej niż swój pokój. Alys coraz gorzej pamiętała czasy, kiedy ogrodzenie nie istniało, gdy noce i dni nie biegły zgodnie z wyznaczonym przez nie rytmem. Już latem było okropnie, bo dni się dłużyły. Ale zimą ledwie się skończyło pracę, zapadał zmierzch i ogrodzenie znów wzywało dzieci.

Wieczorami dzieci z Gwenith wspinały się na ogrodzenie albo szły z owczarkami w ciemniejące pola. Tymczasem – gdy porządnie zamykano bramę – defaidianie zbierali się, by spojrzeć jeszcze na skrawek fioletowego horyzontu. I śpiewali:

Pasterzu, który czuwasz,

Obserwujesz

Nas, owieczek swych

Pokorne stado

Za czułą troskę

Dziękujemy

My, trzoda twa,

Już spać idziemy.

Alys od początku odmawiała śpiewania z defaidianami pieśni przedwieczornej. W końcu przestały ją śpiewać wszystkie dzieci z Gwenith. Dla wielu z nich zaważył o tym pierwszy opad śniegu i pierwsza burza, gdy ślizgały się na przejściu wokół ogrodzenia, dygotały z zimna na pastwiskach albo kulily się pod ciekącym dachem którejś z wież strażniczych. Według Alys to, że nie śpiewały, nie miało większego znaczenia. Dzieci z Defaid śpiewały tak głośno, że nikt się tym nie przejmował.

Tak upływały lata. Z dziecka o podkrążonych oczach Alys wyrosła na dziewczynkę. Przywołując w pamięci pierwsze dni w Defaid, rozmyślała, jak udało jej się przeżyć. To, co wiedziała teraz, jako dwunastolatka, przyćmiło wszystko, co uważała za wiedzę, kiedy miała siedem lat. Ale pewne rzeczy nie uległy zmianie. Alys nadal czuła wstręt do Starszych, więc ich żony omijała jak najszerszym łukiem.

Nie zawsze jednak było to możliwe, bo matka często wysyłała ją, by coś załatwiła, przeważnie poza ogrodzeniem.

Dla matki był to pewnie wyraz życzliwości – chciała podarować Alys choć trochę swobody. Ale Alys, żeby poczuć tę wolność, musiała najpierw prosić o pozwolenie Starszego Milesa albo jego żonę. Najstarszy po wzniesieniu ogrodzenia podzielił wioskę na trójkąty, jak dzieli się ciasto. Każdy trójkąt należał do jednego ze Starszych. Alys, matka i ojciec podlegali Milesowi, którego Alys uważała za cień Najstarszego. Trzymał się on go tak blisko, że Alys nazwała go sobie Ramieniem. Gdzie był Najstarszy, tam był i Ramię; pochylony, szeptał mu do ucha.

Zwyczajni defaidianie mogli przekraczać ogrodzenie kiedy tylko chcieli. Pod trzema warunkami. Po pierwsze, musieli meldować się

i wymeldowywać w wartowni. Po drugie musieli wracać przed zachodem słońca. A po trzecie nigdy nie wolno im było wracać do opuszczonych zagród. Odwiedzanie tych miejsc karano wiecznym wygnaniem. Alys domyśliła się, że Starsi wiedzą, iż każdy, kto choć chwilę pobędzie w dawnym domu i odetchnie świeżym powietrzem, nigdy już nie zechce wrócić do tej dusznej, zatłoczonej wioski.

Dzieci z Gwenith, które chciały wyjść za bramę, obowiązywały surowsze zasady. Musiały one odwiedzać swoich Starszych i rejestrować się w specjalnej księdze. Później dostały żelazne bransoletki z numerami, które miały nosić poza wioską, a po powrocie oddawać. Nie noszenie ich było ważne, lecz zwracanie. Każdy Starszy, do którego bransoletka nie wróciła przed nocą, wiedział, że dziecko z Gwenith oddała się od Defaid.

Starsi nie obawiali się niczego bardziej niż tych wędrówek. Alys marzyła, by zobaczyć minę Najstarszego, gdy wstając rano, odkryje niespodzianie, że dzieci z Gwenith zniknęły. Były to jednak mrzonki. Dzieci pamiętały przecież o umowie, którą zawarły. Oddając Defaid oczy, uszy, siebie i swoją młodość, dostały w zamian jado, ubranie i schronienie, a więc jakiś pozór bezpieczeństwa. Nie tylko głód i chłód zagrażały tym, którzy wypuszczali się gdzieś dalej. Wśród dzieci krążyły historie o kobietach drzewach, które nocą szeptem i śpiewem obiecywały sen i odpoczynek. Kobiety były dotąd widziane tylko przez dzieci starsze, powyżej szesnastego roku życia. Ale za ich usypiającym głosem nie podążyło ani jedno. Alys sądziła, że stanie się to wkrótce – i rzeczywiście któreś poszło śladem kobiet. By się przespać. Bo za sen każde z dzieci z Gwenith oddałoby zapewne wszystko.

Żadnemu z nich nie trzeba było mówić, by zachowały te wizje dla siebie. Zdradzając coś takiego komuś z Defaid, dziecko narażało się

na chłostę albo i gorzej – na wygnanie. Toteż dzieci z Gwenith rozmawiały o nocnych śpiewach tylko między sobą i jak najciszej, wyłącznie po drodze na pastwiska.

Alys zastanawiało, czy ktoś z Defaid choć raz słyszał śpiewy albo widział pożeraczki dusz nocą. Stwierdziła jednak, że to wątpliwe, bo defaidianie nie wychylali wtedy nosa poza bramę. Żaden śpiew nie mógł ich dobiec – drewniane zapory chroniły przed wszystkim. Przez bramę nie dostawało się do środka nic, czego by nie chcieli widzieć. Wędrowców wpuszczano dla handlu, ale mieli nakaz wyjeżdżać przed szarówką. Pilnowały tego strażę.

Każdy wędrowny handlarz kojarzył się Alys z Pawłem. W ciągu tych lat widywała Pawła wielokrotnie. On i jego żona Beti zawsze śmiali się do Alys. Widząc ją, Pawł powtarzał: „To panienska, którą znalazłem. Prawda, że prześliczna?”. Raz opowiedział jej, jak Starsi nie zgadzali się, by wziął ją do Krainy Jezior, mimo że dokładał starań, aby ich przekonać. Musiał robić to ostrożnie, bo inaczej zabroniliby mu handlowania we wsi. Prócz tego doszedł do wniosku, że lepiej będzie jej wśród swoich, w bezpiecznym solidnym domu, a nie na zimnym wozie. Wtedy nawet się nie domyślał, do czego defaidianie zmuszą dzieci. Słuchając argumentów Pawła, Alys poznała, że jest szczery. Ale choć jako nastolatka wiedziała o życiu niemało, pragnęła, by okazał się silniejszy niż jego argumenty. Chciała, by ją zabrał nad jeziora, nie przejmując się konsekwencjami. Potem jednak już nigdy nie poprosiła, żeby ją ratował. Nigdy też nie wspominali, jak zostawił ją, płaczącą, w Defaid.

Od tego dnia jeszcze się jej nie zdarzyło płakać.

Alys właśnie kończyła zmywać naczynia po kolacji, kiedy matka powiedziała, że trzeba iść na ogrodzenie. Był schyłek lata, więc noce zapadały coraz wcześniej. Alys poszła do pokoju, by ciepłej się ubrać, i zawiesiła sobie gwizdek na szyi.

Miała dziś pilnować owiec na pastwiskach. W takie noce bywało tam przyjemnie. Aż do rana mogła się wałęsać wśród wysokiej trawy, a z owczarkami czuła się różnie, choć nie zwracały uwagi na ludzi. Jako psy szkolone zajęte były tylko obroną owiec przed lisami i wilkami.

Chodzenie po trawiastych polach przypominało Alys o spotkaniu z pożeraczkami dusz w Gwenith nocą. Odkąd dowiedziała się od starszych dzieci o śpiewających tu kobietach drzewach, wciąż nadstawiała uszu, żeby usłyszeć ich muzykę. Alys nieraz zdawało się, że słyszy, jak ktoś za nią woła, uspokaja, ale potem docierało do niej, że to tylko wiatr w listowiu albo szelest gałęzi. Nie dawało jej spokoju, kiedy znowu spotka pożeraczki dusz, i co się wtedy zdarzy. Przyciągały ją, a zarazem przerażały, co było nie do zniesienia. Mimo że inne dzieci nie przyglądały jej się już jak obcej – Alys wiedziała swoje. Codziennie czuła się jak potwór wśród niewiniątek, jak w pułapce, z której nie można się wydostać. Skrywając prawdziwe ja, Alys stwarzała dystans między sobą a otoczeniem, w tym także innymi dziećmi z Gwenith. Nie miała wśród nich nikogo bliskiego. Już nie. Jej przyjaciółka od serca, Gaenor, umarła od gorączki, gdy obie skończyły dziesięć lat. Gaenor słabła, odkąd przywieziono ją do Defaid, aż, po tygodniu zmagania z przeziębieniem, osłabła do cna. Nawet matce Alys nie udało się jej uratować.

Alys myślała o tym, kiedy defaidianie śpiewali swą pieśń przedwieczorną. Potem, niemal w ostatniej chwili, przeszła przez bramę, z czarnym podpalanym owczarkiem. Przed nią zmierzał już ścieżką w stronę pastwisk Delwyn, dzięki któremu jako siedmiolatka nie spadła z ogrodzenia. Towarzyszyli mu bracia, szesnastoletni bliźniacy Aldon i Aron, identyczni. Choć Alys miała tyle lat, co Delwyn, to przewyższała go o głowę i była mocniej zbudowana. On był chudziwą o włosach tak jasnych, że w blasku

księżycyca zdawały się świecić. Poruszał się tak cicho i tak prędko, że bracia nazywali go Królikiem.

Dziś jednak Delwyn szedł wolno. Alys zorientowała się, że coś z nim nie tak, bo aż powłóczył nogami. Widziała też, jak Aron, sprawdzwszy, czy zamknięto już za nimi bramę, przykucnął i wziął go na plecy. Pomyślała, że Delwyn jest za duży na noszenie, że jak ona mógłby pójść o własnych siłach. Ale Delwyn wyglądał jak ośmiolatek, tak jakby tutaj odechciało mu się rosnać.

Alys dogoniła braci.

– Delwyn źle się czuje?

Albon spojrział na nią, zatroskany.

– Ma gorączkę – odparł.

Alys zamilkła. Wszystkie dzieci wiedziały, co to znaczy. Za kilka dni Królik mógł wydobrżeć albo poczuć się o wiele gorzej, a po tygodniu umrzeć, jak umarła Gaenor.

– Zrobimy mu posłanie pod drzewem i zostawimy z nim psa – rzekł Aron. – Popilnujemy pastwiska za niego. Nasz Królik musi sobie pospać, żeby mógł wrócić do sił.

Takie rzeczy były zabronione. Gdyby Starsi się dowiedzieli, bliźniaków spotkałaby surowa kara, a może nawet wypędzono by ich z wioski. Ale nie dowiedzą się, bo i od kogo? Zresztą w Defaid nie znalazłoby się śmiałka gotowego sprawdzać dzieci o tej porze.

Pastwisko Alys, okolone gęstym żywopłotem, uniemożliwiającym owcom oddalanie się od stada, rozciągało się za pastwiskiem Delwyna. Alys pomachała chłopcom na dobranoc i poszła dalej z owczarkiem przy nodze.

Mijały godziny, gdy przechadzała się po swoim polu. Kiedy sierp księżycyca zaczął zniżać się ku zachodowi, stwierdziła, że czas na przerwę. Zmarzła, więc by nie zasnąć, musiała się teraz posilić. Legła u stóp drzewa i wyjęła prowiant, który zapakowała sobie tuż

przed wyjściem z domu. Zjadła pajdę razowca z ostrym serem, po czym zatopiała zęby w jabłku, pochłaniając je z ogonkiem i pestkami. Westchnęła. Podnosząc się na osłabionych nogach, usłyszała miauknięcie.

W świetle księżycy zobaczyła dwoje żółtych, wpatrzonych w nią oczu, a po chwili wyłonił się z trawy pasiasty mały żbik, niepewnie, acz z zaciekawieniem. W Defaid nie wolno było trzymać kotów. Starsi nauczali, że Dobry Pasterz wygnał je jako niedające się wyszkolić, przebiegłe i samolubne – nie to co psy, które czujnie pilnowały owiec. Najstarszy mawiał, że wilki i żbiki są tym dla Bestii, czym dla Dobrego Pasterza są psy i ludzie.

Alys często widywała na pastwiskach polujące żbiki, ale z bliska nigdy, zawsze z daleka. Przykucnięta, zamarła i wstrzymała oddech. Żbik też zamarł. Po sekundzie, która trwała wieczność, ruszył ku niej ostrożnym krokiem. Wreszcie, kiedy dzieliło ich zaledwie tchnienie, wyciągnęła do niego otwartą dłoń i czekała. Była ciekawa dotyku kociej sierści. Poczowała na końcu palca mokrą kropkę, gdy ryś dotknął jej tam nosem, i ostrość jego zębów, gdy trącił jej rękę, ocierając się o nią pyszczkiem. Potem spojrzał na nią na poły wyzywająco i przyjaźnie. Alys podrapała go po podbródku i policzku, tak jak wieśniacy drapali co łagodniejsze psy. Z krtani zwierzęcia dobyło się mruczenie, obejmując całe jego ciało. Urzeczona Alys poczuła je w sobie. Poczowała się ciepła i porośnięta sierścią. Poczowała się kotem.

Nagle poczuła ból. Żbik rozciął jej dłoń pazurem, syknął i odskoczył zjeżony, mrużąc oczy i obnażając zęby. W podłużnej ranie na dłoni Alys zapieniła się z bulgotem krew. „Wredne stworzenie” – pomyślała Alys. Chwyciła kamień, by rzucić nim w żbika, ale ten momentalnie skrył się w trawie. Rzuciła jednak – wiedząc, że nie trafi. Zlizując krew z dłoni, stała, rozdygotana. Znow zrobiło jej się zimno.

Roztrzęsionej, zziębniętej Alys przypomniał się Delwyn, który spał sam na pastwisku. Pomyślała, że warto by sprawdzić, co z nim. Mogłaby dać mu trochę swojej miętowej herbaty. Matka powtarzała, że gorączka wysysa z człowieka wszystkie soki, tak że trzeba je uzupełniać. Powziąwszy decyzję, Alys zebrała się i skierowała na pastwisko Delwyna.

Spał pod drzewem, zwinięty w kłębek, tak szczelnie opatulony kocami, że wystawała mu tylko jasna jak len głowa.

Wtem ujrzała... dziewczęta podobne do drzew, prawdziwe pożeraczki dusz. Unosząc się w powietrzu, zmierzały w stronę Delwyna.

Podobne do drzew dziewczęta zauważyły Alys. I ruszyły w jej kierunku.

Znów więc były tuż przy niej, przepiękne, o szeroko otwartych szarych sowych oczach. Nadal przewyższały Alys wzrostem, ale już tylko odrobinę. Rozczochrane długie czarne włosy miały poprzątkane patykami i liśćmi. Ich stroje też wydawały się utkane z liści i patyków... a może z ziemi, jeżeli da się z niej cokolwiek utkać.

Przybliżyły się tak bardzo, że Alys nie była pewna, czy to one podeszły do niej, czy też ona do nich.

Położyły Alys dłonie na ramionach, każda z jednej strony, jak przed laty. I przeniknęło ją takie samo poczucie więzi z nimi.

– To ta dziewczynka. Pamiętasz, siostrze?

– Tak, Angelico. Pamiętam.

– Dziewczynko, chciałabyś iść z nami? Przy nas mogłabyś odpocząć.

Słowo „odpocząć” do tego stopnia zelektryzowało Alys, że musiała zebrać się w sobie, by mu nie ulec, by nawet na chwilę nie opuścić powiek. Jak cudnie byłoby teraz usnąć... Wytchnąć. Myśląc

o Delwynie, Alys na siłę rozwierała oczy.

– Jeszcze na nią nie pora, siostrze. To jeszcze nie pora.

– Racja, Benedicto. Ale już niedługo.

Uniosły ręce, więź się zerwała i odpłynęły w dal. Zniknęły.

Alys uklękała przy Delwynie, kładąc mu dłoń na czole. Całą sobą czuła, jak jest rozpalony; jej stawy i głowę przeszył ból, a ciało nagle osłabło jak pod najcięższym jarzmem. Ledwie cofnęła rękę, ból i słabość odeszły. Wyjęła z worka dzbanek herbaty i potrząsnęła Delwynem, by go zbudzić. Zdezorientowany chłopiec spojrział na nią niewidzącym wzrokiem. Po chwili oczy mu przejaśniały. Ale owczarek leżący obok miał oczy ślepe i nawet nie drgnął, jakby był z kamienia. Gdy Alys wyciągnęła rękę, by dotknąć jego gęstej sierści, i poczuła jego spowolniały oddech, jej oddech spowolnił tak samo i też opadły jej powieki. Podobne zaśnięcie widziała już raz – w Gwenith. Było efektem czaru. Natychmiast odsunęła rękę od psa.

– Delwyn – szepnęła Alys, starając się go nie przestraszyć. – Masz, musisz napić się herbaty.

Przytknęła chłopcu dzbanek do ust jedną ręką, a drugą pomogła mu sięść prosto.

– Alys – powiedział Delwyn. – Śniło mi się coś dziwnego.

– Co?

– Widziałem, jak nad polem, o tam, leciały dwa cienkie drzewa. – Wskazał wychudłym palcem pastwisko naprzeciw siebie. – Ale zamiast gałęzi te drzewa miały nogi i ręce, a później dotarło do mnie, że to wcale nie są drzewa... tylko kobiety. No i... podleciały do mnie. Nie odzywały się, ale tak jakby wołały mnie po imieniu i wydawało mi się, jakbym słyszał ich śpiew dla mnie w środku głowy. Było to piękne, wiesz, Alys?

– A co się stało potem?

– Gdy już miałem wstać i do nich podejść, przestały i... więcej nie pamiętam.

Słuchając Delwyna, Alys cały czas siedziała przy nim, i choć dotąd jej się to nie zdarzyło, przytuliła go i pozwoliła, by ułożył głowę na jej kolanach. Przykryła kocem jego i siebie i, łagodnie gładząc go po włosach, namawiała go, żeby się przespał.

Mijały godziny. Alys – ani drgnąwszy – czuła, jak żar ulatuje z ciała chłopca. Kiedy świt zaczął rozjaśniać niebo, gorączka w końcu spadła. Nadszedł już czas powrotu, więc Alys zbudziła Delwyna. Jego włosy aż lepiły się od potu. Gdy wpełzali spod koców, przebudził się też owczarek. Chwilę później poszli szukać Albona i Arona.

Nie mogli znaleźć ich dość długo, aż uwagę Alys przykuł dziwny niepokój owiec na pastwisku. Utworzyły one krąg wokół czegoś, wyraźnie bojąc się postąpić dalej. Przedarłszy się przez stado, Alys i Delwyn zobaczyli tam bliźniaków. Obaj leżeli na wznak, z rozwartymi ustami i oczami.

Alys już widziała takie twarze. Wyraz nie samej śmierci, lecz wyrzucia z duszy. Delwyn z krzykiem ujął w dłoń gwizdek, gotów w niego zadąć.

Alys wyrwała mu gwizdek i chwyciła go za ramiona.

– Słuchaj, Delwyn. Patrz na mnie. Tylko na mnie, nie na nich. – Delwyn ciągle wracał wzrokiem do przerażających min braci, więc Alys odciągnęła go z pastwiska. – Sprowadzimy pomoc – znowu zwróciła się do niego. – Ale musisz teraz mnie wysłuchać. O tym, co ci się tu śniło, nie możesz pisać słowa Starszym. Ani nikomu z defaidian. Zrozumiałeś?

Delwyn spojrział na Alys, blady jak płótno ze zgrozy, jednak kiwnął głową.

– Nie wolno ci też im wspominać, że tę noc przespałeś pod

drzewem. Powiesz, że chodziłeś po pastwisku tak jak zwykle, a rankiem zastałeś tu braci. I nic więcej. Masz mi to obiecać!

Delwyn znowu przytaknął. Jak dziecko. Nie jak dziecko, poprawiła się Alys. Jak jedna ze szmacianych lalek, którymi bawiły się dziewczynki z Defaid. Coś, co przypomina dziecko, ale jest bez życia.

Zadęła w gwizdek i, krzyżąc, pociągnęła za sobą Delwyna. Pierwszy przybiegł Madog, więc powiedziała mu o znalezisku. I o widzianych przez Delwyna kobietach drzewach.

– Nie mów nikomu – rzekł Madog. – Nie możemy, wiesz o tym?

Patrzył nie na Delwyna, lecz na Alys. Delwyn sprawiał wrażenie, jakby odlatywał.

Alys skinęła głową.

– Zaczekajcie teraz na pastwisku, a ja sprowadzę Starszych. Powiem im tylko tyle, że – każde osobno – wracaliście do wsi, no i właśnie wtedy znaleźliście bliźniaków. Dobrze? – Spojrzał na Delwyna. – Tak, Delwyn? Odpowiedz.

Delwyn podniósł oczy – przezroczyście niby woda w szklance. „Jest tak daleko” – pomyślała Alys. Był obok, ale już gdzie indziej. Mimo to pokiwał głową.

– Tak – odszepnął cichutko.

Alys i Delwyn oczekiwali Starszych na skraju pastwiska, z myślą, że nie chcą znów oglądać tego, czego nie chcieliby zobaczyć. Kiedy jednak zjawili się Starsi – oboje byli zmuszeni pokazać im zwłoki chłopców.

Starsi długo przyglądali się martwym. Spytany przez Najstarszego, co się stało, Delwyn zamilkł. Otworzył usta i stał tak bez jednego słowa ku przerażeniu Alys. „Niedobrze – pomyślała z niepokojem – bardzo, bardzo niedobrze”. Starsi nie mogli się dowiedzieć o kobietach drzewach i że go wołały. Za przyznanie się

do spotkania z pożeraczkami dusz i świadectwo takiego spotkania każdemu dziecku z Gwenith groziło wypędzenie z Defaid. A nawet stos za uprawianie czarów. Za konszachty z Bestią.

– Wracając z pastwisk – rzekła Alys – zauważyliśmy, że Albon i Aron nie idą przed nami tak jak zwykle, postanowiliśmy więc ich poszukać. Znaleźliśmy ich w tym miejscu. Nie dotykaliśmy.

– Pytałem, co zaszło, chłopca, a nie ciebie, Alys. – Najstarszy zmarszczył czarne brwi tak mocno, że zeszły się nad jego strasznym orlim nosem.

Reszta Starszych zgodnie milczała.

– To sprawka pożeraczek dusz, stworów Bestii – oznajmił Najstarszy.

Starsi przytaknęli.

– Zło zła szuka – ciągnął. – A swój szuka swego. Chłopcy byli nieposłuszni. Dowód mamy tu, przed sobą. Czemu, zamiast na pastwiskach, znaleźli się razem tutaj? Ile razy zdołali nas okpić ci dwaj krnąbrni bracia? Dobry Pasterz strzeże tych tylko, którzy go słuchają.

– Masz słuszność, Najstarszy – odezwał się Ramię Miles, zakładając ręce na brzuchu. – Ci chłopcy zaprosili między siebie Bestię. Co gorsza, omal nam nie sprowadzili jej demonów pod dach.

Kilku Starszych na to aż zatchnęło. A Alys znowu zastanowił strach tych ludzi, którzy kryli się nocami za wielką drewnianą bramą.

– Chłopcy sprowadzili zło na siebie – rzekł Najstarszy. – Nic więc nie zmienia się w wiernym stadzie Dobrego Pasterza w Defaid. Życie wraca na swoje zwykłe tory, a my pamiętajmy, że Dobry Pasterz broni tylko swych orędowników.

Alys zagryzła usta do krwi. Chciała teraz wyrzucić z siebie tyle rzeczy, że słowa zaczęły jej się plątać, więc ostatecznie stwierdziła,

że jednak zachowa je dla siebie. Spojrzawszy na Delwyna, zobaczyła cień dziecka, któremu dodawała otuchy zeszłej nocy. Chłopiec niby się nie zmienił, lecz wionęło od niego takim chłodem, jakby składał się z samego tylko ciała.

Tego popołudnia, przespawszy nerwowo tylko kilka godzin, Alys błagała matkę, by ta wysłała ją po coś do lasu.

– Znam to spojrzenie, Alys – rzekła matka. – Tę twoją niecierpliwą minę. Wiem, że nie ma sensu próbować cię zatrzymać w domu. Czy jednak sądzisz, że po tym, co spotkało wczoraj tych nieszczęsnych chłopców, Starszy Miles się zgodzi, żebyś wyszła z wioski?

Alys podniosła wzrok na matkę.

– Tak, jeżeli damy mu coś w zamian.

Matka wzięła się pod boki.

– A czym, według ciebie, miałabym go przekupić?

– Miodem, matko. Wiesz, jak bardzo lubi go ten spaślak.

Matka z miejsca uciszyła Alys, jakby w lęku, że ktoś podsłuchuje.

– Tyle razy ci powtarzałam, że takich rzeczy się nie mówi.

– Sama o nim tak mówisz – odpowiedziała Alys.

– Owszem, i mam to sobie za złe. – Kręcąc głową, matka zdjęła z półki słoik miodu ciemnego tak, że prawie czarnego. – Skoro chcesz go przekupić, niech dostanie co najlepsze.

Alys omal się nie uśmiechnęła, gdy wtem przypomniała sobie, że dzisiaj nie ma żadnego powodu do radości.

– Grzyby. – Matka podała Alys koszyk. – Zrobimy też użytek z grzybów. Możesz powiedzieć Milesowej, że oddasz jej połowę tego, co uzbierasz. Powinna być zadowolona. Choć, prawdę mówiąc, nie wiadomo, czy ją cokolwiek cieszy. – Zerknęła na Alys. –

No, idź już.

Alys i matka miały dużą wprawę w okłamywaniu Milesów. Zwykle nie tyle kłamały, ile mówiły pół prawdy. Mówiąc, że idą na jagody, zbierały też po drodze zioła wstrzymujące okres lub łagodzące dotkliwe skurcze porodowe. Picia takich ziół surowo zabraniali Starsi, twierdząc, że o porodach i miesiączkach stanowi tylko Dobry Pasterz. A zdaniem matki na tego typu sprawach Starsi nie znali się wcale. Niemniej była ostrożna. Swoje leki trzymała w tajemnicy, więc o herbacie, którą kazała wypić Mary, nie wspomniała już później nikomu.

Matka i Alys niejedyne w wiosce nie zdradzały swych sekretów Starszym. Prosząc więc o zgodę na coś, każdy wkupywał się w ich łaski czy to kawałkiem sera, czy słojem konfitur. Alys mogła sobie tylko wyobrazić, jak od tych wszystkich danin bogaciła się spiżarnia Milesów.

Alys zmrużyła oczy z bólu, gdy weszła prosto w słońce. Przystanąwszy, zasłoniła oczy ręką, by powieki oswoiły się z rażącym blaskiem, a potem rozchyliła je powoli, aż świat wokół nabrał konturów. Nie padało od tygodnia, więc nad przechodniami, wozami i końmi wzbijały się tumany kurzu. Gdyby Alys skreśliła w prawo, byłaby pod bramą w niecałe pięć minut. Gdyby nie potrzebowała zgody na wyjście z wioski, mogłaby spokojnie przejść przez bramę i skierować się do lasu. Skreśliła jednak w lewo, w stronę domu Starszego Milesa.

Starsi mieszkali w najładniejszych domach we wsi. Dość ascetycznych, bo przepych byłby nie na miejscu. Ale zawsze świeżutko pobielonych, z okiennicami w idealnym stanie.

Pani Miles musiała robić coś za drzwiami kuchennymi, bo kiedy Alys zapukała, momentalnie stanęła w progu. W czarnej sukni i wykrochmalonym białym fartuchu wyglądała bardzo szacownie. Postawna, miała ciemne brwi i włosy czarne jak skrzydło kruka,

zebrane w kok na czubku głowy.

– Mów prędko, czego chcesz, dziecko, bo dziś tylu tutaj ludzi, że od rana nie mogę się za nic zabrać.

Alys wręczyła jej koszyk z miodem.

– Matka każe mi nazbierać grzybów. I dać połowę pani.

– Spytaam Starszego.

Pani Miles nazywała męża Starszym. Zamknęła drzwi, aby Alys zaczekała na dworze.

Po chwili znów je otworzyła.

– Starszy udziela ci zgody. Zapisał to sobie w rejestrze. Tylko się tam nie guzdraj, bo się zorientuje.

Pani Miles zwróciła Alys pusty koszyk i dała jej żelazną bransoletkę z numerem dziewięć, wyrytym na wewnętrznej stronie.

Alys wsunęła na rękę bransoletkę, ukloniła się i odeszła, a pani Miles została sama w swym szeleszczącym stroju.

Po drodze Alys rozmyślała o tym, co jej się śniło po czuwaniu na pastwisku. Nie przyśnili jej się Aron i Albon, martwi. A właśnie to powinno przyśnić się dobremu dziecku... Dziecku, któremu takie rzeczy są zwykle całkiem obce. Nie przyśniły jej się nawet pożeraczki dusz. Alys miała wtedy sen o Bestii. Ostatnio widziała ją przed pięciu laty i odtąd nieraz myślała, czy ją jeszcze spotka. Ale we śnie Bestia wyglądała, jakby ten czas wcale nie upłynął. Żywioł, będący jej istotą, okazał się tak samo silny. Wrażenie zespolenia z Bestią i jej zespolenia z górą, strumieniem, skałą, drzewem było silne tak, że Alys aż poczuła w sobie wicher.

Przez te lata, odkąd nie widziała Bestii, Alys szukała odpowiedzi na wiele, wiele pytań. Czy jest zła jak pożeraczki dusz, czy dobra jak matka z Defaid? Po trosze pragnęła być dobra. Ale też dręczyła ją wątpliwość, po co. Bo cóż miałaby z dobroci? Szeleszczący fartuch? Wypatrywanie przez resztę życia potworów na pastwiskach?...

Myślała o tym, jak się czuła przy kobietach drzewach, jak omal nie dała się zmóc snowi i jak gotowa była oddać wszystko za chwilę odpoczynku. Że pewnie by z nimi poszła, gdyby powtórzyły zaproszenie. Myślała też, co czuła, kiedy – już nie będąc sobą – dotykała Bestii, żbika i rozpalonej głowy Delwyna. Było to coś innego niż gdy dotknęła brzucha Mary. W przypadku Mary umiała się oddzielić od choroby. Z innymi zaś się zespoliła. „Może kiedyś dotknę czegoś, kogoś... i zatracę się zupełnie. Czy pożeraczki dusz z początku też to odczuwały?” Alys chciała wypytać o te sprawy matkę, ale wiedziała, że gdy tylko zacznie, matka wszystkiego się domyśli. W mig by przejrzała kłamstwa i półprawdy Alys, więc też natychmiast odkryłaby jej winę. To, że Alys pozwoliła tym stworom odebrać sobie rodziców. Odtąd matka patrzyłaby na nią innym wzrokiem. Albo nawet nie patrzyłaby wcale. No a tego Alys by nie zniosła.

Alys wkroczyła do lasu. Szła poprzez zielen i po wilgotnej ziemi. Gdy w wiosce panowała spiekota, tu koił ciało chłód gęstwiny. Im głębiej zapuszczała się Alys, stąpając po mokrym mchu i stęchłych liściach, tym bardziej się rozluźniała, tym mniejsze czuła napięcie. „Tu moje miejsce – pomyślała – nie w tej wsi, na ogrodzeniu czy pastwiskach”. Dopiero tu do czegoś dążyła, nie zakłamując swojej prawdy.

Szła coraz dalej w głąb lasu. Bez kierunku, byle jak najgłębiej.

Gdy usłyszała znany już głos w głowie, który był w niej, choć do niej nie należał – Alys poczuła dreszcz radości. Co było złe, haniebne. A przecież właśnie po to wybrała się do lasu. Tak jak zawsze. Żeby ją odnaleźć.

– *Znów je widziałaś, a one ciebie.*

– Tak – potwierdziła Alys.

Rozejrzawszy się, zobaczyła, jak Bestia wyłania się zza drzew na zgiętych nogach. Zerknęła na jej skórzaste skrzydła, wyobrażając

sobie, jak wygląda w locie.

Bestia zbliżyła się do Alys. Węszyła wokół niej, rozduymając nozdrza nad kłami i czarnym jęzorem. Twarz Alys owiał jej oddech. Pachnący jak opadłe liście.

Postukała długim szponem w bransoletkę na ręce Alys.

– *Daj mi ją. Daj mi ją.*

Alys zdjęła bransoletkę i podała Bestii. Bestia zaczepiła ją na szponie.

– *Widziałaś, co uczyniły? Widziałaś, jak zabierają to, czego nie powinno się zabierać?*

– Nie – odpowiedziała Alys. – To się okazało potem.

– *Jak poprzednio.*

Jak poprzednio. Jak zabiły rodziców. No oczywiście. Ją zostawiły, zabrały innych. A ona na to pozwoliła. Nie podniosła ręki, żeby je powstrzymać.

Nie przestrzegала ich ani im nie groziła. Nawet nie przyszło jej to do głowy. Była naprawdę złą dziewczynką. Może dlatego jej dotąd nie skrzywdziły. Pożerały tylko dobre dusze.

– *Dlaczego mnie też nie zabrały?!*

– *Dzieci nie zabierają.*

– *Czemu?*

– *Dzieci nie są im wstrętne. Jeszcze.*

– *Jeszcze?*

Bestia nie odpowiedziała. Przechyliła głowę.

Alys spojrzała w jej wilgotne czarne oczy. Las rozplynął się i poczuła, że spada. Jakby w ziemi powstała otchłań i wciągnęła ją. W niebyt. Deszcz i wiatr przestały istnieć. Nie istniał zapach wody ani szlamu. W nicości wokół Alys nie słyhać było nawet jej zdławionego krzyku.

Alys wróciła, las się odrodził, zapachniał mech, a z liści znów zaczęła kapać rosa.

– *Zaznałaś pustki. Która powiększa się, ciemnieje i pogłębia, ilekroć za sprawą pożeraczek ginie kolejna dusza.*

Alys potrząsnęła głową, by z niej wyrzucić upiorną czarną nicość. Przypomniało jej się coś strasznego.

– Widziałam kiedyś obrazek – rzekła. – Przedstawiał ciebie. Siedziałaś na dnie wielkiej czarnej dziury, chwytając pyskiem dusze potępionych.

– *Nie robię tego.*

– Mhm. – Alys uświadomiła sobie, że nigdy nie posądzała o to Bestii. Stwór przed nią wprawdzie wyglądał jak tamten na obrazku w księdze, ale na pewno nim nie był. Przypomniało jej się, co usłyszała z ust Pawła w drodze do Defaid dawno temu: Opowieści Starszych o pożeraczkach dusz i Bestii to banialuki, którymi się posługują, by straszyć ludzi. Księga Najstarszego przecież tak samo była opowieścią. Historią, którą powtarzał sobie i wieśniakom, by nie zbaczali ze słusznej drogi. Nie wychodzili przed szereg. Żeby nie zapuszczali się do lasu, gdzie nie ma białych kołnierzy, krochmalonych fartuchów, domów modlitwy, rejestrów ani żelaznych bransoletek.

Alys spojrzała na Bestię.

– Czym jesteś? – zapytała.

– *Bestią. Nigdy nie byłam niczym innym.*

– Czy ta otchłań jest dla ciebie zagrożeniem?

– *Ta otchłań zagraża nam wszystkim i wszystkiemu.*

– Więc nie mogłabyś jej zamknąć? Powstrzymać pożeraczek dusz? Jesteś Bestią. Może byś coś zrobiła...

Bestia zamilkła. Nie bardzo wiedząc, jak zareagować, Alys jej dotknęła. Przytknęła dłoń do obrośniętej futrem piersi. Pierwszą jej

myślą było, jak jest krucha, że przypomina ptaka, całego z piór, bez ciała.

Alys leciała. Pływała. Rosła. Puszczala pędy i traciła liście. Gnieździły się w niej zwierzęta, pełzały chrząszcze i dżdżownice, składano niezliczone jaja. Stawała się ziemią, wodą i powietrzem.

Wtem pojęła. Bestia nie powstrzymałaby pożeraczek, tak jak nie dokonałyby tego wiatr, deszcz ani liście.

– Jesteś tą dziewczynką. Podobną do nich. Ty musisz zamknąć otchłań.

Alys nie dawało spokoju, czemu Bestia nie pokazuje się innym. Gdy już wiedziała, ogarnął ją przestach jak stado spłoszonych ptaków.

– Mam zamknąć otchłań – powtórzyła. – Kiedy? W jaki sposób?

– Odgadniesz, gdy będziesz gotowa.

Bestia przywarła do ziemi, skoczyła – i zniknęła.

Gdzie rośnie strach

Siostry spoglądały na ciała chłopców, którym nie groziło już zmęczenie, którzy już nie musieli niczego się obawiać. Angelica obwąchała ich. Nic. Ona i Benedicta wyjadły wszystko.

Z niczego zrodzi się więcej strachu. Najedzą się więc. W swoim czasie...

Benedicta wzięła siostrę za rękę.

– Siostro – rzekła – na drugi raz nie powinnyśmy zostawiać zwłok w widocznym miejscu. Trzeba prowadzić ich do lasu, nim zapewnimy im spoczynek.

– Czemu, siostro?

– Pomyśl o reszcie. Jak wypatrują, jak wyczekują wędrowców. Czujesz ich niepokój?

Angelica musnęła twarz siostry i przejrzała się w jej oczach.

– Tak – odpowiedziała. – Czuję.

Przezuwając, wpatrywały się w nie owce. Obojętnym wzrokiem. Gdy siostry przeleciały między nimi, rozpierzchły się jak gnane wiatrem płatki śniegu.

Siostry miały wrócić do lasu. Odwiedzić góry i Krainę Jezior. Polatać po pastwiskach innej wioski, przywołując sennych włóczęgów. Na myśl o niezliczonych duszach siostry znowu zgłodniały.

Spostrzegły chłopca. Mniejszego, znacznie mniejszego od bliźniaków. Leżał pod drzewem, z psem u boku. Nie poruszył się. A pies zastrzygł uszami.

– Śpij – nakazała Benedicta i pies usnął.

– Zbudź się – nakazała Angelica. Pies się zbudził.

Chłopiec miał oczy otwarte i pełne dobra serce.

– Ten to dziecko – rzekła Benedicta. – Jeszcze na niego nie pora.

– Jeszcze nie – odparła, wężąc, Angelica. – Czujesz, siostrze? Pachnie deszczem. Tamci dwaj mieli cierpki zapach. A ten jest świeży. Czysty.

Benedicta pociągnęła nosem.

– Racja.

– Weźmiemy go, Benedicto? Dla siebie? Wtedy nigdy by nie skwaśniał, nie odczuwał lęku...?

Nim Benedicta zdążyła odpowiedzieć, zjawiło się kolejne dziecko. Dziewczynka. Ta dziewczynka. Ta podobna do nich i niepodobna. Podleciały, musnęły ją i przeniknęły. Zwęszyły zapach zielonego lasu.

Ofiarowały jej wytchnienie, lecz zawahała się, więc one także. Na nią też jeszcze nie przyszła pora. Byłaby skromnym posiłkiem. Wejrząwszy w noc, siostry zostawiły dzieci tam, gdzie je znalazły. Chłopiec usnął, śniąc o kobietach drzewach. Przyśniły mu się siostry.

Nie zostawiały go na długo. Chłopiec o życzliwym sercu miał w sobie tęsknotę. Nie musiały po niego wracać. Powodowany tęsknotą, miał wkrótce sam przyjść do nich.



CZEŚĆ
TRZECIA

Do drzewi
skrobie
cicho

Matka wzięła na siebie zaginięcie bransoletki z dziewiątką. Powiedziała pani Miles, że to jej wina, bo wysłała Alys tak wcześnie, że ta nie zdążyła się przespać. „Nic dziwnego – rzekła – że dziecko zgubiło bransoletkę”. I oddała pani Miles swój ostatni słoik konfitury z jeżyn.

W dniu, w którym Alys i Delwyn znaleźli zwłoki Albona i Arona, Delwyn przepadł. Starsi mówili, że uciekł z wioski, lecz nie widział go żaden ze strażników. Alys wyobraziła sobie, jak chłopczyk w czapce, nasuniętej na jasne włosy, podciąga się i niezauważony, wskakuje na wóz któregoś z wieśniaków. Naturalnie odjechałby za dnia. Gdy żadnemu z dzieci z Gwenith nie przyszłoby do głowy szukać go albo zatrzymać. Wymknąłby się z wioski, kiedy one spały.

Stratę trzech braci przekuto z czasem na bajkę ku przestrodze, której dzieci z Defaid słuchały przed zaśnięciem. „Nieposłuszeństwo kosztuje” – pouczali je rodzice. Życie w Defaid wróciło do normy. Zasadniczo. Bo Delwyn nie okazał się jedynym zbiegiem – w jego ślady poszło jeszcze ośmioro dzieci z Gwenith. Wszystkie były starsze niż on, ukończyły szesnasty rok życia. Pewnej nocy poszły jak zwykle pilnować owiec i już nie wróciły.

Po odejściu pierwszego szesnastolatka wieśniacy cmokali z dezaprobatą i patrzyli z góry na pozostałe dzieci z Gwenith. Wspominając słowa Najstarszego „Ciągnie swój do swego”, mruzczyli, że dzieci z Gwenith na pewno są nieczyste.

Potem uciekł kolejny szesnastolatek. I następny. Choć wieśniacy starali się skrywać niepokój, Alys i tak go czuła. Defaid emanowało

strachem, który niesiony podmuchami wiatru, drażnił nozdrza Alys. Myśli wieśniaków widziała jak na dłoni. „Kto będzie strzegł ogrodzenia, gdy zbiegnie ostatnie dziecko z Gwenith?”

Gdy defaidianie poszeptywali i drżeli z przerażenia, dzieci z Gwenith milczały. Dopiero idąc po zmroku na pastwiska, pozwalały sobie na cichą pogawędkę. Część z nich wierzyła, że zbiegowie są w innej wiosce, cali i zdrowi. Te zaś, które miały wątpliwości, nie wspominały o nich, zwłaszcza rodzeństwu uciekinierów. Starły się też nie mówić jednocześnie o zbiegłych i kobietach drzewach. Enid rozdała wszystkim kulki z wełny i kazała zatykać nimi uszy, gdyby tylko ktoś usłyszał nocą śpiew dobiegający z dali. Alys nie umknęło, jak starsze dzieci wznoszą na to oczy do nieba i wyrzucają kulki. Bo „strzępek wełny na pewno nie ocaliłby Albona i Arona”. Ilekroć więc dziecko z Gwenith kończyło szesnasty rok życia, jakby odwracała się klepsydra i zaczynało się czekanie.

Odkąd Delwyn zniknął, Alys przestała wypatrywać zła na horyzoncie i wśród owiec na pastwiskach – i miesiącami szukała wszędzie wzrokiem białej jak len główki chłopca. Czuwając nocą na ogrodzeniu lub obchodząc pole, wciąż rozglądała się w nadziei, że gdzieś go zobaczy. A o świcie, gdy otwierano bramę, widziała oczami wyobraźni, jak milczący, blady zręcznie wkrada się do wioski. Lecz tak się nie działo.

Od jego ucieczki Alys pilnie śledziła dzieci z Gwenith, nie bez trudu przywołując w pamięci imiona wszystkich, nawet tych niemowląt, które zmarły, nim zaczęły gaworzyć. Na halce, której nie oglądał nikt poza nią, Alys wyszyła imiona dzieci, zestawiając je według pokrewieństwa. Imiona zmarłych przekreśliła cienką nitką, a imiona zbiegłych podkreśliła.

Przez trzy lata od zniknięcia Delwyna Alys wyrosła z halki, ale imiona zachowała, odcinając fragment płótna, na którym je

wyszyła. Nosiła go w kieszeni sukienki. Nieraz, po zapadnięciu nocy, wodziła palcem po imionach dzieci. Najczęściej odszukiwała Delwyna.

Teraz, jako już piętnastolatka, znów stała na ogrodzeniu, przenikając wzrokiem ciemny pejzaż, który wrył się jej w pamięć dawno temu. Znowu – który to już raz? – odszukała imię chłopca. Gdyby Delwyn cudem przeżył, nie byłby już małym chłopcem... „Byłby prawie mężczyzną” – myślała Alys, niepewna, czy by go poznała... Gdy raptem owiał ją chłód nocy, stwierdziła, że Delwyn nie żyje.

Wewnętrzny głos mówił Alys, że utraciła więź z Delwynem. Krucha relacja, która ich połączyła, gdy Delwyn ocalił jej życie na ogrodzeniu, zerwała się jak niteczka. Przyjaciel odszedł. Pożeraczki dusz dopadły go, tak jak ostatecznie miały dopaść wszystkich. Alys wyczuła, że czekając na stosowny moment, zabierają dzieci jedno po drugim, by pozbawić Defaid stróżów. Zabierając każde kolejne dziecko, siały wśród defaidian przestraszonych, który drażnił nozdrza. Wyobrażała sobie, jak węższą, jak go wciągają w płuca.

Nieraz przypominało się Alys, co mówiły, gdy spotkała je ostatnio – że na nią jeszcze nie pora, ale niebawem nadejdzie. Do szesnastych urodzin Alys zostało tylko kilka miesięcy. Jej czas więc miał się wkrótce zacząć kurczyć. Upłynęły już trzy lata od ostatniego spotkania z Bestią, od chwili, gdy usłyszała, że musi zamknąć otchłań. Tak więc z każdą sekundą uciekał czas – na wszystko.

Z najbliższej wieży strażniczej dobiegło Alys cichutkie pohukiwanie. Odwróciła głowę w stronę dźwięków. Tak czuwający tam Elidir informował ją, że zaraz wzejdzie słońce; miał on dar przewidywania brzasku na parę chwil wcześniej. Jedyna jego siostra, Glenys, uciekła przed dwoma laty. Pewnie to więc sprawiło, że nabrał nieprzeciętnej intuicji.

Alys skierowała się ku wieży. Nim odeszła, Elidir kiwnął do niej głową. Lustra były zakazane, bo według Najstarszego przyciągały Bestię, Alys jednak i bez lustra wiedziała, jak wygląda. Twarz chłopca – ziemistoszara i wychudła – była odbiciem jej twarzy.

– Zbudź się, dziecko.

Alys już nie spała. Usłyszała kroki matki przed chwilą, ale otworzyła oczy dopiero po jej słowach i jak co dnia zobaczyła nad sobą chropowatą powalę pokoju. W dzieciństwie sypiała niespokojnie, a teraz jak zabita. Zasypiała, ledwo przykładając głowę do poduszki. Budziła się równie prędko.

Matka kręciła się pod drzwiami chwilę, pilnując, żeby Alys przypadkiem znowu nie zasnęła. Było to jednak zbędne. Alys wstała i wygładziła koc na wąskim łóżku. Włożyła szydełkowe pończochy, solidne sznurowane buty i gołąbkową sukienkę, która jeszcze niedawno zakrywała jej stopy, a teraz ledwie dotykała kostek. „Niedługo będzie mi potrzebna nowa”. Alys miała też brązową, dłuższą, której jednak nie znosiła, bo – zbyt wąska – krępowała jej ruchy. Miała jeszcze niebieską, ale ta, choć ładna, nie nadawała się na dzisiaj. Dziś stosowna była właśnie popielata. Alys wzięła z szafki nocnej drewniany grzebień i starannie przeczesawszy włosy, zaplotła je i związała rzemykiem. Na koniec włożyła na szyję gwizdek.

Dzień był zimny, bezchmurny. Przez zamknięte okiennice dobiegały Alys śmiechy dzieci z placyku.

Dzieci z Defaid. Młodsze spędzały przedpołudnia w szkole, a potem matki wołały je na obiad. W tym czasie starsze – powyżej czternastego roku życia – przyuczały się do pracy, doglądały zwierząt, szyły i robiły pranie wraz z matkami, zbierały plony albo pasły owce w towarzystwie ojców.

Dla dzieci z Gwenith dzień zaczynał się dopiero po południu.

Każde z nich wkładało wtedy grube wełniane ubranie. Po obiedzie wykonywały domowe obowiązki. Te w wieku szkolnym pobierały mniej więcej godzinne lekcje. Czytania i prostych rachunków, bo w przeciwieństwie do dzieci z Defaid na gruntowniejszą naukę nie miały czasu. Później jadły kolację. I szły na posterunki. Wczoraj Alys czuwała na ogrodzeniu. Dziś miała pilnować owiec.

Alys usiadła przy stole, naszykowanym już przez matkę na obiad. Obok siedział ojciec, z rękami na kolanach. Swój nieodłączny kapelusz z płaskim rondem powiesił na haku na ścianie. Stalowoszare włosy miał zaczesane do tyłu. Mokre, więc było na nich widać bruzdy od grzebienia. Włożył świeżą koszulę – jak zwykle przed obiadem. Do kolacji siadał oprószony trocinami, które zbierały mu się w uszach i wypełniały najdrobniejszą zmarszczkę.

– Dzień dobry, ojczy.

– Dzień dobry, Alys – odpowiedział.

Matka postawiła przed nimi talerze i przyniosła talerz sobie. Na obiad była baranina w sosie, ziemniaki i duszone jarzyny oraz ciemny chleb z masłem.

Ojciec przymknął oczy. Po nim Alys z matką.

– Dobry Pasterzu, dzięki składamy za twe hojne dary. – Ojciec otworzył oczy i sięgnął po widelec.

– Starszy Miles o ciebie pytał – powiedziała matka.

– Aha – odparł ojciec.

– Szukał cię w stolarni. I nie znalazł.

– Bo mnie tam nie było.

Matka spojrzała na niego, wyczekując. Alys czuła, że długo nie wytrzyma. Matka miała skłonność do zniecierpliwienia, którą, jak tylko mogła, starała się w sobie tłumić. Była to kolejna ich wspólna cecha, pewnie więc i dlatego tak świetnie się dogadywały.

– Wiem. Ale nie wiem, gdzie byłeś. Zawsze lepiej wiedzieć, gdzie

kto się podziwia.

– Racja – odrzekł ojciec. Wsunął do ust spory kawałek baraniny. Dokładnie pogryzł. Połknął. Popił wodą. By się nie zaśmiać, Alys przystąpiła do jedzenia.

Matka groźnie zacisnęła usta i odłożyła widelec.

– Eldredzie... – Zwracając się do ojca po imieniu, dawała mu do zrozumienia, że jej cierpliwość się kończy.

Ojciec podniósł szare oczy, napotykać piwne matki.

– Pomagałem Lloydowi przy naprawie dachu.

Matka jakby skurczyła się na krześle. Zamrugawszy nerwowo powiekami, zerknęła na Alys i prędko odwróciła wzrok, aby uniknąć jej spojrzenia.

– We wsi?

– Za ogrodzeniem. W dawnym domu. – Ojciec spojrział na matkę i znowu na swój talerz. – Gałąź spadła mu na dach podczas ostatniej burzy. Zrobiła dziurę na wylot. Nic strasznego, ale trzeba było się tym zająć.

– Miałeś zgodę, żeby odejść tak daleko? – zapytała matka.

Bez wątpienia znała już odpowiedź. Ojciec nie mógł dostać pozwolenia na wypad do dawnej zagrody, bo zapuszczanie się w tę okolicę było surowo zabronione. Lustrowała go jednak wzrokiem, domagając się wyjaśnień. Alys spostrzegła, że matka nie tknęła dotąd jedzenia. Ale matka jadła niewiele. Była chuda jak szczapa.

Ojciec spojrział na matkę i przeżuwał dalej.

– Eldredzie – powtórzyła matka bezgłośnie, ledwie poruszając wargami.

Alys poczuła woń strachu, przenikliwą, drażniącą nozdrza.

– Wiem, wiem, Heledd. – Ojciec zwrócił oczy ku Alys i zaraz z powrotem ku matce. Matka pokiwała głową, wzięła widelec

i zaczęła jeść.

Po wyjściu z domu Alys mijają podwórko szkolne, gdzie najmłodsze dzieci z Defaid już wróciły po obiedzie, aby się pobawić. Zobaczyła Rena, opartego o płot otaczający podwórko. Miał on siedem lat, był najstarszym synem Enid i Madoga – i właśnie się szykował do czuwania nocą. Zatrzymawszy się obok, Alys podążyła za jego wzrokiem.

Dzieci z Defaid stanęły w równym kręgu, który obchodził barczysty chłopak i wyśpiewywał:

*Bestia straszliwa jest
By skryć się przed jej mocą
Bramę zamknij, inaczej bowiem
Ani chybi dopadnie cię nocą*

*Bestia straszliwa jest
Do drzwi skrobie cicho
Wysysa duszę, miskę wylizuje
I dalej węszy, nienazarte lichy*

*Bestia straszliwa jest
Spiczasty ma podbródek
Pożera nocą, gdy śpisz
Zostawia tylko skórę*

Przy ostatnim słowie – „skórę” – chłopak dotknął ramienia drobnej blondyneczki i ruszył biegiem wokół kręgu, a blondyneczka za nim. Wszystkie dzieci krzyknęły wesoło, udając przerażenie, gdy

zajmował zwolnione przez nią miejsce w kręgu. Alys знаła dawniej imiona wszystkich dzieci z Defaid, im jednak była starsza, tym mniej zaprzętała sobie nimi głowę. Ale rozpoznała chłopca. Był to jeden z wnuków Najstarszego, spryciarz i zabijaka imieniem Wyn. Należał do tych, którzy robią, co chcą, kiedy tylko dorośli nie patrzą. Bez trudu dotarł na miejsce dziewczynki, zanim zdążyła go dogonić. Teraz więc Bestią była ona. Alys potrząsnęła głową. „Biedactwo pewnie zostanie Bestią do wieczora, jeśli nie znajdzie kogoś mniejszego, kto ma słabsze nogi”.

Dzieci i ich zabawy... Alys nie pamiętała, aby choć raz w życiu cieszyła się tak jak one. „Pewnie z czasem gry się pogorszyły”... Raptem przypomniała sobie rozkosz, jaką czuła, strasząc Gaenor.

Alys zwróciła się do Rena, który wsparł podbródek na płocie.

– Gdzie mama?

– Przy maluchach – odparł chłopiec, nie spuszczać oczu z dzieci. Madogowi i Enid właśnie urodziły się bliźnięta, dziewczynka i chłopiec. „To pewnie znaczy, że Enid jest zajęta” – pomyślała Alys. Baczenie przyjrzała się Renowi. Był chudy, nie tak rumiany i pogodny jak zwykle. Gdy położyła dłoń na jego gęstej brązowej czuprynie, przeniknęła ją do kości niemoc. Poczwała coś jeszcze – tęsknotę, bezgraniczną, przemożną tak, że ją zemdlilo. Gdy Ren spojrzal na nią zdumiony, odsunęła rękę.

– Tu jesteście – odezwał się kobiecy głos za nimi. Była to Enid. – Właśnie położyłam bliźnięta, aby się zdrzemnęły. Chodź do mnie. – Enid skończyła już dwadzieścia pięć lat, co zaczynało być widoczne. – Przynosisz Rena do czuwania. Uczy się zasypiać, kiedy wstaje słońce.

Wiele dzieci z Gwenith puciekalo z Defaid, więc Starsi liczyli teraz, że pilnowaniem ogrodzenia i pastwisk zajmie się nowe pokolenie. Przed ośmiu laty przyjechało do wsi pięćdziesięcioro dzieci. Zostało ledwie dwadzieścia pięcioro – połowa zginęła

w wypadkach, pomarła w wyniku chorób albo zbiegła. Ren był pierwszym z nowych potomków.

– Aha – odpowiedziała Alys. – Wydaje się zmęczony.

– Owszem. Jak my wszyscy, prawda?

Enid – w drodze wyjątku – zwolniono z pracy, kiedy była w ciąży, gdy jednak dzieci ukończyły roczek, jak dawniej musiała wspinać się na ogrodzenie, co noc zostawiając maleństwa pod opieką którejs z defaidiańskich rodzin. Alys przyszło na myśl, że – czuwając z Renem – mogliby przynajmniej jego mieć na oku.

– Pozwolą wam – zapytała – zabierać Rena na czuwanie?

– Madog prosił o to Starszych. – Enid uśmiechnęła się lekko. – Zobaczymy. Chodź, Ren.

– Chętnie wam pomogę – rzekła bez namysłu Alys. Przypomniało jej się, jak Delwyn ocalił ją tej pierwszej zimy. – Jego też – wskazała Rena – mogłabym przypilnować.

Teraz Enid uśmiechnęła się do niej naprawdę – nie półgębkiem, tylko szeroko, radośnie. I nawet złapała ją za rękę – twardą od odcisków szorstką dłonią. Odwracając się, pociągnęła za sobą Rena. Chłopiec wolno oderwał wzrok od dzieci, po czym odeszli razem w swoją stronę. Alys nie umknęło, że spodnie marszczą się Renowi w pasie, ciasno ściągnięte wysłużonym paskiem ojca. Mankiety miał zawinięte kilka razy. „Pewno na wyrost” – pomyślała Alys. „Czy to możliwe, że i ja byłam kiedyś taka mała? Że w jego wieku tak samo wspinałam się na ogrodzenie?...”

Lód okrywający ziemię chrząścił pod butami Alys. Koszyk ciążył jej na biodrze, a choć koszule ojca wykręciła do ostatniej kropli, jej wełniane palto i tak przenikała wilgoć. Pora obiadu dopiero co minęła, a słońce już wydawało się znużone zbyt długim unoszeniem się na niebie.

Innego dnia matka dawno uwinęłaby się z praniem sama, dziś jednak czuła się kiepsko, więc poprosiła Alys o wypranie i rozwieszenie koszul ojca. Wszystko to zajęło Alys dwa razy więcej czasu niż jej, a efekt okazał się dwakroć gorszy. „Kiedy przyniosę pranie przed kolacją, będzie ono nie suche, tylko zamarznięte, gdy więc ułożymy je w stos przed kominkiem, zamoczy, zaparuje całą izbę”.

Dawno temu Starsi ogłosili, że wieszanie prania gdzie popadnie to wyraz niechlujstwa i bezwstydu. „Ubranie dotyka skóry, a skóra to intymność”. Nakazali więc kobietom robić pranie w kuchni albo na podwórzu, a rozwieszać na wspólnych sznurach w wyznaczonym miejscu na południowym krańcu wioski. Wstęp tam miały tylko kobiety, by któryś z mężczyzn nie podejrzwał damskich majtek. Wieszając męską bieliznę, kobiety musiały zachowywać się powściągliwie.

Sznury do suszenia prania zawieszono na wysokich słupach, każda z rodzin – zależnie od wielkości – miała własny sznur, dłuższy albo krótszy. Sznur matki Alys był krótki. Najbliższy należał do zrzędlivej pani Daniels, a kolejny do pani Hardy. Alys zastała je tam teraz. Najmłodsze dzieci pań szarpały je za nogi, żałośnie pociągając nosem i wołając: „Chcę do domu!”. Pod resztą sznurów

toczyło się podobne, smętne widowisko. Do schylonych nad kosztami kobiet o zszarzałych twarzach przywierały znudzone, usmarkane dzieci.

Ani Danielsowa, ani pani Hardy nie przywitały się i nie odezwały do Alys, która zresztą wcale na to nie czekała. Zwłaszcza że plotkując o kupcach przybyłych do wsi tego ranka, nie zwróciły na nią uwagi.

Przez wyprawę z praniem Alys brakło czasu na sprawdzenie, kim są przybyli. Mogli to być Pawł i Beti, bo zapowiadali odwiedziny.

– Ciekawe, czy ten chłopiec to syn – powiedziała pani Hardy, przypinając do sznura ogromniaste spodnie męża.

„Skoro syn, to nie Pawła i Beti” – pomyślała Alys. Całym sercem liczyła, że to będą oni.

– Mnie się zdaje, że im wszystko jedno. – Danielsowa przerwała wieszanie i ściszyła głos. – Pewnie ci wiadomo, że kupcy wiążą się ze swym rodzeństwem...?

Pani Hardy ścisnęła mokry fartuch i wybałuszyła oczy.

– Niemożliwe!!!

– Możliwe. Syn, bratanek, siostrzenica, córka. Dla nich to bez różnicy. Obrzydliwe grono. Poza tym słyszałam, że mężczyzna u nich kładzie się z mężczyzną, a kobieta z kobietą.

– Po co?

Surowe spojrzenie Danielsowej jeszcze bardziej zbiło panią Hardy z tropu.

– Czemu więc – dopytywała – Dobry Pasterz chroni tych dzikusów? – Lewe ucho córki zasłoniła ręką, a prawe biodrem, aż dziewczynka zaczęła się wyrywać. – Jakim cudem wędrują sobie tam, gdzie zechcą, i pozeraczki dusz nie są im straszne?

– Takim, że to przybrane dzieci Bestii.

Gdy pani Daniels podkreśliła to kiwnięciem głowy, Alys mimowolnie zaczęła się ociągać z pracą. „Wygadują takie straszne bzdury! Bredzą jak inni. Bez pojęcia o pożeraczkach... O kupcach. W ogóle o czymkolwiek. Nic dziwnego, że matka nazywa te dwie panie Ślepugą i Baranią Głową”.

– Niesłychane! – odrzekła pani Hardy. Z ciekawości rozwarła oczy tak szeroko, że omal nie wypadły z orbit.

– Nie przesłyszałaś się – potwierdziła pani Daniels. – Wiem od Milesowej, że ofiarują Bestii pierwotne. Odrzynają im głowy i wznoszą ich krwią toast ku jej chwale. – Nie szeptała już, tylko syczała, tak że jej synek przestał płakać i wpatrzył się w nią z otwartą buzią i ciekącym nosem. – Powiadam ci, a później tańczą przy księżycu nago.

– Dobry Pasterzu, miej nas w swej opiece! A co potem robią z głowami?

Pani Daniels zmarszczyła czoło.

– Głowaaami?!

– Dzieciątek, Agnes. Tymi, które obcinają.

Na to rozległy się wrzaski. Chłopiec i dziewczynka wydali z siebie takie wycie, że Alys omal nie wypadł z rąk koszyk.

– Co się tak drzesz? – Danielsowa oderwała chłopca od spódnicy i niedbale wytarła mu buzię poszewką. – Bierz przykład ze starszej siostry! Jest jak myszka. – Wtem popatrzyła na Alys i twarz jej stężała. – A ty na co się tak gapisz?

Odwracając wzrok ku praniu, Alys powiesiła ostatnią już koszulę.

– Na nic, proszę pani.

Kiedy Alys odeszła, pani Daniels podniosła głos, by zagłuszyć rozszlochanego malca:

– Jest taka sama jak kupcy. Miej na oku dzieci, gdy się z nią zadają. Zapamiętaj moje słowa, Dello.

Gdy Alys wracała do domu, pół słońca znikło za horyzontem; przedmioty w jego poświacie rzucały długie, lodowate cienie. Alys oparła pusty kosz na biodrze i zamiast na skróty, przez wioskę, poszła drogą okrężną, pod ogrodzeniem, żeby spojrzeć na przybyszów.

Byli to Pawł i Beti. Ich cztery silne, brzydkie konie Alys rozpoznałaby na końcu świata. Rzecz jasna Pawła też, po rudych włosach, poprząkanych dziś siwymi gęściami niż przed ośmiu laty. Z czasem Alys polubiła też Beti. Nie znała dotąd kobiety, która śmiałaby się częściej i równie głośno. Niemal tak krzepka jak Pawł, Beti była – oględnie mówiąc – zaniedbana. Nie z niechlujstwa, tylko z niefrasobliwości.

Rzeczywiście przyjechali z chłopcem. Choć to niezbyt trafne słowo. Przerastał on Pawła o głowę. Kobiety wieszające pranie opowiadały farmazony, ale też nie należało im się dziwić. Nawet gdyby Alys nie wiedziała, że Pawł i Beti są bezdziećni, było widać gołym okiem, że chłopiec nie jest ich rodzonym synem. „Skórę ma ciemną jak miód gryczany, a oni – bladą jak moja. Pochodzi pewnie z gór”. Rozmaitość karnacji kupców budziła niepokój defaidian. Gdy ich skóra była tylko mniej lub bardziej mleczna, przybysze z Krainy Jezior wyglądali kolorowo, bo okolica ta przyciągała ludzi z najdalszych zakątków Byd.

Starając się nie patrzeć na chłopca, Alys nie umiała jednak się powstrzymać. Jego piwne oczy były wprost niesamowicie ciemne. Wzdrygnęła się, kiedy dotarło do niej, że oczy, którym tak się przypatruje, skierowane są prosto w jej oczy.

Alys odwróciła wzrok, jakby chłopiec wcale jej nie zainteresował – i skupiła się na towarach, które Pawł i Beti przywieźli na sprzedaż z innych wiosek. Były to buty i siodła z Tarren. A także worki mąki z pszenicy twardej ozimej. Plecione z trzciny kosze i solone ryby z nadrzecznego Pysgod. Nic ciekawego aż tak, by Alys mogła dłużej udawać zainteresowanie. Spojrzawszy znów na młodego kupca, zauważyła na jego ustach cień uśmiechu.

– Nasza panna! – Z jednego z wozów wytknął głowę Pawł. Podbiegł do Alys, chwycił ją wpół i podniósł.

– Gdzieś ty była, dziecko? – Beti też uniosła Alys bez wysiłku, łaskocząc ją kosmykiem siwych włosów, który wymknął się z jej koka.

– Patrz, Alys, cośmy przywieźli – rzekł Pawł. – Żadnych garnków. Tym razem to dorodny chłopak. No i jak ci się podoba?

Alys spąsowiała, a spojrzawszy w górę, zatrzymała wzrok na ustach chłopca, znowu wyraźnie ubawionego.

– Przystojny z niego młodzian, prawda, Alys?

– Przestań! – Beti uderzyła Pawła w ramię z taką siłą, że omal się nie przewrócił. – Zostaw ją. Ucieknie, jak jej nie przestaniesz drażnić.

– Jestem Cian – przedstawił się wysoki chłopiec. – A ty jesteś nadobna Alys, o której ciągle mówią Pawł i Beti.

– Mhm – odparła Alys. Teraz nie zniosłaby nawet zerknięcia w jego stronę. Żar palący jej twarz powędrował do żołądka i ogarnęła ją przemożna chęć ucieczki. – Powinnam iść już. Mama pewnie czeka. Popatrzyła na Pawła i Beti. – Czuwam dziś na pastwisku, więc muszę się zbierać.

– Skoro tak, to mam dla ciebie coś, co na pewno ci się przyda – rzekł Pawł. – Czekałem z tym, aż będziesz starsza. No i większa. – Podbiegł do jednego z wozów i po chwili wrócił z wełnianym

paltem.

„Palto mamy” – pomyślała Alys. „Zostawione w wozie Pawła osiem lat temu”.

Dotknęła palta, spojrzała na Pawła i z radości omal nie rzuciła mu się na szyję.

– Mamine palto. Przechowałeś je z myślą o mnie? – Przycisnęła twarz do palta, ale wbrew jej niemądrej nadziei zapach mamy nie przetrwał...

– Tak. Pamiętam jak dziś. Byłaś kruszynką i prócz niego nic ci po niej nie zostało. Że je mam, zorientowałem się dopiero dzień drogi od Defaid. Więc myślę sobie: „Zaczekaj, aż będzie dobre na panienkę i wtedy je jej oddasz”. No i proszę. – Pawł zaniósł się śmiechem i otarł łzy z oczu.

Beti klepnęła go po plecach i, też osuszając oczy, rzekła do Alys:

– Biegnij już, dziewczyno. Wstyd, wysyłać was, dzieciaki, na noc – i to jeszcze zimną i wilgotną, bo taka właśnie się dziś zapowiada. Przyda się palto, prawda, Alys? Poszukamy cię jutro, zgoda?

– Tak – odpowiedziała Alys i, mocno uściskawszy Pawła, pognęła przez wieś, ucieszona, że ziąb chłodzi jej rozpalone policzki.

Skręcając za rogiem w stronę domu, zobaczyła, że wychodzi z niego Enid. Enid zatrzymała się na chwilę i rozejrzała, jakby niepewna, co ma dalej robić. Spostrzegłszy Alys, ruszyła ku niej ze spuszczoną głową. Przed miesiącem wróciła do pracy, powierzając całonocną opiekę nad bliźniętami jednej z defaidianek. Ren też wychodził czuwać, jednak Enid nie znajdowała pociechy w jego towarzystwie, bo mimo próśb Madoga, Starsi się nie zgodzili, żeby chłopiec czuwał z rodzicami. Madog przyjął to spokojnie, ale Alys zauważyła w nim ostatnio zmiany. Ilekroć zbliżała się do niego, przybierał osobliwy grymas, wydając woń zbliżoną do zapachu

mokrego metalu.

– Alys – odezwała się Enid, gdy dzieliła je odległość szeptu. – Chciałabym cię prosić o przysługę. – Pospiesznie uścisnęła rękę Alys, łaskocząc ją szorstkimi palcami. – Chodzi o Rena. Jest słaby. – Wymownie spojrzała na Alys. Dzieci z Gwenith, które chorowały w pierwszych latach czuwania, bardzo rzadko powracały do sił. – Ma dziś być na pastwisku, a Madog i ja na ogrodzeniu. Raz mówiłaś, że byś się nim zajęła, więc proszę, zrób to dzisiaj. Zgodzisz się go przypilnować?

– Dobrze – odparła Alys. – Będę go mieć na oku.

Enid kiwnęła głową.

– Świetnie. Powiem Madogowi. Jak ja będzie ci ogromnie wdzięczny.

Gdy po zachodzie słońca szli na pola, Ren zwinął usta w trąbkę i raz po raz wypuszczał w ciemność kłęby gorącego powietrza. Odchyłał głowę i patrzył, jak zbiegające nikną w górze. Wydychając wolno parę, szybko wciągał powietrze.

„Żeby cieszyć się czymś takim...” – myślała Alys, przyglądając się, jak Ren wydmuchuje parę. „Przecież powinien już wiedzieć, że widok własnego oddechu to zwiastun długiej zimnej nocy. Dziecko z Gwenith nie powinno się radować chłodem”.

Pfff, pfff. Podskakując przy niej, Ren czasem ocierał nos ręką, tak że zostawały na niej długie smugi gila. Alys wygrzebała z kieszeni chusteczkę i podała mu ją.

– Wytrzymaj się – powiedziała.

– Dziękuję.

– Zatrzymaj ją. A gdzie masz mitenki? Mama cię tu bez nich nie puszcza. – Nie odpowiadając, Ren wciąż szedł w podskokach. – Zmęczy cię to.

Hop-hop.

– Co, Alys?

– Podskoki. Nie trzeba tak skakać. Lepiej iść. – Chłopiec znów nie odpowiedział. „Wkrótce się zmęczysz” – stwierdziła Alys, zastanawiając się, co wtedy zrobi. Nosić go raczej nie zdoła, a już z pewnością nie do świtu...

– Wpierw obejdziemy twoje pastwisko, potem moje, starając się zbyt nie oddalać od jednego ani od drugiego. Na szczęście są obok siebie.

– To dzięki tacie. Zastąpił mną Lyneth.

– Słusznie – odrzekła Alys i delikatnie pchnęła Rena w stronę jego pastwiska. Wyprzedziwszy ich znacznie, dwa psy na pewno już okrążyły stada owiec, na razie nie musieli się więc o nie martwić. Ren jednak poruszał się pomału, mimo że podskakiwał. Noc nadciągnęła szybko, nieprzeniknienie czarna, a gęste chmury zasłoniły księżyc, który powinien im przyświecać. Trawa i zmarznięta ziemia chrzęściły im pod nogami jak potłuczone szkło. Wilgoć w nosie Alys stężała i zaczęły piec ją oczy.

– Zimno ci? – zapytała Alys, czując zapach śniegu.

Ren spojrzał na nią spod runda za dużego kapelusza. Przytaknął. Zdjęła i dała mu mitenki.

– Włóż je.

Wsunęła ręce do kieszeni. Ren włożył mitenki, bez uśmiechu i bez słowa.

Alys zauważyła, że przestał podskakiwać. Przytknęła mu dłoń do czoła. Było mocno rozpalone.

– Źle się czujesz?

Wzruszył ramionami. Wzięła go za rękę. Jego palce zmiękły w jej dłoni – i milcząc, szli tak dalej. Od wzbierającego co pewien czas wiatru aż paliły ją policzki i oczy miała załzawione, a gdy kolejny

silny podmuch zwał kapelusz z głowy Rena, musiała mu go przynieść. Wkładając chłopcu kapelusz, poczuła, że gorączka wzrosła. „Muszę mu pomóc” – pomyślała. „Przyrzekłam Enid dbać o niego”.

Dzieci z Gwenith dostały namioty, w których mogły się ogrzać zimą. Spać w nich nie mogły, ale przy ostrzejszych mrozach miały prawo na krótko się w nich chronić. „Jak umieszczę w jednej z tych kryjówek Rena, to kiedy zaśnie, popilnuję obu pastwisk”.

Przewieszając torbę z pleców na brzuch, Alys kucnęła naprzeciw Rena i wzięła go na plecy. Kiedy wsunęła mu ręce pod kolana, oplótł ramionami jej szyję. Był cięższy, niż się jej wydawało. „Namiot pewnie jest w pobliżu” – powiedziała sobie.

Ale był daleko. Gdy doń dotarli, ręce Alys drżały i niezdolnie piekły, tak że padła na kolana z ulgą. Rozsznurowała namiot i wciągnęła do niego chłopca.

Dno namiotu zaścielały cuchnące stęchlizną futra zwierząt. Ściany i dach z pokrytej łojem skóry ledwie chroniły przed podmuchami wiatru, ostrzejszym deszczem i śniegiem. Pod skórą jednak Renowi byłoby wystarczająco ciepło i miałby tam też dość sucho.

Zdjęła mu kapelusz i buty – oraz mitenki, które upchnęła z powrotem po kieszeniach. Opatuliła chłopca wełnianym kocem i ułożyła pod futrami. Przez mrok nie widziała jego twarzy, ale czuła, że dygoce. Raptem chwycił ją w nadgarstku chudą rączką, nie pozwalając jej odejść.

– Nic ci nie będzie – zapewniła Alys. – Przyjdę tu po ciebie rano.

Zacisnął rękę znacznie mocniej, niż spodziewałaby się po tak wątłym dziecku. Palcami aż wpił się w jej przedramię.

Zamiast wyrwać mu się, Alys westchnęła.

– Jeśli zostanę, Ren, a oni się dowiedzą, czeka mnie kara.

Ren rozluźnił uchwyt i skulił się w sobie. Dotykając nadgarstka tam, gdzie wbił jej palce, Alys się zawahała. „Pójdę” – powiedziała sobie. „I wrócę po niego o świcie, tak jak mu przyrzekłam. Powiem «dobranoc» i wyjdę. Nie ma co się zastanawiać”.

Na oślep wymacała ręką pod futrami jego jedwabiste włosy. Myślała chwilę, czy to odwaga, czy głupota, że Madog z Enid zdecydowali się na dzieci. „Gdyby Ren był moim dzieckiem, nie wysłałabym go tu samego... Ale teraz jest ze mną i ja będę o nim decydować”.

Alys zasznurowała namiot od środka. Zdjęła buty i wpełzła pod futra. Nigdy jeszcze z nikim nie spała, tylko raz przesiedziała noc z Delwynem – bez snu. Przysunęła się do Rena, przytulając go tak mocno, że całą sobą czuła teraz jego drżenie. Podciągnęła futra, tak że obojgu wystawały spod nich tylko nos i czoło.

– Śpij – szepnęła.

– Nie chcę spać – odpowiedział. – Jak zasnę, to sobie pójdiesz.

– Nie pójdę. Obiecuję.

Ren rozluźnił się i wsunął ręce pod jej ręce. Przymknęła oczy z myślą, czy też by się nie zdrzemnąć.

– Alys?...

– Słucham.

– Myślałaś kiedyś o ucieczce?

Alys wzięła oddech i westchnęła głęboko.

– Tak – odrzekła spod obłoczka pary.

– Czemu nie uciekasz?

– Bo troszkę boję się iść sama. Ale gdybym mogła pójść, dokąd zechcę, i nie przejmować się odległością, powędrowałabym chyba do Krainy Jezior.

– Ja chcę mieszkać nad morzem. Tato mówi, że widać je z gór. Że

widać z nich odległe okolice. Że widać całe Byd i morze hen, daleko, no i że góry są wciąż zaśnieżone. Mówi, że możemy tam pojechać, że zbuduje nam dom, a wtedy bliźnięta i ja nigdy się już nie zmęczymy, bo całe dni będziemy się bawić, a spać od zmierzchu do samego rana. Ale kiedy mama mówi, żebyśmy już jechali, tato odpowiada, że jeszcze nie pora. Że trzeba poczekać, aż bliźnięta podrosną. A mnie się nie chce czekać. Chciałbym tam jechać od razu.

Cały czas, gdy Ren mówił – jak na niego niespotykane długo – Alys nawet nie drgnęła ani nie mrugnęła okiem.

– Twoi rodzice rozmawiają o ucieczce?

Chłopiec zastygł jej w ramionach.

– Nie wolno mi o tym wspominać.

– Nie zdradzę cię, Ren. Nigdy w życiu.

Znowu się rozluźnił.

– Powędruj z nami. Tato obiecał pokazać mi morze.

Alys się zaśmiała. Morze... Słyszała, że takie coś istnieje, że Byd otacza wielka woda, błękitna, bardziej rozległa i głębsza od największych jezior ziemi. Nagle poczuła przemożną chęć ujżenia jej na własne oczy. Sama myśl o bezkresnym lazurze napawała ją radością.

„Może się tam wybiorę” – powiedziała sobie. „Kiedyś. Może pojedą ze mną Pawl i Beti”. Uśmiechnęła się na myśl o nich. I na myśl o piwnookim chłopcu z gęstą czarną czupryną. Ciemną jak noc bezgwiezdna... Smoliste włosy chłopaka, jej pragnienie, tęsknota i nadzieja – wszystko to w przedziwny sposób przypomniało Alys o otchłani. Uciekającym czasie. Odwróconej klepsydrze. Alys prawie już nie śniła, a jeśli tak, to o tej powiększającej się stale bezdennej dziurze, którą trzeba zacerować. Zamknęła oczy, starając się nie myśleć o czeluści.

– Śpij, Ren – powiedziała. – Dosyć na dziś rozmów.

Zbudziła ją głucha cisza. Ren odsunął się od niej w nocy i leżał na wznak, z rozciągniętymi rękami i nogami. Chrapał. Mokre włosy opadły mu na czoło. Nie dygotał już.

Gdy Alys odsznurowała namiot, obsypał ją śnieg. Nocą spadło go na ponad stopę i wszędzie było białe. Świt zaczął czerwienić widnokrąg. Oboje omal nie zaspali. Potrząsnęła Renem, by wstawał, i rzuciła mu buty. „Oby nic złego nie spotkało owiec. W przeciwnym razie zamiast wracać do wsi, wolałabym zamarznąć w lesie na śmierć”.

Gdy brnęli przez śnieg, dołączyły do nich oba psy. Alys kamień spadł z serca. Zachowywały się zbyt spokojnie, aby nocą coś się wydarzyło. „Wygląda na to, że Ren i ja wyjdziemy z tego bez szwanku”.

Wskazując psy ruchem głowy, Alys ścisnęła rękę chłopca.

– Spójrz – rzekła – jakie są spokojne. To znak, że owcom nic nie grozi. Świetnie.

Ren przytaknął. Rozkopując śnieg, coś sobie nucił, obojętny na los owiec. Alys mignął w przelocie szary kształt na tle jaskrawej bieli, dwadzieścia stóp przed nimi. Klepnęła Rena w ramię, pokazując mu królika, który utonął w zaspie.

– O zmroku pożre go sowa – powiedziała Alys. – Nie spostrzeże jej i nawet nie usłyszy.

Rozkładając ręce, dmuchnęła w ucho chłopcu i uniosła go wysoko. Wybuchnął śmiechem. A gdy stawiała go na ziemi, spostrzegła, że zaróżowił się z zimna i radości. Wziął ją za rękę

i ruszyli dalej.

– Miałem sen tej nocy – rzekł Ren. – Pilnowałem owiec i byłem tak zmęczony, że przysypiałem co chwila. Siedziałem, o, pod tamtym drzewem. – Wskazał wiecznie zielone drzewo na skraju pola, rozłożyste, wielkie jak dom. – Było lato i świat był zielony, mięciuteńki, ciepły. Taka pani powiedziała mi, że zasnę, kiedy za nią pójdę.

Alys przystanęła.

– Jaka pani?

– Dziwna. Cichutko unosiła się w powietrzu. Śniła mi się przedtem.

– Kiedy?

– Gdy ostatnio byłem na pastwiskach. – Ren zmrużył oczy w zadumie. – Byłem na tym tu, pod tamtym drzewem, tak jak ci mówiłem. Stwierdziłem, że ta pani jest prawdziwa, bo wydawała się taka, a później się zbudziłem.

Alys spojrzała na Rena. „Najwyraźniej Madog i Enid postanowili nie mówić mu o pożeraczkach dusz. Jak jednak, nie wiedząc nic, to dziecko miałoby się przed nimi chronić?... Nie, nie, nie wolno mi ich osądzać. Co ja wiem o wychowaniu dzieci? Cóż dałaby mu przestroga? Jak zechcą, dopadną go i tak”.

– Czy ta pani ci się przedstawiła?

Ren uśmiechnął się.

– Teraz nie. Poprzednim razem.

Przystając, Alys spojrzała mu prosto w oczy.

– Jak jej na imię, Ren, pamiętasz?

– Jasne, że tak. Angelica. Mówiła, żebym nie zapomniał. No i żebym jej poszukał.

Alys ścisnęła go za rękę tak, że zawył z bólu. Więc przeprosiła.

– Nie waż się wspominać o tym śnie defaidianom. A jeśli znowu zdarzy cię się natknąć na te fruujące panie... – Chwyciła go za ramiona. – Gdybyś jeszcze raz je spotkał, masz mi przyrzec, Ren, że uciekniesz.

Kiedy zbliżali się do bramy, Alys dojrzała najpierw stroskaną postać Enid – na której widok Ren potruchtał naprzód. Enid chciała pobiec mu naprzeciw, ale Madog położył jej dłoń na ramieniu, więc nie ruszyła się z miejsca, czekając na Rena. Gdy do niej podszedł, pomacała mu czoło, pochyliła się i – patrząc przez ramię na Alys – pochwyciła go w objęcia. A potem Madog podniósł chłopca, aby zanieść go do domu.

– Zobaczymy się później – rzekła Enid do Alys.

– Dobrze – odparła Alys z myślą, że musi jej opowiedzieć o śnie Rena.

Pod domem Alys zastała ojca, który właśnie wybierał się po drewno. W kuchni panowały chłód i pustka.

– Matka znowu źle się czuje – powiedział ojciec i poszedł.

Alys sądziła, że nie zdoła zasnąć, a jednak spała, zrywając się nerwowo. Tym razem zamiast otchłani śniły jej się latające kobiety. W śniegu, w błocie. Stworzone z piór, stworzone z liści. We śnie jakby ktoś nią potrząsał. Przytłoczyło ją coś, a coś innego unosiło jednocześnie. Z całych sił starała się otworzyć oczy, krzyknąć...

– Obudź się, dziecko. Jesteś mi potrzebna.

Czując dłoń zaciskającą się na barku, Alys podniosła wzrok na matkę. „Nie znałam jej takiej”. Nadal była ona w koszuli nocnej, a twarz – zwykle spokojną – miała napiętą. Włosy, które Alys widywała tylko upięte w kok nad karkiem, opadały jej na ramiona, rozczochrane.

– Jeszcze wcześniej, dziecko. Ale jestem chora i cię potrzebuję.

Ubierz się i przyjdź do kuchni. – Matka przytrzymała się futryny. Wyszła po dłuższej chwili.

Sądząc, że matka chce, aby ją zastąpiła w domowych obowiązkach, Alys ubrała się do pracy i – by nie zmarznąć w śniegu – włożyła grube wełniane pończochy. Zapomniawszy prawie o gwizdku, założyła go jednak w ostatniej chwili.

Matka siedziała przy kuchennym stole. Nie jadła nic ani nie piła. Podstawiła tylko Alys filiżankę mocnej herbaty i talerz z pajdą ciemnego chleba z serem.

– To niewiele, dziecko, ale da ci siłę. No jedz, jedz, tylko się pospiesz. – Zachęciła Alys jak zwykle prędkim kiwnięciem głowy, lecz Alys zorientowała się, że dolega jej coś poważnego – i poczuła ukłucie w sercu. Nigdy dotąd nie musiała martwić się o matkę. Matka nie chorowała. Teraz jednak trzymała się kurczowo za brzuch, jakby zaraz miały wypaść zeń wnętrzności. – Chcę, byś poszła do dawnego domu.

Alys przestała przeżuwać, ale czuła, co za chwilę padnie...

– Musisz przynieść mi coś z piwniczki. Coś, czego trzymanie tutaj byłoby ryzykowne. Ale to nie wszystko. – Wspierając się o blat stołu, matka zmusiła się do wstania. Poszła do pokoju, który dzieliła z ojcem, i wróciła z zawiniątkiem w ściereczce. Zdjęła z haka w kuchni koszyk i włożyła do niego zawiniątko. Alys patrzyła na nią, jedząc, choć stary chleb ze słonym serem niezbyt jej smakował. Matka usiadła przy stole, stawiając przed sobą koszyk. – Za domem rośnie stary dąb, wiesz, który. Chcę, byś zakopała tę paczuszkę pod nim.

Alys mogła zareagować różnie i zadać całą masę pytań, ale wiedząc, że matka tego oczekuje, postanowiła zająć się konkretem.

– Ziemia będzie twarda.

– Mhm – przytaknęła matka. – Ale sobie poradzisz. Wejdź do

domu od kuchni i poszukaj łopaty. Ojciec nadal przechowuje tam narzędzia. Wykop dziurę na tyle głęboką, żeby później nie mogły jej odkopać wilki. Potem idź do piwniczki. Znajdziesz tam słoiki, na półce. Ten, o który mi chodzi, ma na denku nalepkę z sześcioma rysami. W nim znajdziesz kilka korzonków. Starych, gruzłowatych. Jeden z nich zawiń w płótno. Porządnie obwiąż i trzymaj przy sobie. Nie wkładaj do koszyka ani do kieszeni. Dyskretnie ukryj gdzieś, rozumiesz?

Alys zrozumiała. Matce zależało na tym, by Starszy Miles nie zainteresował się jej tajemnicą.

Matka zadrżała, lecz Alys nie wyciągnęła do niej ręki. Matka nie lubiła, gdy ktoś jej dotykał. Żółty odcień jej skóry zaniepokoił Alys. Widząc kogokolwiek z wioski w takim stanie, pomyślałaby, że osoba ta umiera. Że ów nieszczęśnik ma febrę albo coś gorszego.

– Matko – odezwała się Alys.

– Tak, dziecko. – Matka podniosła na nią oczy. Przepętnione bólem.

– Na pewno dasz sobie radę sama? Poszłabym po kogoś, żeby z tobą został...

Matka zamknęła na chwilę oczy, wzięła wdech i głęboko westchnęła.

– Nie, teraz nikt mi nie pomoże, dziecko. To znaczy: nikt oprócz ciebie.

Kiedy Alys wyszła z domu, wioskę okrywała warstwa śniegu, który spadł minionej nocy. Niebo było szare, lecz pogodne, a od wszechobecnej bieli odbijało się światło. Alys przysłoniła oczy dłońmi w mitenkach. „Oto jak wygląda ranek” – powiedziała sobie. „Prawdziwy ranek, a nie świt, do którego się przyzwyczaiłam”. Wkoło niej krzątali się wieśniacy. Kobiety szły wieszać pranie. Starsze dziewczęta zmierzały z wiadrami do studzien. Nie było wśród nich ani jednego dziecka z Gwenith – wszystkie jeszcze spały.

Alys niosła w koszyku słoik ciemnego miodu. Na razie nie wzięła z domu zawiniątka. Tłumaczenie Starszemu, że matka kazała jej zakopać coś pod dawnym domem, byłoby niedorzeczne. Alys miała więc powiedzieć, że matka zachorowała – zgodnie z prawdą. Tak wcześniej więc zbudzono ją dlatego, by poszukała czegoś, co pomoże matce. I tu prawda się kończyła. Rozmawiając z Milesową, Alys miała dodać, że matka wysłała ją po korę wiązu czerwonego.

Wbrew oczekiwaniom Alys nie Milesowa stanęła jednak w progu, tylko jej najmłodsza córka Cerys, którą Alys straszyla kiedyś historyjkami o Bestii. Cerys – rówieśnica Alys – była od niej niższa, ale za to, jak przystało na kobietę, miała krągłe kształty. Pospiesznie ubierając się i rozbierając, Alys nie przyglądała się swojemu ciału, ale też wiedziała, że jest płaska jak deska. Błękitna wełniana sukienka Cerys była ładniejsza od sukienek Alys, ale nie tak ładna, by to tłumaczyło, czemu na niej układa się inaczej. Poza tym, nawet jak na dziecko z Defaid, Cerys była urodziwa. „Dorodna” – myślała o niej Alys. Usta miała czerwone jak jabłka Najstarszego –

i różowiutkie policzki. Nos jej oprószony był piegami, włosy zaś złociły się jak jaskry. Z jej warkocza wymykały się tu i tam loczki, tak niesforne jak kosmyki nad czołem.

Cerys obnażyła zęby w uśmiechu.

– O, Alys – powiedziała. – Nie sądziłam, że ktoś dzisiaj wpadnie. Właśnie idę zobaczyć się z Mai.

Mai była bliską przyjaciółką Cerys i tak samo córką Starszych. Kiedy Alys nie odpowiedziała, Cerys roześmiała się i spojrzała na nią, marszcząc czoło, niepewna, jak ma się zachować. Jakby nie było dla niej oczywiste, po co Alys składa im wizytę.

Gdy obok Cerys stanęła wreszcie Milesowa, Alys wyłuszczyła jej swoją sprawę. Milesowa wzięła od niej koszyk i popatrzyła na córkę.

– Nie spóźnij się na obiad – upomniała.

– Oczywiście, mam. – Cerys ze śmiechem pomachała ręką i oddaliła się tak zamaszystym krokiem, że aż zawirowała jej spódnica. Alys patrzyła za nią chwilę, po czym znów zwróciła oczy na niemłą twarz Milesowej. „Ciekawe – pomyślała – kiedy Cerys zacznie się do niej upodabniać”.

– Czekaj – rzekła Milesowa i zamknęła drzwi. Po chwili otworzyła je znowu i wsadziła w rękę Alys żelazną bransoletkę z wygrawerowanym numerem jeden. – Starszy Miles nakazuje ci się spieszyć. Masz wrócić, nim wybije południe. Bo inaczej wyśle za tobą konnych.

Alys zagryzła wargi.

– Dziękuję pani bardzo za uprzejmość.

Gdy Alys wróciła, matka, widząc pusty koszyk, odwróciła się i bez słowa odeszła do pokoju. Alys chciała jej powiedzieć, że do południa nie zdąży dojechać do starej chaty, zakopać paczki, wziąć lekarstwa i wrócić pod bramę. Wyprawa zajęłaby dwa razy tyle czasu. Ale

spozstrzegła, że matce jest to obojętne. Otaczał ją kwaśny zapach i aura, o której Alys wołała nie myśleć. Nie mając wyboru ani wiele czasu, Alys stwierdziła, że zaryzykuje. „Oby tylko mnie tam nie złapali. Pójdę polami, w razie czego przez las. Skręcę nogę, żeby mieć wymówkę, gdybym za późno wróciła”.

Dochodząc do bramy, Alys zobaczyła wystające z jednego z wozów Pawła nogi strażnika, którego lubiła najmniej. Na imię miał Ffordd i był najstraszniejszy, bo czerpał satysfakcję z władzy nad przybyszami, a zwłaszcza dziećmiakami z Gwenith.

Schowany do połowy w wozie, Ffordd sprawdzał jego zawartość, wykradając przy okazji coś dla siebie. Beti, która przycupnęła na siedzeniu innego wozu, zdumiała się, że widzi Alys o tak wczesnej porze. Pomachała do niej, roześmiana. Na wozie nieopodal siedział Cian, wyraźnie wściekły. Alys w mig wyczuła, że Ffordd napawa go odrazą.

Za Fforddem stał Pawł, trzymając się pod boki, w oczekiwaniu, aż ten skończy. Zerknął na Alys, puścił do niej oko i, szczerząc zęby, udał, że kopie Ffordda w zadek. Na to Alys uśmiechnęła się słabo, pomachała Pawłowi i poszła dalej. Niepokój o matkę rósł w niej niczym fala powodziowa.

Za bramą Alys ruszyła prosto do stanowiska wiązków – granicy, której nie wolno było przekraczać ani dzieciom z Gwenith, ani defaidianom. Zdjęła mitenki, więc ziąb szczypał ją w ręce, kiedy zdzierała z drzew paseczki kory. Pracując, wciąż nasłuchiwała i sprawdzała, czy ktoś nie nadchodzi. Na ośnieżonych polach panowała niezmacona cisza. Matka poradziła Alys wystrzegać się kłusowników. Tropiąc jelenie, zapuszczali się znacznie dalej od innych wieśniaków, a że byli bezszelestni, mogli dojrzeć ją, nim by się zorientowała.

Jedna z dróg wiodła prosto do dawnych domostw, ale Alys wybrała szlak wśród drzew. Szła przez to wolniej, ale czuła się

bezpieczniej. Gdy przeskakując strumyki i schylając się pod gałęziami, pokonała milę, mimo chłodu była mocno zgrzana i spocona. Zza drzew wyłoniła się wreszcie łąka i rozległe pola, od dawna zachwaszczone. Alys była teraz bezbronna jak królik, którego pokazała Renowi, kiedy brnęli przez śnieg.

Pierwsze z dawnych gospodarstw, które zobaczyła, wyglądało na tle pejzażu jak rozlazły stwór, poszarzały, pólżywy, budzący litość. Kolejne było podobne, tak jak i to za nim. W końcu pokazał się dom, który Alys pamiętała z pierwszych swych miesięcy w Defaid. Na wypadek, gdyby się zgubiła, matka kazała jej szukać domu z białymi drzwiami frontowymi. Nie z łuszczącymi się, popękkanymi czy wyblakłymi. Miały być białe, bielutkie. A dach domu miał się nie zapadać.

Wszystko się zgadzało. Dom nie zachwycał, ale mimo swego wieku trzymał się nieźle i nadawałby się do zamieszkania. Okiennice wciąż wisiały prosto. Zamknięte, chroniły dom. „Ojciec z pewnością nieraz przychodził tutaj po kryjomu...” Alys rozejrzała się dokładnie, sprawdzając, czy ciszę mącą tylko przelatujące czasem ptaki. Obeszła dom i odnalazła drzewo, tak wielkie, jak je zapamiętała. Szerokie niczym drzwi stodoły, miało splątane gałęzie, które rosły każda w inną stronę, jakby chciały się odeń oderwać.

Wróciwszy pod dom, Alys nacisnęła klamkę drzwi kuchennych i weszła do środka. Jak przypuszczała, panowały tam pustka, chłód i wilgoć. Przez okiennice nie wpadało światło, więc Alys zostawiła drzwi otwarte. Kuchnię czyściutko zamieciono, w palenisku zaś nie było ani polan, ani choćby śladu po popiele. „Ojciec jest ostrożny. Ale niezupełnie”. Pod jedną ze ścian leżały narzędzia, niesplamione rdzą i często używane – piły przeróżnych kształtów i rozmiarów oraz siekiera i zestaw młotków. Alys wzięła łopatę i – wraz z koszykiem – zaniósła pod wielkie drzewo.

Trzymając łopatę pionowo, dźgała śnieg w poszukiwaniu

miękkiej ziemi. Korzenie drzewa, podobnie jak gałęzie, były grube i splątane, lecz już po chwili natrafiła na odpowiednie miejsce. Odgarnęła śnieg na bok i, naciskając łopatę nogą, zaczęła rozkopywać zmarzniętą, zbitą glebę.

Mniej więcej stopę pod powierzchnią, tam, gdzie mogłaby zakopać zawiniątko matki, Alys natknęła się na jakiś przedmiot owinięty w płótno, zbrązowiałe od ziemi. Jeszcze jeden ruch łopatą i pewnie rozerwałaby paczuszkę, wstrzymała jednak dłoń w ostatniej chwili. Przyklękła w śniegu i, wpatrzona w znalezisko, po raz pierwszy zadała sobie – retoryczne tu – pytanie: „Co matka kazała mi zakopać po tym drzewem?”.

Śnieg topniał, ziębiąc kolana Alys, roztopiony wlewał jej się do butów. Alys miała zamiar przysypać ziemią tajemniczy przedmiot, a zawiniątko matki zakopać gdzie indziej. „Tak byłoby rozsądnie...” Ujęła przedmiot w palce, położyła go na kolanach i ostrożnie odwinęła wiotkie płótno. Wewnątrz był szkielet noworodka, maleńki, mieszczący się bez trudu w dłoni, kruchy jak ptak.

Alys ostrożnie zawinęła go z powrotem i odłożyła na miejsce spoczynku. Później wyjęła z koszyka zawiniątko i umieściła obok. Bez odwijania wiedziała, co jest w środku. Brat czy siostra, mogli spocząć tu razem. Alys podniosła się, otrzepała nogi ze śniegu i pochowała oboje. Usypawszy kopiec, przykryła go śniegiem i starannie przyklepała. Ogarnęła wzrokiem sfalowaną biel wokół siebie. Ptasie ścieżki i ślady jej stóp były jedynymi oznakami życia. Pod śniegiem, pod tą gładką bielą Alys wyobraziła sobie mroczne kłębowisko korzeni, z których każdy delikatnie kołysał maleńkie zawiniątko.

„Matka nie uśmiecha się dlatego... Ciekawe, z iloma poronieniami miała dotąd do czynienia. Ile razy wymykała się z wioski, by po kryjomu grzebać pod tym drzewem kolejne dziecko. Nic dziwnego, że trzyma to w tajemnicy, nic dziwnego, że chowa

zawiniątka tam, gdzie nie znajdzie ich żaden praworządny wieśniak. Wiedząc o poronieniach matki, żadna kobieta nie wezwałaby jej do porodu. Nie dlatego jednak matka milczała. Nie, matka nie wspominała o zawiniątkach, bo gdyby się dowiedzieli, zrobiliby z niej zaraz czarownicę. Starsi uznaliby, że to jej sprawka, że kobieta, która zna się na porodach, potrafi też zabijać. Gdyby Starsi wiedzieli, co tutaj robiła, nazwaliby ją oblubienicą Bestii. Oskarżyliby ją o czarną magię. Spalili. Ukamienowali. Lub przytapialiby, żeby sprawdzić, czy wypłynie. A gdyby wypłynęła, zostałaby spalona”.

Alys przypomniały się korzonki potrzebne matce, jej poźółkła skóra i cierpienie w oczach. Odór krwi i zgnilizny. Przypomniało jej się, co przed wielu laty matka zrobiła dla Mary. Jak zaparzyła herbatę, by pomóc Mary pozbyć się łożyska i uleczyć ją. „Teraz ja muszę pomóc matce”. Odniosła łopatę do domu. Otworzyła jedną z okiennic, żeby wpuścić więcej światła, i uniosła klapę wjazdu do piwniczki na środku kuchennej podłogi. Uderzyły ją przenikliwe wonie ziemi i wilgoci. Zeszła po drabinie do pomieszczenia wysokiego na zaledwie sześć stóp, a szerokiego na maksimum cztery, z klepiskiem zamiast podłogi i rzędami – w większości pustych – półek. Jedną półkę wypełniały słoje z przetworami i tam też Alys zaczęła szukać tego potrzebnego matce.

W półmroku było to niełatwe. W ciasnej izdebce brakowało powietrza. Alys zmagła się z duchotą, a serce biło jej jak oszalone, tak że nie mogła się skupić. Dręczyła ją myśl, że czas mija, i co z nią będzie, gdy Starszy Miles wyśle po nią konnych. Ze strachu trzęsły się jej ręce i pęcherz słabł z każdą chwilą. Każdy słoik musiała oglądać w strużce światła dochodzącego z kuchni. Były tam korzonki z dwudziestu roślin, wyschnięte i gruzłowate. Większość słoików miała etykiety, a tylko kilka rysy na denku. Gdy w końcu udało jej się znaleźć ten z sześcioma, jedna obok drugiej, wydobyła

z niego korzonek i zawinęła go w ściereczkę. Rozpiąwszy palto i górę sukienki, wsunęła zawiniątko pod halkę i pozapinała się. Wreszcie wróciła na górę, wciągając w płuca świeże powietrze. Otarła mokre od zimnego potu czoło. Chwilę siedziała na skraju włazu, niespokojnie kiwając nogami. Krew jeszcze szumiała jej w uszach. Wtem, na dwa odrębne dźwięki, Alys, kuląc się, przywarła do podłogi.

Kroki i śmiech. Tuż nad jej głową, wewnątrz chaty.

Alys myślała błyskawicznie. Powrót przez łąkę był długi, ryzykowny. Chcąc wyjść z domu niezauważona, musiała zachowywać się cicho, cichutko jak mysz. I mieć nadzieję, że gdy będzie uciekała, ten ktoś na górze nie otworzy okiennicy.

Spojrzała na otwarty właz w podłodze. „Na dole są korzonki. Aby sekret matki nie został ujawniony, trzeba szybko zamknąć piwniczkę. Czy te zawiasy skrzypiały, gdy je otwierałam? Nie pamiętam. Nie cisza była wtedy ważna, tylko pośpiech, a teraz trzeba mi jednego i drugiego”.

Dobiegł ją piskliwy śmiech i niemal bezgłośny pomruk. Ktoś zaszurał nogami po podłodze, a potem nagle przystanął. Znów pomruki, chichoty, lekki łoskot. Wtem cisza.

– No dalej, ruszajcie się! – wyszeptała Alys. – Hałasy zagłuszą ucieczkę.

Dotykając dekoltu, wymacała maleńkie zgrubienie tam, gdzie ukryła korzonek. Znów przypomniała jej się blada skóra matki i otaczający ją słodkawy odór. Wsparłszy się na rękach, przykucnęła. I bezgłośnie podniosła się z podłogi.

Uniosła pokrywę włazu. Zawiasy skrzypnęły. Opuściła pokrywę, porzucając koszyk matki, i pobięła drogą, którą przyszła.

Usłyszała za sobą tupot butów, lecz nie miała czasu się oglądać. Na pewno nie był to ojciec – nie musiała wiedzieć nic więcej. Spódnice wlokły się po śniegu, więc prędko zadarła je do góry. Choć starała się oddychać płytko, mroźne powietrze paliło ją w piersi.

Kiedy nagle dobiegł ją tętent, zrozumiała, że jest ścigana i że nie

ma nadziei na ucieczkę. Gnała jednak dalej, aż stukot kopyt stał się tak głośny, że pomyślała, iż zaraz ją stratuja. Niespodziewanie ktoś szarpnął ją za warkocz i upadając, zaryła twarzą w śnieg.

Tętent umilkł. Poderwana na nogi, Alys miała przed sobą poczerwieniałą twarz Rhysa, najmłodszego syna Najstarszego. Był on rostry i barczysty, a mimo ukończonych ledwie siedemnastu lat, charakterem do złudzenia przypominał ojca. Choć dotąd nie zamienił z nią słowa ani nawet nie spojrział w jej stronę, Alys wiedziała, że ma przezroczyte oczy. Straszne, puste, zimne jak skała. Chwycił Alys, wykręcił jej rękę, ścisnął gardło. Nigdy nie była tak blisko rówieśnika, odkąd obejmowała się z Delwynem na ogrodzeniu. Rhys wydawał ostry, samczy zapach. Gdy spróbowała mu się wyrwać, ścisnął jej gardło mocniej, a rękę wykręcił tak, jakby chciał rozerwać ją na dwoje.

Wciąż bez słowa, przyjrzał się jej twarzy, jakby czegoś szukał. Nagle odepchnął ją.

– Co widziałaś? – rzucił.

Oswobodzonej Alys przemknęło przez myśl, aby znów uciekać, ale że koń Rhysa czekał w pogotowiu, stwierdziła, że to niedorzeczne. Pozostawała jej więc tylko nadzieja, że wytłumaczy się jakoś.

– Zabłądziłam – odrzekła Alys. – Źle skręciłam i znalazłam się tutaj.

Rhys prychnął. Tak mocno przyłożył jej w skroń kantem dłoni, że zatoczyła się i omal nie wpadła w zaspę. Gdy obróciła się, oszołomiona, wirując na jednej nodze, na skraju pola widzenia mignął jej dom matki. Odzyskując równowagę, Alys zobaczyła, jak wychodzi z niego ktoś spowity w błękit. Kobieta o złotych lokach i ustach jak pęk róży. Cerys. Mogła to być tylko ona.

Alys odwróciła się do Rhysa, wytrzeszczając oczy. „Więc te

chichoty, szuranie, szepty i ten głuchy odgłos... Cerys z Rhysem w domu, w którym spodziewali się być sami... Cerys, najmłodsza córka Milesa. Niezameżna. Nie powinni być razem, a już na pewno nie tam, dokąd nie wolno zapuszczać się nikomu”. Węsząc w powietrzu, Alys dziwiła się, jak ten zapach mógł jej przedtem umknąć. Zapach strachu. Rhys był przerażony. I to bardziej od niej.

– Nic nie widziałam – odparła Alys. – A jak mnie teraz puścisz, nikomu nic nie powiem.

Zapach wydawany przez Rhysa stał się gryzący. Nim Alys zdążyła się przygotować, chłopak znowu ją uderzył. Padła na ziemię. Uszy jej wypełnił świst, a zaraz potem cisza.

– Żyje – powiedziała Cerys.

Było to pierwsze słowo, które usłyszała Alys, przytomniejąc. Leżała na boku w śniegu, tam, gdzie się przewróciła.

– Tak myślałem – odpowiedział Rhys.

– Wobec mnie nie musisz być oschły – obruszyła się Cerys.

Alys dotknęła twarzy, odkrywając, że straciła czucie w miejscu uderzenia.

– Wstawaj – nakazał Rhys.

Alys podniosła się z trudem. Żołądek podszedł jej do gardła i zwymiotowała Rhysowi pod nogi. Odkoczył, więc wymiotowała dalej, aż wyrzuciła z siebie wszystko. Otarła usta rękawem.

– Słowo daję, nic nie widziałam. Nie powinnam tam być i wiem o tym. No, a teraz muszę iść do domu. – Alys spojrzała na niebo. Słońce chyliło się ku zachodowi. – Miałam być w domu, nim wybije południe.

Rhys pokręcił głową.

– Na to już za późno. Pójdiesz ze mną. Powiem ojcu, że złapałem cię poza wsią.

Alys zjeżyły się włosy i odczuła zawrót głowy.

– Nie rób tego. Proszę. Obiecuję, że nie pisnę słowa.

Oczy Rhysa były lodowate jak śnieg.

– Nie piśniesz słowa o czym?

Alys popatrzyła na niego i na Cerys. Cerys zadrżała jak ptak, na którego zastawiono sidła.

– Nie ufaj jej – powiedziała.

– Wracaj do domu – odrzekł Rhys.

Cerys obróciła się do niego zaskoczona, rozchyłając różane usta.

– Sama? Taki kawał drogi?

Alys miała wielką ochotę dać jej po rumianej buzi.

– Boisz się czegoś, Cerys?

Cerys zmrużyła oczy i ściągnęła usta.

– Nie waż się do mnie odzywać. Jesteś zła i wszyscy o tym wiedzą.

Alys poczuła swąd, jakby coś się zwęgliło, albo jakby zapłonęły jej spódnice.

– Przyglądałaś się, jak pożeraczki dusz zabijają ci rodziców – odparła Cerys. – Zaprosiłaś je do domu. Otworzyłaś przed nimi drzwi i pokazałaś im drogę.

– Nieprawda – odpowiedziała Alys. „Chociaż nawet gdyby Cerys знаła prawdę, i tak nie zmieniałaby o mnie zdania, więc nie ma sensu się z nią sprzeczać”.

Cerys założyła ręce na piersi i nagle Alys zobaczyła, jak bardzo przypomina matkę. Że twarz jej już staje się kanciasta, że wkrótce, tak jak Milesowa, włoży wykrochmalony fartuch... Alys zobaczyła, jaka Cerys jest naprawdę. Banalna i pusta jak wydmuszka. Zobaczyła całą jej butę. Naiwną wiarę, że się z nią liczą. I przekonanie, że jest kochana. Wszystko, czym Cerys była i czym stać się mogła, Alys zobaczyła raptem jak na dłoni.

Alys poczuła przyływ ciepła. Ogarnęło ją od środka, kiedy krew zaczęła płynąć w żyłach zwawiej, a później, niczym rumieniec, objęło całą jej skórę.

Różane usta Cerys zbladły i zbieleły jej policzki. Kurczowo trzymając się za serce, wydała chrapliwy odgłos, jakby się dusiła. Posiniały jej przy tym wargi.

– Cerys? – zawołał Rhys, a jego koń stanął dęba, z przeraźliwym rżeniem.

Alys ogarnęło zimno, jakby wpadła do przerębli. Dygocząc, na chwiejnych nogach, cofnęła się kilka kroków.

Wargi i policzki Cerys odzyskały kolor. Wykrzywiły jej się usta, a oddech miała tak nierówny, że nie była zdolna mówić. Wyciągnęła rękę przed siebie i wskazała Alys, nie poruszając palcami, próbując wydobyć z siebie słowa. Zanim wreszcie zdołała się odezwać, Alys czuła, co od niej usłyszy...

– Pożeraczka dusz – wydusiła Cerys. – Pożeraczka dusz.

Tym razem Alys nie poczuła ciosu, kiedy świat pociemniał.

Gdy się ocknęła, ręce miała związane z przodu, a usta ciasno owinięte szmatą. Leżała na boku. Na śniegu. Ubranie przemokło jej na wylot. Przyświecające nikłym blaskiem późnopołudniowe słońce szykowało się do rychłego zejścia z nieba. W dali wznosiła się chata matki i ojca. A za nią drzewo, pod którym pogrzebali wszystkie swe dzieci.

– Wstawaj! – rzekł Rhys.

Nogi miała nieskrępowane, więc podniosła się najpierw na kolana, a potem wstała z ziemi. Rhys stał dobrych dziesięć stóp od niej. Zorientowała się, że jest uwiązana do niego długim sznurem.

„Nadal się mnie boi” – pomyślała. „Przeraza go, co bym zrobiła, gdyby się do mnie zbliżył”.

– Zabieramy cię z powrotem do Defaid. Trzymaj się ode mnie na odległość sznura, jasne? – Rhys przybrał przesadnie groźną minę. To go zdradziło. Zdana na jego łaskę, Alys przytaknęła.

W drodze do wioski, gdy Alys brnęła za nimi przez śnieg, Cerys oglądała się za nią czasem. Jechała konno, zaś Rhys szedł obok, przytrzymując sznur mocną ręką. Najpierw szeptali coś do siebie. Nie słysząc słów, Alys domyślała się, że knują. Później oboje zamilkli.

Wkrótce Alys straciła poczucie czasu. Niebo zrobiło się stalowoszare, ciężkie. Zaczął padać śnieg, tak gęsty, że przesłonił drogę, więc Alys miała wrażenie, jakby wiedli ją w nicość. „Byłoby to zbawienne, biorąc pod uwagę, co mnie czeka w Defaid, gdy ci dwoje powiedzą Starszym, co zrobiłam”.

Panowała cisza. Śnieg sypał szybko, równo, bezszelestnie, spowijając białą przydrożne drzewa. Gdy wynurzali się spomiędzy gęstej kępy drzew oddzielającej opuszczone gospodarstwa od pól, które ciągnęły się od bramy Defaid, Alys usłyszała w dali stłumiony odgłos końskich kopyt.

Usłyszała też ludzkie głosy. Po czym ujrzała dwóch konnych. Byli to kowal i drugi syn Najstarszego. Z żadnym z nich nie zamieniła dotąd słowa.

– Co się stało? – pierwszy zawołał kowal. – Nic wam nie jest? – Mężczyźni, z początku zdezorientowani, wyraźnie przerazili się, gdy ogarnęli wzrokiem idącego pieszo Rhysa, Cerys w siodle i uwiązaną na sznurze Alys.

Starszy brat Rhysa był roslym dziewiętnastolatkiem o włosach koloru piasku. Alys przypomniała sobie, że ma na imię Alec.

– Rhys, gdzieś ty się podziewał? Starszy Miles i Milesowa odchodzą od zmysłów. Cała wioska szuka Cerys.

– Znalazłem Cerys – odrzekł Rhys. – Ocaliłem przed tą...! – Ruchem podbródka wskazał Alys.

– Co zrobiła? – Kowal zmrużył oczy, patrząc na Alys spod ronda szerokiego kapelusza.

– Później ci powiem – odparł Rhys. – Ale uważaj, bo to chytra sztuka.

Alec spojrział na Cerys i, marszcząc czoło, znów na brata.

– Nie bądź durniem – rzekł Rhys. – Mam na myśli Alys. A teraz chodźmy do domu, nim się ściemni.

W milczeniu skierowali się ku bramie i już po chwili napotkali pierwsze z dzieci zmierzających przed nocą na pastwiska. Alys spostrzegła je z daleka i czuła, jak się zbliżają, nie odrywała jednak oczu od ziemi, założywszy, że robią to samo. Nie miała im zresztą tego za złe. Cóż mogła począć, uwiązana do syna Najstarszego

sznurem?

Wtem dobiegło ją cichutkie:

– Alys?

Podniosła wzrok. Okazało się, że to głos Rena. Chłopiec nie tylko się odezwał, ale też przystanął i patrzył na nią. Gwałtownie potrząsnęła głową na znak: „Nie, Ren. Nie możesz”.

Minęła go w nadziei, że zapomni o niej, kiedy się oddali. „Biedactwo” – pomyślała. „Musi radzić sobie sam, bezbronny”.

Gdy pokonali ostatni odcinek drogi do Defaid, niebo było ciemne jak dym, a dzieci z Gwenith czuwały już na polach. Brama była zamknięta. Mając z zimna i ze strachu, skrzepowana, Alys omal nie wybuchnęła na to śmiechem. Ani Cerys, ani ci mężczyźni nie wiedzieli, jak to jest: znaleźć się za zamkniętą bramą, po niewłaściwej stronie. Najstarszy nie zostawił jej otwartej dla rodzonych synów. „Ciekawe, jak czuł się Ramię Miles, czy serce nie zadrżało mu choć trochę, gdy Najstarszy rozkazał zamknąć bramę, a jego, nieporadna przecież, najstarsza córka nie wróciła jeszcze do wsi...”

Mężczyźni zaczęli krzyczeć unisono, domagając się otwarcia bramy. Czuwający w jednej z wież, Madog zawołał do strażnika, by otworzył bramę, bo znaleźli Cerys. Alys pominął milczeniem. „Bo niby co ma powiedzieć?” – pomyślała.

Ledwie brama została otwarta, wioskę ogarnęło zamieszanie. Wieść o znalezieniu Alys rozeszła się lotem błyskawicy. Pokrzykując i wskazując sobie drogę, defaidianie z latarniami w dłoniach obstąpili Cerys, po czym wycofali się z powagą, kiedy zjawił się Najstarszy. Alys stwierdziła, że gdyby któryś wiedział, co się wydarzyło, nie śmieliby podejść tak blisko, ze strachu, żeby ich przypadkiem też nie pozbawiła duszy.

Cerys zszadono z konia Rhysa i przekazano w objęcia Milesowej. Na oko wyglądała jak zwykle, ale gdy ją nieśli, nie protestowała, tak jakby zaraz miała zemdleć. Wreszcie przytuliła się do matki, która wzięła ją w sztywne objęcia. Starszy Miles kazał żonie zabrać Cerys do domu. Alys spostrzegła, jak Milesowa zagryza wargi, by nie upomnieć się o swe miejsce wśród Starszych. Jak patrzy ponuro na męża i odwraca się od niego, z Cerys. Inne żony wzięły to za znak odwrotu i obejrzały się na Alys, mierząc ją badawczym wzrokiem.

Alys doznała wrażenia, że świat się od niej odsuwa. Głosy były przytłumione i nawet ludzie i przedmioty tuż obok niej wydawały się dalej niż powinny, jakby wszystko się przed nią cofało. Patrzyła, jak mężczyźni gromadzą się wokół Rhysa. Gdy mówił, popatrywali na nią, łapiąc się za serce, unosząc brwi i otwierając ze zdumieniem usta. Najstarszy jako jedyny nie poruszył się ani nie zareagował. Jako ostoja spokoju przez cały czas obserwował Alys.

- Ukamienować!
- Utopić!
- Spalić!

– Zadeptać!

Takie słowa dało się usłyszeć pośród szeptu.

– Sprawdzimy ją za dnia – oznajmił Najstarszy. – Tymczasem zamknijcie ją w piwnicy, gdzie więcej nie skrzywdzi nikogo.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. W końcu odezwał się najstarszy z nich, Starszy Yates.

– W czyjej piwnicy ją zamkniemy? Na pewno nie w domu, gdzie są dzieci, bo jeszcze rzuci na nie urok. A wtedy któreś z dzieci z Gwenith mogłoby zapragnąć ją ratować.

– Może więc u jej rodziców? – zaproponował Starszy Couch. – Nie nam, a im ją karać. Niech to oni ją wezmą.

Starsi kiwali głowami i gderali.

– Obojętne – odpowiedział Najstarszy. – Byle tylko była strzeżona. Starszy Yatesie, zostawiam to w twoich mądrych rękach. – Skłoniwszy się przed mężczyznami, Najstarszy się oddalił.

Rhys chwilę patrzył za ojcem, a potem skierował wzrok na Alys.

– Jutro o tej porze będziesz martwa.

Alys wyczuła w nim pragnienie, a równocześnie niepokój, tak jakby tymi słowami zaklinał rzeczywistość.

– Lepiej nie gadać z czarownicą – upomniał Rhysa Starszy Yates. Stał przygarbiony tak nisko, jakby chciał dotknąć głową brzucha. Spojrzał na Alys spod krzaczastych siwych brwi. – Alec, biegnij przodem i powiedz jej ojcu, co się stało. Każ mu otworzyć i naszykować piwnicę. Starszy Couchu, sprowadź Vaughna i Sayera. Będą jej dziś pilnowali.

Vaughn i Sayer należeli do strażników dziennych. Niemrawi i prymitywni, nie byli jednak okrutni. Alys stwierdziła, że to nieważne, kto ma jej pilnować. „Będą na górze, a ja na dole. A potem zaraz trafię przed sąd, który uzna mnie za winną”. Na tę myśl coś się w niej dokonało, przestraszył zupełnie z niej uleciał. Na

nadmiar doznań serce się zamknęło, przestało odczuwać cokolwiek.

Rhys szarpnął Alys naprzód, ciągnąc ją w stronę domu. Ze względu na Starszego Yatesa ich marsz był powolny. Alys chciała tylko się ogrzać, i żeby ktoś zdjął jej z ust szmatę.

Mrok rozjaśnił snop żółtego światła z uchylonych drzwi domu matki i ojca. Starszy Yates wszedł do środka pierwszy i odsunął się, robiąc miejsce reszcie. Rhys wpadł po drodze na Vaughna i Sayera, oni zaś na Aleca. Wszyscy, poza Starszym Yatesem, zmieszali się, nie wiedząc, co ze sobą począć. Znana kuchnia objawiła się Alys jako obca, tłoczna, duszna od zapachów skóry i przemokłej wełny. Rozczochrany ojciec w koszuli i roboczych spodniach stał plecami do paleniska, na którym ledwie tlił się ogień. Matki nie było. Drzwi do ich pokoju były zamknięte. „Matka” – pomyślała Alys. Korzonek miała wciąż pod halką. Ojciec był przed nią, a matka za drzwiami, więc żadną miarą nie mogła dać im leku. „Tyle cierpienia, nadziei, starań – tymczasem nic nie mogę zrobić. Gdybym dała ojcu korzonek, skazałabym na śmierć jeszcze jego”. Nawet gdyby się tłumaczył, że nic o nim nie wie, samo posiadanie korzonka świadczyłoby na niekorzyść Alys. I matkę też uznaliby za czarownicę, gdyby zaczęli dociekać, skąd Alys wzięła korzonek. Gdyby przyszło im do głowy przeszukać piwniczkę matki.

Alys wróciły uczucia. Ogarnęły ją strach, żal i wściekłość. Ojciec stał przed nią z taką miną, jakby zobaczył coś potwornego, coś, czego nie sposób nazwać ani opanować. Alys rozpaczliwie zapragnęła ujrzeć matkę i powiedzieć jej, jak bardzo się starała.

Właz piwniczki był otwarty. Z ciemnej jamy dobywał się zapach wilgotnej ziemi. Starszy Yates kazał Alecowi zdjąć szmatę z twarzy Alys. Alec zapatrzył się w Starszego Yatesa z rozdziawionymi ustami, wreszcie jednak, ponaglony, wykonał polecenie.

W tej samej chwili Alys ulżyło. Mogła oddychać, poczuła, że

zniesie wszystko.

Stając tuż za otwartym włazem, Starszy Yates dał znak Alys ruchem brody.

– Właz, dziewczyno. Rhys, trzymaj postronek. Vaughn i Sayer, jak zejdzie na dół, wyciągnijcie drabinę.

Alys zeszła po drabinie, chwytając się szczebli związanymi dłońmi. Stając na dole, podniosła wzrok na jasność padającą z kuchni. Majaczyło w niej pięć głów – Rhysa, Aleca, Starszego Yatesa, Vaughna i Sayera. Po chwili drabina się uniosła, a Starszy Yates wziął sznur od Rhysa i przymocował go do – niedostępnej bez drabiny – klamki u drzwi kilkanaście stóp nad Alys.

Gdy właz zamknął się nad głową Alys, ogarnęły ją czerń, zimna wilgoć i cisza. Alys wciąż patrzyła w górę, gdy mężczyźni krążyli nad nią, rozmawiając. Słowa ich były tak stłumione, że Alys nic nie rozumiała. Skrzypiały krzesła, więc pomyślała, że pewnie siedli do herbaty i zerkając na podłogę, zastanawiają się, czy pożeraczka dusz jest zdolna przeniknąć drewno i powietrze.

Choć miała skrępowane dłonie i zdrętwiałe palce, Alys zdołała rozpiąć sukienkę i wyjąć schowany korzonek. Ukryła go na jednej z półek, za skrzynką pomidorów. „Może gdyby pozwolili mi porozmawiać z ojcem, powiedziałabym mu, gdzie go znajdzie. Albo, gdyby dowiedział się od matki, po co mnie wysłała, może jakoś by się domyślił, że powinien go szukać tutaj”.

Alys usłyszała swój jęk. Rzecz była beznadziejna.

Zrobiło jej się bardzo zimno. Zapięła więc sukienkę, która, mokra i ciężka od stopniałego śniegu, wchłaniając przenikliwy ziąb z powietrza, oblepiała jej ciało. Postronek był na tyle długi, że, stojąc, Alys mogła opuścić luźno ręce, lecz gdy usiadła na twardym klepisku, okazał się zbyt krótki, aby mogła się położyć.

Po omacku udało jej się znaleźć kosz jabłek i krąg twardego sera.

Zgłodniała nagle tak, że myśl o jedzeniu przesłoniła jej wszelkie inne. Rozgryzła skórkę, ugryzła kawałek słonego sera – i połknęła go, nie przeżuwając. Zjadła trzy jabłka wraz z pestkami i tyle sera, by zapełnić żołądek.

Opadła na ziemię, opierając się o pionową belkę jednej z półek. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami. Jedzenie rozgrzało Alys, ale już po chwili ogarnęły ją dreszcze, wędrujące od serca do wnętrzości. Powtarzała sobie, że jest grubo ubrana, że na ogrodzeniu i pastwiskach przetrwała znacznie gorsze noce. Tu, w piwnicy, przynajmniej nie wiało.

„Jestem zgubiona” – pomyślała Alys. „Dlatego się trzęsę”.

Dreszcze minęły. Poczowała spokój. „Nie ma sensu teraz się zastanawiać. Jutro się dowiem, co mnie czeka. A wszyscy dowiedzą się, kim jestem. Więc może powinnam się tym trochę cieszyć...” Po raz drugi, odkąd miała siedem lat, Alys zamknęła oczy w nocy i odleciała w sen. Kamienny.

Nazajutrz, gdy przyszły po nią kobiety, Alys nie spała już od kilku godzin. Wpatrując się w mrok, próbowała zgadnąć, co oznaczają dźwięki nad jej głową. Przesuwanie krzeseł po podłodze, szuranie nogami koło paleniska, przyciszone głosy. Wtem pukanie do drzwi, niezwykle głośne, męskie głosy i więcej kroków. Chwilę później o połowę mniej osób i długotrwała cisza. Potem znów pukanie, wysokie głosy i krzątanie kobiet.

Alys stała, gotowa na to, co się zdarzy, gdy podniesiono wąż piwnicy. By zobaczyć, kto spogląda z góry, Alys zasłoniła dłońmi oczy przed światłem, które rozcinając ciemność, przyprawiło ją o potworny ból w skroniach. Zerkając przez palce, dojrzała cztery czarne kliny, które zmieniły się w szerokie spódnice z fartuchami. Przed Alys stanęła drabina.

– Wyłaż, czarownico! – zawołała jedna z kobiet i ktoś mocno szarpnął sznurem.

Wspinając się, Alys najpierw zobaczyła Milesową. Obok niej stała Ffaganowa z koszykiem przykrytym płótnem. Pani Daniels i pani Hardy cofnęły się na widok Alys.

W ogołoczonej kuchni panowało zimno. Stół był pusty, a palenisko zagazowane. Ojca nie było, choć na ścianie wisiały jego palto i kapelusz. Ogarnąwszy wzrokiem kuchnię, Alys zauważyła, że Vaughna i Sayera zastąpiło dwóch nowych strażników – Ffordd i Enrik. Alys stwierdziła, że chyba traci zmysły, bo gdy Enrik cofnął się przed nią, unikając jej spojrzenia, poczuła wyraźną satysfakcję. Ffordd wprawdzie patrzył jej prosto w twarz, ale stał za masywnym stołem, a gdy zacisnął dłonie na oparciu krzesła ojca, aż pobieleły

mu kostki.

Ojciec wyłonił się z pokoju, który dzielił z matką. Skurczony, zmarniały i pobladły, miał nieogolony siwy zarost.

– Jak się czuje matka? – zapytała Alys, nim ktokolwiek zdążył ją uciszyć.

Ojciec spojrział na nią z miną, która wyrażała cierpienie, przeprosiny i nieufność.

– Źle, a ja nie wiem, jak jej pomóc. Jest rozpalona i jęczy przez sen. Posyłałem po pomoc dwa razy, ale nikt nie przychodzi.

„Oj, matko...” Alys przypomniała sobie zapach, który czuła od niej wczoraj, dobywającą się jakby z wnętrzości woń zgnilizny. Spuściła wzrok na podłogę, licząc, że spojrzy tam też ojciec i domyśli się, że trzeba sprawdzić, co pod nią zostawiła. Ale on był zbyt cierpiący. Zaś Alys nabrała obaw, że gorączki nękającej matkę nie zbije żaden korzonek. Matka nauczyła ją, co się dzieje, kiedy wda się zakażenie połogowe. Gdy się to stanie, nie można już nic zrobić.

Ffaganowa wytrzeszczyła oczy i cmoknęła językiem.

– Ojejku, jejku, nieszczęśnica Heledd.

Milesowa nie spuszczała oka z Alys, jakby ta, niepilnowana, miała zniknąć.

– Ile to cnotliwych defaidianek zaszczyciło obecnością ów dom zła? Jak można je było o to prosić? Muszą zadbać o własne rodziny. Tu nie ma nic do roboty. Dom jest przeklęty, jak ci, którzy w nim mieszkają.

Kładąc dłoń na przedramieniu Milesowej, Ffaganowa zwróciła się do ojca.

– W imieniu męża dziękuję, bracie Argyll, za twą wczorajszą pracę w domu modlitwy. Konstrukcja, którą dla nas wzniosłeś, jest niezwykajna, co nie zostanie ci zapomniane.

Ojciec ugiął się i jeszcze bardziej zmałał.

– A co z moją Heledd? O niej zapomnicie? Nie otaczała każdej z was troską? Zszywała was, leczyła z febry. Wydobywała wasze dzieci na świat, a w rękach jej nie zmarło ani jedno.

– Tak, ale sama nie rodziła, co jest niezgodne z naturą. – Wbijając wzrok w panią Hardy, Danielsowa wskazała brodą Alys. – Oto wreszcie znamy powód. Żadne nasienie nie zapłodniłoby tej kreatury.

Pani Ffagan westchnęła, kręcąc głową.

– Pani Daniels, proszę zamknąć okiennice, pani Hardy, proszę zapalić lampy. – Popatrzyła na ojca. – Bracie Argyll, powinieneś być przy Heledd. My, kobiety, mamy tu do wykonania pracę.

Enrik i Ffordd wymienili spojrzenia. Enrik potarł nos, jakby go tam nieznośnie zaswędziało.

– Jaką pracę? – spytał beznamiętnie ojciec.

– Nie twoja rzecz – odparła Milesowa.

– Moja. To mój dom i moja córka.

– Będziemy o tym pamiętać, sądząc czarownicę.

Ffaganowa ściągnęła usta i przysłoniła je gładką, pulchną dłonią.

– Ojejku, jejku, jejku. Bracie Argyll, jesteś tak potrzebny Heledd. Idźże do niej – mówiąc to, wybałuszyła na niego piwne oczy.

Alys czuła na sobie wzrok ojca, gdy wychodził z kuchni, ale teraz nie byłaby w stanie na niego spojrzeć. „Gdybym to zrobiła, rozleciałby się” – pomyślała. Nie spuszczała oczu z pani Hardy, która kończyła zapalać drugą lampę, kiedy pani Daniels zamknęła dom przed zimowym słońcem. Choć jego blask sączył się szczelinami w okiennicach, cała kuchnia zatoneła w mroku. Alys usłyszała, jak drzwi pokoju otwierają się i zamykają, a gdy odwróciła głowę, ojca już nie było.

Milesowa stanęła tyłem do drzwi wejściowych, zwrócona twarzą do stołu.

– Siadaj!

Przytrzymując sznur jedną ręką, wyciągnęła spod stołu jedno z ciężkich krzesel. Było to krzesło, na którym Alys siadała co dnia do obiadu i kolacji.

Alys usiadła, czując, jak strach ściska jej wnętrzności, a serce zaczyna bić prędeej. Siedziała plecami do Milesowej i reszty kobiet, a twarzą do zimnego paleniska na drugim końcu kuchni. „Nie zapaliły ognia – pomyślała – więc przynajmniej nie będą mnie nim torturować. Prócz przypalania, zniosę wszystko”. Kiedyś pomagała matce w opatrywaniu oparzeń. Matka powiedziała, że nie zna gorszego bólu. „Jak cię nie zabije, żałujesz, że nie zabił”.

Enrik i Ffordd stali po prawej stronie Alys, zwrócenii plecami do drzwi jej pokoju. Enrik zaciskał usta tak mocno, jakby zaraz miał się rozpląkać albo zwymiotować. Ffordd puścił oparcie krzesła ojca i trzymał teraz w ręku zwój grubego sznura. Serce Alys waliło boleśnie. Jej wzrok powędrował na koszyk, który Ffaganowa przyciskała do brzucha. Zaciekawilo ją, co w nim jest.

– Zwiąż ją – nakazała Ffaganowa.

Ffordd pochylił się nad Alys tak blisko, że gdyby zechciała, bez trudu mogłaby mu odgryźć ucho. Wyobraziła sobie smak jego krwi, rozdarte ciało, a przede wszystkim ból i zgrozę. Wzdrygnęła się na te myśli. „Czy tak działa zło rodzące się w człowieku? Czy osiągnąc pewien pułap, przelewa się i już nie sposób nad nim zapanować? Co pomyślałaby o mnie teraz Bestia?... A zresztą to bez znaczenia. W tej chwili nic nie poradzę na tę otchłań. I pewnie nigdy bym nie poradziła. Ten stwór, którym się stałam, to cała prawda o mnie”.

Alys nie poruszyła się, kiedy Ffordd owijał sznurem jej ramiona i talie, a potem jeszcze obie kostki, przywiązując ją do oparcia

i przednich nóg krzesła. Alys przypomniała sobie, że Ffordd nie ma żony. Zalatywało od niego śniadaniem. Baraniną i serem. Cuchnęła też jego dawno nieprana koszula. Gdy skończył, podniósł na Alys oczka gryzonia, osadzone w twarzy przypominającej rzepę. Alys poczuła smród jego strachu.

„Chociaż nie, nie smród... Zapach. Słodki jak miód. Ciepły”. Zmarznięta Alys wysączyła z niego przerażenie i jej pierś wypełniło gorąco.

W jednej chwili uzmysłowiła sobie, że na tym polega pożeranie duszy. „Ciepło, przyływ krwi i uczuć, rozkwit wewnątrz ciała... Skoro jestem do tego zdolna, czemu miałabym tego nie robić?”

Ffordd odskoczył od niej. Dysząc, złapał się za serce. Jego wargi się poruszały, lecz nie był w stanie dobyć słowa.

Pani Hardy uciekła z krzykiem na drugi koniec kuchni; w jej ślady podążyła Danielsowa.

– Pożeraczka dusz! – wrzasnęła. – Oto, czym jest! Powinniśmy ją czym prędzej spalić, zanim nas wszystkich pozabija.

Szarpnięta do tyłu za warkocz, Alys zobaczyła nad sobą twarz Milesowej.

– Wiadomo, że pożera dusze, głupie! Pomóżcie nam tu, zamiast chować się po kątach.

– Sprostamy sprawie – rzekła Ffaganowa, schylając się nad Alys. – Trzeba nam tylko kagańca. – Zaciskając usta w skupieniu, uniosła nad twarzą Alys niewielki kaganiec w kształcie głowy, jakby z drzwiczkami z tyłu. Kaganiec miał z przodu płaski szpikulec na trzy cale, skierowany do wewnątrz. Kiedy Milesowa szarpnęła warkocz Alys z taką siłą, że kark omal nie pękł jej na dwoje, Ffaganowa wsadziła jej głowę do żelaznej klatki, wpychając jej szpikulec w usta. Alys zaczęła się krztusić i szamotać, lecz szamotanie się nic nie pomagało. Gdy podnosiła głowę, szpikulec

wchodził w usta głębiej, a odginanie szyi groziło złamaniem karku. Rzucając się na boki, Alys poraniła język. Po chwili dotarło do niej, że klatka jest obwieszona dzwonekami – z przodu, z tyłu i po bokach. Ffaganowa zatrzasnęła drzwiczki i zamknęła je na klucz.

– Już poskromiona – rzekła. – Odtąd, siostry i bracia, nie ma powodu do obaw.

Gdy Milesowa puściła warkocz Alys, ta podniosła głowę, chwiejąc się pod ciężarem klatki i brzęczących dzwoneków.

– To kaganiec czarownicy – wyjaśniła Ffaganowa. – Od dawna nie było nam go komu wkładać, no a na nią pasuje jak ulał. Zobaczcie, jak to żelazo przywiera jej do karku, a pionowe kraty są tak blisko głowy, że żadną miarą nie umknie przed szpikulcem. Kaganiec zamyka się z tyłu, a klucz – jedyny – mam ja. Wiedźma nie da rady mówić, a kagańca nie pozbędzie się sama, nawet jeśli uwolnimy ją z więzów. Pani Miles, proszę odwiązać ją od krzesła.

Alys nie wyrywała się, bo nawet najmniejsze poruszenie głową sprawiało jej ból tak potworny, że choć chciała, nie byłaby zdolna okazać Milesowej wstrętu, jaki do niej czuła. By szpikulce nie przedziurawiły jej podniebienia, jak tylko mogła, starała się nie ruszać. Nawet leciutko pochylając głowę, krztusiła się od tej straszliwej igły. Ponadto dławiała ją trwoga. Tylko spokojne skupienie pozwalało jej przełykać ślinę bez korzystania z języka.

– Wstawaj, czarownico.

Danielsowa szarpnęła sznurem przywiązanym do kagańca i Alys poderwała się z krzesła. W jej uszach zadźwięczały hałaśliwie dzwoneki, a szpikulce zadrasnęły podniebienie.

Ffaganowa kiwnęła głową na Ffordda, żeby otworzył drzwi wejściowe.

– Teraz czeka cię rozprawa – powiedziała do Alys.

Mimo zamkniętych okiennic do kuchni wlewał się stłumiony pogwar, przenikając głowę Alys jak bzyczenie. Kiedy hałas przybrał na sile po otwarciu drzwi przez Ffordda, okazało się, że przed domem czeka tłum zaciekawionych defaidian. Pierwsi wyszli Ffordd i Enrik, z rękoma splecionymi na piersiach, pozując na czujnych i srogich. Podniosła się potężna wrzawa, tłum zafalował w podnieceniu. Jedni cofali się przed Alys, inni nachylali ku niej. Gdy w progu stanęła Ffaganowa, wszyscy rozstąpili się na boki. Milesowa wyrwała sznur Danielsowej i pociągając Alys naprzód, wyprowadziła ją na ośnieżoną ulicę. Na widok Alys w żelaznym kagańcu rozległy się okrzyki przerażenia. Wieśniacy rozstąpili się szerzej.

Alys nie mogła teraz zamknąć oczu, boby się przewróciła. Patrzyła więc prosto przed siebie, na spowite w czerń szerokie plecy Milesowej. Dzwonki kagańca pobrzękiwały z każdym jej krokiem, a wokół piszczały dzieci. Nie patrzyła ani w lewo, ani w prawo. Wieśniacy po obu jej stronach byli zbitą masą, żadna twarz nie wyróżniała się z tłumy.

Nagle Alys coś tknęło. Nieokreślone wspomnienie... Gdy obróciła się w prawo, zadźwięczały dzwonki, a z tłumy dobiegł ją przenikliwy okrzyk zaskoczenia. Na śniegu, ściśnięty między nogami zaaferowanych gapiów, stał mały Ren, poblady, wytrzeszczając oczy. Tym razem nie zawołał Alys, a gdy ich oczy się spotkały, odwrócił się i uciekł.

Kiedy Alys ujrzała przed sobą dom modlitwy, tłum otoczył z tyłu Danielsową i żonę Hardy'ego, które podtrzymując sznur

przywiązany do kagańca, robiły z tego wielkie widowisko. Na dziedzińcu domu modlitwy kłębiło się mrowie ludzi. Enrik z Fforddem pognali naprzód, by otworzyć dwuskrzydłowe drzwi świątyni, a Ffaganowa pospieszyła w stronę wejścia. Milesowa szarpnęła Alys, żeby dotrzymać kroku Ffaganowej, tak że Alys omal nie upadła, ogłuszona jeszcze brzękiem dzwonków.

Wchodząc, Alys ujrzała naprzeciw siebie dziewięciu Starszych, siedzących na dębowych fotelach, które zrobił dla nich ojciec, gdy budowano dom modlitwy. Za Starszymi w palenisku huczał ogień, lecz jego ciepło nie docierało do Alys.

Kilkanaście stóp przed Starszymi stało coś, czego Alys dotąd nie widziała. Drewniana klatka, pachnąca jeszcze trocinami i żywicą, wyższa od Alys o bodaj stopę, a szerokości trzech stóp. „Chyba to jej budowę zlecił ojcu wczoraj Najstarszy”.

Ffaganowa podeszła do klatki i otworzyła ją.

– Siostry, dajcie sznur Enrikowi. Ffordd, wsadź wiedźmę do środka.

Ffordd mocno popchnął Alys z tyłu, ale mając związane ręce i brzęk dzwonków w uszach, nijak nie mogła mu się przeciwstawić. Kolejne pchnięcie – i już była w klatce. Drzwi zatrzaśnięto i zamknięto na żelazną kłódkę. Przywiązane do kagańca sznury opadły jej pod stopy.

Najstarszy skinął na Ffordda.

– Teraz możesz wezwać wiernych.

Alys usłyszała, jak otwierają się drzwi za nią i – szurając nogami, hałasując – wieśniacy zapełniają ławki. Znow ogarnęło ją uczucie, jakby świat się od niej oddalał, jakby od ludzi wkoło dzieliła ją przepastna otchłań. Gdy ugięły się pod nią nogi, tylko cudem zdołała je wyprostować. Oparła się o ścianę klatki. Dzwonki zagrzechotały. Za jej plecami rozległy się piski i szmery.

Gdy drzwi domu zamknęły się za wieśniakami i we wnętrzu zapanował półmrok, zapalono i rozwieszono na ścianach lampy. Mimo ognia powietrze było chłodne i wilgotne.

Najstarszy wstał.

– Bracia i siostry, sprowadza nas tu dzisiaj odkrycie wielkiego zła pośród nas. Zło to jest potężne. Zło pozostawione samo sobie rozprzestrzeniłoby się i skalało wszystkich. – Kiedy mówił, jego głos wibrował w piersi Alys. Jego twarz zdawała się rozpuszczać, rozlewać, potem scalać. W oszołomieniu Alys omal nie upadła znowu. Płonęły jej policzki i mrowiło czoło, choć cała trzęsła się z zimna.

– Zło to jest nam znane pod wieloma imionami. – Przerywając, Najstarszy się rozejrzył. – Czarownica – ciągnął.

Tu dało słyszeć się westchnienie i stłumiony okrzyk.

– Pożeraczka dusz.

Po sali przeszedł cichy pomruk, zgromadzeni wstrzymali oddech.

– Dobry Pasterz uczy nas jednak, że bez względu na to, jak je zwiemy, istnieje jedno tylko zło prawdziwe. Bestia. I tak jak nasza trzoda zdążyła za Pasterzem ścieżką prawości pod jego czułe skrzydła, tak Bestia prowadzi swoje dzieci ku zepsuciu i wiecznemu potępieniu.

Alys utkwiała wzrok w ogniu, który trzaskał za plecami Najstarszego. Mimo to nie poczuła ciepła. Ciekło jej z nosa, a w ustach miała smak krwi.

– Pośród nas wyrosło jedno z dzieci Bestii. Okazaliśmy mu dobroć. Karmiliśmy je. Pielęgowaliśmy. Daliśmy mu dach nad głową i ochronę. Jest przebiegłe. Śmiało się z nas, kpiło. My zaś byliśmy ufni, ale nieroztropni. Nie przejrzelśmy jego diabelskich knowań. Ale teraz wiemy już wszystko. Nie wolno nam przymykać oczu na prawdę. Dobry Pasterz wzywa swą trzodę, więc musimy go

usłyszeć i pójść za nim. Tylko on może ocalić nas przed zgubą. Znamy to zło. Jest tu, w tym pomieszczeniu. Trzeba nam je wypędzić.

Najstarszy usiadł i złożył ręce na kolanach. Pod jego spojrzeniem Alys utraciła czucie. Patrząc mu w bladoniebieskie oczy, widziała nieprzenikniony lity kamień.

Sala zatrzęsa się od głosów.

Starszy Yates wstał, rozwinął arkusz pergaminu i odchrząknął.

– Siostrze Cerys, pokaż się i złoż swój świadek zła.

Cerys siedziała obok matki w części sali przeznaczonej dla kobiet. Ubrana w skromną szarą sukienkę, włosy miała splecione w ciasny warkocz, z którego nie wystawał nawet jeden kosmyk. Spojrzawszy na Starszego Yatesa, skłoniła głowę i powstała, lekko chwiejąc się na nogach.

Starszy Miles wychylił się do przodu.

– Dobrze się czujesz, dziecko?

– Tak, ojciec. – Cerys opanowała się i wzięła głęboki oddech.

Najstarszy spoglądał na nią nieodgadnionym, obojętnym wzrokiem. Alys nie patrzyła mu już w oczy, przenikając jego niewzruszone serce. „Wie” – pomyślała. „Zna synalka, więc wie, czego dopuścił się on z Cerys. Jakżeby inaczej”. Skrywane przez Najstarszego kłamstwa odczytała jak z otwartej księgi. „Gdybym mogła się do niego teraz zbliżyć, to na pewno poczułabym ich kwaśny odór”.

– Stało się to wczoraj – zaczęła Cerys. – Poszłam szukać jabłek, aby sprawić rodzicom niespodziankę. – Zerknęła w kierunku Alys i prędko spojrzała w inną stronę. – Alys powiedziała mi o drzewie, na którym zostało jeszcze trochę dobrych jabłek. I objaśniła mi, gdzie je znajdę, więc tam się właśnie wybrałam.

Starszy Yates ściągnął brwi tak mocno, że zeszyły się w grubą siwą

kreskę.

– Jabłka o tej porze roku, dziecko?

W części sali, przeznaczonej dla kobiet, rozległy się donośne szepty. „Ciekawe, co je dziwi bardziej – pomyślała Alys – jabłka zimą, czy Cerys, której nagle zachciało się coś zrobić”.

– Dziecko jest ufne. – Starszy Miles zwrócił się nie do Yatesa, tylko do Najstarszego, który siedział obok. – A wiedźma przebiegła.

– Tak – potwierdziła Cerys. – Zwiodła mnie na manowce. Nie mogłam znaleźć tego drzewa, więc zawróciłam do domu. Gdy nagle stanęła przede mną. Nie usłyszałam jej wcześniej ani nie spostrzegłam. – Cerys rozejrzała się po sali. – Pojawiła się tak jakby znikąd.

Ffaganowa zasłoniła rozdziawione usta, a wkoło dały się słyszeć westchnienia pełne lęku.

– Powiedziałam więc: „Nastraszyłaś mnie, Alys!”. I wtedy się to stało. Miałam wrażenie, jakby chciała wyciągnąć coś z mojego wnętrza... Straciłam dech. Nie mogłam wołać o pomoc. Gdyby nie brat Rhys, który się na nas natknął, jestem przekonana, że wydarłaby mi duszę. – Cerys opadła na ławkę i wtuliła twarz w pierś matki.

Alys przymknęła oczy. Cerys zmyśliła całą historyjkę, jednak ujawniła też coś istotnego. „Rzeczywiście chciałam zjeść jej duszę, nie sposób temu zaprzeczyć. No i było mi przyjemnie. Z tego ciepła, które mnie przeszło, i objęło skórę jak rumieniec. Nigdy przedtem nie czułam się tak ożywiona, więc nie ma mowy, bym wróciła do uśpienia, w którym nie wiedziałam, co znaczy «zwęszyć duszę». Nie przypominam już pożeraczek, jak mówiła Bestia. Jestem jedną z nich”. Alys spojrzała w stronę okna. Słońce gasło. „Dzieci z Gwenith zmierzają na pastwiska i wspinają się na ogrodzenie, by bronić Defaid przed takimi jak ja”.

– Bracie Rhysie Ffaganie – rzekł Starszy Yates – złóż swoje świadectwo zła.

Rhys podniósł się z miejsca w pierwszym rzędzie.

– Polowałem na jelenie – oświadczył – gdy je napotkałem. Widząc, co ten stwór wyprawia z siostrą Cerys, powaliłem go, później związałem i przywiodłem z powrotem do wsi.

Usiadł. Alys zauważyła rozczarowane spojrzenia. Wieśniacy spodziewali się szczegółów.

Ciszę, która zapadła, przerwała Milesowa, zrywając się na równe nogi.

– Pożeraczka dusz! – Pokazała palcem Alys. – Czarownica! Spalić ją, zanim nas pozabija. – Spojrzała w stronę Starszych. – Trzeba sobie zadać pytanie, ile sprowadziła tu chorób. Ile nieszczęść nam przysporzyła. Ile kobiet jest nieplodnych przez nią. I jej matka nie może mieć dzieci. A czemu? Pytam was: czemu? Ja wam powiem. Bo ten stwór wysysa je z niej, gdy śpi. Po latach trzymania pod swym dachem więdźmy z siostry Argyll zostały same kości! Wszyscy o tym wiemy. Ta nieszczęsnica nie dożyje jutra.

– Prawda – potwierdziła pani Hardy. – To coś chciało też pożreć duszę Ffordda. – Ruchem głowy wskazała chłopaka, który chrząknął i przytaknął, po czym spoglądając na zebranych, wypiął dumnie pierś.

Od przeraźliwej wrzawy, jaka się podniosła, Alys aż huczało w uszach. Świat wokół chwiał się, a ona pogubiła się w swoich czynach. „Co ja właściwie zrobiłam? Czego nie zrobiłam?... Zresztą to bez znaczenia, nie ma sensu tego roztrząsać. I tak skończę źle, wiadomo”. Osunęła się na podłogę klatki – klatki, którą zrobił dla niej ojciec. „Ojciec. Ojciec zbudował klatkę na mnie. Nie miał wyboru, ale zawsze...” Nigdy dotąd nic tak nie zraniło Alys.

Zgromadzeni zaczęli się naraz przekrzykiwać.

– Czy to nie ta, która nie spała, gdy pożeraczki dusz napadły Gwenith?

– Tak mówił kupiec! Że jak ją znalazł, szwendała się po wsi, gdy reszta gwenithian nie żyła albo spała!

– Ponoć skakała sobie, wesolutka, jakby się w ogóle nic nie stało!

– Słyszałam, że podśpiewywała.

– No bo to było zaklęcie!

Pisk, wrzask. Tu głos kobiety, tam mężczyzny. W kółko. Alys zamknęła oczy.

– Zabiła własnych rodziców, tańczyła nad ich zwłokami!

– Powyżerała im dusze!

– Taaak, tak, pożarła wszystkich!

– Dlaczego dzieci zostawiła żywe?

– Aby je oddać pożeraczkom, żeby jak z niej zrobiły z nich potwory!

– I tak się stało! Czy dzieci z Gwenith nie zbiegły, jedno za drugim, z Defaid?

– Otóż to. Niebawem by wywiodła wszystkie; do pilnowania bramy nikt by nam nie został!!!

– I wtedy sprowadziłaby tu pożeraczki, by z wszystkich nas powysysały dusze!

Mimo że wiele osób mówiło jednocześnie, Alys rozpoznawała każdy z głosów niczym igłę przebijającą jej skórę. Słyszała Mary, której niemowlę trzymała na ręku, kiedy leczyła ją matka. Słyszała brata Ellisa, który uczył ją rachować. Słyszała Elin i Fflur, swoje rówieśniczki, które ani razu nie musiały wspinać się na zamarzniete ogrodzenie.

Nagle pośród tego zgiełku rozległ się głos Najstarszego.

– Cisza, bracia i siostry. – Tłum nieco się uspokoił. – Wkoło nas

zbierają się wilki, lecz orędownicy Dobrego Pasterza są bezpieczni w jego czułych objęciach. To dziecko Bestii jest li tylko sprawdzianem naszej wiary. Zaledwie wilkiem, który zagraża naszej trzodzie. Kiedy więc je zniszczymy, stado nasze odzyska bezpieczeństwo.

Znów pomruki, szepty.

– Spalić!

– Głupiś. Żeby ogień strawił całą wioskę?

– Utopić!

– A jak umie pływać?! Wtedy co? Zresztą najbliższy staw jest jeszcze skutym lodem.

– Ukamienować!

– No, to ma sens. Albo zmiażdżyć.

Najstarszy uniósł ręce i zapadła cisza. Jego twarz migotała w świetle lamp.

– Ten stwór chciałby nas zastraszyć. Zabijemy go więc w sposób, którego takie jak on lękają się najbardziej. Ogniem. O świcie krzepcy mężczyźni załadują drewnem trzy wozy. Później wywieziemy stwora z wioski na północno-zachodnie karczowisko, gdzie rozpalimy ogień tak gorący, że już na zawsze oczyści nas z tego brudu. Przy wielkim zaś blasku ognia odśpiewamy pieśń dziękczynno-pochwalną.

Alys było nieznośnie zimno. Gdy przykucniętą na podłodze klatki chłód podwiewał ją i pełzał po jej skórze, próbowała sobie wyobrazić języki ognia wokół – lecz bez skutku. Kiedy wieśniacy, jedno za drugim, opuszczali dom modlitwy, klatka się trzęsła. Alys patrzyła, jak nogi, brzegi sukien, buty popielaciały od błota. Odsuwała myśl o jutrze. Zięb i bezbrzeżna pustka w sercu – tylko to ją teraz zajmowało.

Wieśniacy dawno już powychodzili, a świece w lampach okalających salę zgasły. Szparami zamkniętych okiennic wnikał do wnętrza siny blask księżyca.

Mimo to dom modlitwy wypełniała gęsta, aż smolista ciemność. Alys jednak, obdarzona ostrym wzrokiem, wydobyła z niej sylwetki strażników. Gamoniowate. „Więc to Vaughn i Sayer mają pilnować mnie do rana”. Obaj przycupnęli pod kocami przy palenisku, chociaż ogień dawno się wypalił. Z początku rozmawiali szeptem, co jakiś czas nerwowo oglądając się za siebie. Potem umilkli, a ciszę przerywało raz po raz chrapanie. Ilekroć Alys najdrobniejszym drgnieniem uruchamiała dzwonki na kagańcu, zrywali się i sięgali po łuki. „Czy pożeraczkę dusz można zabić czymś tak prozaicznym, jak łuk i strzała? Nie mam pojęcia i wątpię, by ci dwaj coś o tym wiedzieli...”

Wtem ktoś załomotał do drzwi. Alys obróciła się ku nim, dzwonki zabrzęczały, a Vaughn i Sayer, niepewnie mrucząc, usiedli prosto i wytrzeszczyli oczy.

– Idę – mruknął Sayer, po czym podniósł się i ruszył do drzwi, z daleka i bardzo ostrożnie obchodząc klatkę z Alys. Przytknął ucho do drzwi, zamkniętych od środka na drewniany rygiel. – Kto się tam tłucze? – spytał.

– Brat Argyll – odrzekł ojciec Alys.

Sayer odwrócił się do Vaughna, unosząc brwi, a Alys wydało się wątpliwe, żeby Vaughn odczytał jego minę w mroku.

– A czego chce? – Słowa Vaughna przesyły zimne powietrze.

– A czego chcesz? – zapytał Sayer przez drzwi.

– Przyniosłem wam drewno do paleniska – odpowiedział ojciec.

– Wpuść go – rzekł Vaughn. – Bo zamarznę.

– Na pewno? – odkrzyknął teraz Sayer. – To przecież ojciec tego stwora.

– Według mnie – odparł Vaughn – ten stwór zabił swego ojca w Gwenith. Brata Argylla znasz tak dobrze jak ja. I jest ci zimno tak jak mnie. Dajmy mu rozpalić ogień. Nie wierzę, żeby nas skrzywdził. Zresztą jest nas dwóch, pamiętaj.

Sayer wzruszył ramionami i podniósł ciężki rygiel. Kiedy drzwi się otworzyły, Alys owiał lodowaty podmuch wiatru, ostry tak, że zaboląły ją zęby. Sayer zatrzaskał drzwi za ojcem, po czym je zarygłował.

Ojciec, z wiązką drewna na plecach, ruszył nawą i przeszedł obok klatki, nie spojrzawszy na Alys. Gdy ją mijał, chwyciła się drewnianych prętów. Tak mocno, że powbijały się jej w dłonie drzazgi.

Ojciec zrzucił ładunek przed paleniskiem i przystąpił do rozpalania ognia. Na posadzce, u swoich stóp, postawił ciężki dzbanek, zdjął rękawiczki, ukląkł i przytknął do dzbanka ręce, tak jakby chciał je rozgrzać. Sayer i Vaughn usiedli, podciągając koce pod brodę.

– To herbata? – spytał Vaughn.

– Tak. – Ojciec układał podpałkę ostrożnie i ze starannością.

– Gorąca?

– Tak, częstujcie się. – Ojciec ułożył drewno w zgrabny stosik, wyjął krzesiwo i, uderzając nim o krzemień, wzniecił iskrę. Potem pochylił się i zaczął delikatnie dmuchać.

Vaughn i Sayer odwrócili głowy w jedną stronę. Po chwili Alys usłyszała odgłos nalewania płynu i podniecone szepty. „Pyyycha!”

Mężczyźni westchnęli i rozparli się na krzesłach. Czas płynął. Gdy popijali herbatę, ogień zrobił się większy i pomarańczowy, gorący tak, że chwilami Alys owiewało ciepło – przypominając jej, jak jest przemarznięta. Ojciec przykucnął i w milczeniu wpatrzył się w płomienie.

– Jak ma się siostra Argyll? – Był to głos Sayera, ochryply i senny. Ojciec nie zareagował.

Sayer chyba stracił zainteresowanie zdrowiem matki, bo nie powtórzył pytania. Alys usłyszała, jak na podłogę pada z brzękiem metalowy kubek. Potem drugi. Ojciec wstał i je pozbierał. Podnosząc dzbanek i tobolek, spojrzał w stronę Alys.

– Dziecko... – rzekł i Alys zrozumiała, że przyszedł, aby ją ratować. Wydała nieartykułowany odgłos. Dotarło do niej, że płacze. „Najwyższy czas” – pomyślała. „Osiem lat to bardzo długo”.

Ojciec wetknął koniuszek noża do masywnego zamka u drzwi klatki – zaczął nim poruszać. Po chwili otworzył go, gwałtownie szarpiąc. W ten sam sposób odblokował kaganiec i ściągnął go z głowy Alys. Wreszcie porozcinał więzy krępujące jej nadgarstki. Oswobodzona, Alys wytarła nos i usta w rękaw, odchrząknęła i splunęła.

– Co z matką...? – zapytała chrapliwym, zdławionym szeptem.

– Heledd nie żyje – odparł ojciec. – Chodź. Szybko. Nie potrafię warzyć mikstur na sen, musimy się więc pospieszyć, żeby się nie obudzili.

Matka. Alys nie mogła nawet się z nią pożegnać. Ani podziękować jej za wszystko, czego się od niej nauczyła... ani powiedzieć, jak ją pokochała. Powiedzieć, że wie o jej skrywanym bólu, i że ból ten pogłębił jej miłość. Powiedzieć, że uważa matkę za najdzielniejszą i najszczerzą osobę w całym Defaid.

Alys przywołała jej twarz, nieruchomą, a zarazem spokojną.

Potrafiła odczytać nastrój matki z najlżejszych drgnień jej brwi albo podbródka. „Ciekawe, jak wyglądałaby teraz, gdyby żyła i wiedziała, co zrobiłam...” W tym momencie wstyd, trawiący serce Alys, wypalił się i ogarnęło ją odrętwienie, przemożne tak, że ledwie mogła się poruszyć. Musiała jednak iść naprzód, choćby tylko przez wzgląd na ojca.

Zarzuciwszy tobolek na plecy, ojciec poprowadził Alys do drzwi domu modlitwy, po czym oboje wkroczyli w ciszę i mrok spowijające Defaid. Czapy śniegu na dachach migotały w blasku księżyca. Latarnie trzech wież ogrodzenia świeciły na północ, południe i zachód. Alys z ojcem skierowali się ku zachodowi, zmierzając w stronę bramy. Alys objęła się ramionami; chłód przenikał jej wełnianą suknię i halkę z szorstkiej bawełny. Serce miała ściśnięte i zlodowaciałe. Nie pomogło ani ciepło ognia, ani ulga, jaką czuła, kiedy ojciec wyzwał ją z potrzasku.

Gdy dotarli do domu, ojciec się zatrzymał. Zwracając się do Alys, patrzył w przestrzeń obojętnym wzrokiem.

– Idź pod bramę. Zastaniesz tam Enid. Ma dla ciebie ubranie i prowiant. A potem musisz stąd odejść. Jak tylko zdołasz najdalej.

Alys wpatrywała się w niego długą chwilę.

– Chodź ze mną – odpowiedziała.

Ojciec pochylił się i przytknął drżące spierzchnięte wargi do jej czoła. Wciągnęła w nozdrza zapach wiórów i mokrej wełny. Usunął się.

– Idź, dziecko. Szybko a cicho. Heledd kazała się pochować pod drzewem przy starej chacie. Zabiorę ją tam o brzasku.

– Nie pozwolą ci – odrzekła Alys.

Ojciec otworzył pchnięciem drzwi do mrocznej kuchni z pustym paleniskiem.

– Nie powstrzymają mnie – odparł, zamykając drzwi za sobą.

Zbliżając się do bramy, Alys zobaczyła Enid z workiem w jednej i ciemnym tobołkiem w drugiej ręce. Przyspieszyła i schyliła głowę, idąc pod wiatr, który podwiewał jej spódnice, ziębił nogi i boleśnie ranił oczy. Enid, blada jak płótno, usta miała sine i ściągnięte. Za nią Madog z kilkorgiem dzieci z Gwenith podnosili wielką zapadkę, na którą zamykano bramę na noc. Zerknąwszy na wartownię, Alys stwierdziła, że strażnik też dostał środek nasenny.

Enid chwyciła Alys za rękę i przyciągnęła ją do siebie. Blisko tak, że kiedy mówiła, jej ciepły oddech wilżył policzki Alys.

– Idź do Pysgod. Powiedz, że jesteś z kupieckiej rodziny. Powiedz, że dopadły was pożeraczki dusz i ty jedna zostałeś żywa. W gruncie rzeczy niedalekie to od prawdy.

Alys nie odparła na to, że Pysgod nie ma powodu jej przyjmować. „Jestem prawie dorosła, nie poczują się więc w obowiązku... Nakarmią mnie w najlepszym razie, a potem pewnie odeślą”.

Enid ścisnęła jej nadgarstek, wyrywając ją z zamyślenia.

– Inaczej się nie da. Idź już. – Zamiast puścić Alys, przyciągnęła ją jeszcze bliżej, objęła mocno. Szepnęła jej do ucha: – Nigdy tu nie wracaj. Odnajdziemy cię i znów będziemy razem.

Alys obawiała się uścisnąć Enid, bała się, że gdy to zrobi, nie wypuści jej już z objęć. W ramionach Enid poczuła się jak dziecko, dziecko, jakim była dawniej. Spragnionym mamy. Spragnionym matki.

Enid położyła worek na ziemi i rozwinęła tobołek, w którym była wełniana sukienka Alys oraz grube palto, szalik i rękawiczki mamy.

Gdy pomagała Alys je włożyć, jej oddech wzlatywał obłoczkami w mroku.

– Trzymaj się lasu i pójdz wzdłuż rzeki. Wątpię, by wysłali pogoń, a jeśli wyślą, to droga będzie niebezpieczna. Rzeka doprowadzi cię do Pysgod. Nie przystawaj. Nie waż się odpoczywać, dopóki nie wszędzie słońce.

Enid nie musiała przypominać Alys, że jeśli przysiądzie na śniegu i na chwilę nawet przymknie oczy, zamarznie na śmierć i stanie się pokarmem wilków. Ziąb był tak wielki, że łyzy ciekące z oczu Alys zamarzały jej na policzkach, a gdy oddychała nosem, płynąca zeń wydzielina zmieniała się w sople lodu. Nie wróżyło to najlepiej. Za nimi ktoś cicho gwizdnął. Był to Madog. Podnosząc głowę na smoliste niebo, dawał Alys wyraźny komunikat.

Czas na rozmowę dobiegł końca – Alys musiała już się zbierać.

Przechodząc bramą, Alys pożegnała się skinieniem głowy z Madogiem i dziećmi z Gwenith. A później długo machała ręką do patrzącej za nią Enid. Wreszcie brama się zamknęła i Defaid stało się nieprzebytym wielkim czarnym murem. Alys spojrzała na najbliższą wieżę. W oranżowym blasku lampy dostrzegła zarys uniesionej ręki. Uniosła rękę w odpowiedzi. Obróciwszy się, ogarnęła wzrokiem świat przed sobą, świat śniegu, wymarłych pól i drzew, które, jak okiem sięgnąć, dźgały niebo niczym czarne kolce. Północ, południe i zachód – wszędzie taki sam krajobraz. Patrząc w kierunku Pysgod, stwierdziła, że jest oddalone o kilka dni drogi. Mimo że nigdy w nim nie była, znała powód, dla którego odwiedzano je niechętnie. Drogi z Defaid do Pysgod nie dało się pokonać, nie rozbijając obozu na pustkowiu. Wśród pustkowia roiło się od wilków i pożeraczki dusz wyprawiały się na łowy.

Alys miała skurcze palców u stóp, więc tupała, by odzyskać w nich czucie. Śnieg jednak nie był zbity od nóg, kopyt i kół wozów, tylko zachlupał pod nią. „Breja!” Spojrzawszy w dół, zobaczyła wokół

butów czarny krąg, jakby wypaliła tam dziurę. Czarna plama rozlała się na prawo, tworząc długą ścieżkę do północnego lasu. Kiedy Alys znów zerknęła w stronę Pysgod i na drogę, którą miała tam wędrować, nagle zerwał się i zawył wściekły wicher, wzbijając tumany śniegu z lodem. Jak zębami ranił jej policzki i oślepił ją, wdzierając się jej w oczy. Alys zatoczyła się do tyłu i ponownie ugrzęzła w brei, po czym stanęła plecami do wiatru, by choć przez chwilę odsapnąć. Wiatr zawył za nią i potężnym pchnięciem skierował ją ku północy.

„Na północy przecież nic nie ma. Północ to pustkowie i truchło wioski, która kiedyś nosiła nazwę Gwenith”.

Wicher zadał jeszcze silniej i ryknął na Alys jak człowiek. Mróz pochwycił ją w swe ostre szpony i zadał cios pazurem w samo serce. Zadygotała. „Nic tu po mnie” – pomyślała. „Muszę się stąd jak najszybciej wyrwać”. Gdy wicher ustał, zobaczyła trakt do Pysgod... Lecz ruszyła czarną ścieżką na północ. „Tędy przynajmniej – powiedziała sobie – nie pójdzie za mną nikt z Defaid”.

A siostry żywiły się strachem...

Siostry krążyły po lesie. Płatki śniegu rozpierzchały się przed nimi niczym owce. Spoglądając na siebie, szarookie siostry mrugały kryształowymi powiekami.

Między nimi unosił się w powietrzu mały jasnowłosy chłopiec. Coś ich przyciągnęło. Był to zapach. Podnieceni jego rosnącą mocą, już po chwili nie unosili się... Lecieli.

– Strach, siostrzo, czujesz go?

– Tak, Angelico.

– To nie nasz strach – rzekł chłopiec. – Nie z nas się wydobywa.

– Nie z nas – potwierdziła Benedicta. – Lecz z dziewczyny z zielonego lasu.

Siostra przytaknęła. Dziewczyna z zielonego lasu. Zwiertrzyły ją, bo zapadła im w pamięć.

– Alys – powiedział chłopiec. – Ma na imię Alys.

– Przypomina nas – oznajmiła Benedicta.

– Przypomina, ale jedną z nas jeszcze nie jest. – Angelica wciągnęła wiatr w nozdrza. – Właśnie od nich odchodzi. Odchodząc, kuli się jednak. Zamykają drzwi i okna. Odmawiają modlitwę.

Zatrzymali się. Byli na miejscu. Stanęli na śniegu, w ciemnościach. Na wieżach migotały wątle światła latarni. Popatrzyli na wielką bramę, kolosa z drewna, wzniesionego przez defaidian. Miała bronić ich przed zagrożeniami i nie wypuszczać ze wsi strachu. A strach wezbrał i stał się nieokiełznany. Wyciekał najpierw szparami w ogrodzeniu, a później wylał się z impetem

górami, okrywając ziemię jak mgłą, wypełnił nozdrza pożeraczek
duszy. Jego woń była słodka.

– To już czas? – zapytał chłopiec.

– Tak – odparły siostry. – Już czas.



CZEŚĆ
CZWARTA

Wysysa
dusze,
miskę
wylizuje

Alys szła ciemną ścieżką w pustkę. W lesie na południu była wielokrotnie, ale w tym nie była nigdy. Zarośnięta czarno połączyła ziemi oddzielała bezpieczne Defaid od wymarłego Gwenith, jej dawnego domu.

Był to las, przed którym rodzice przestrzegali dzieci. Krążyły o nim legendy i leżały w nim koszmary. „To tylko las” – powtarzała sobie Alys. „Niczym nie różni się od innych”. A jednak wydał jej się mroczniejszy od wszystkich lasów, które знаła. Gałęzie drzew przywierały do siebie nad nią, a korzenie łączyły się ze sobą pod jej stopami. Pnie skręcały się i gięły wokół Alys, wabiąc ją i zamykając jej odwrót. Miała wrażenie, jakby coś ją połykało.

Ryk wiatru przeszedł w szum i ciche jęki. Ziąb nadal przenikał Alys aż do kości, ale sprawiał nieco mniejszy ból niż dotąd. Pokryty twardą powłoką śniegu z lodem, las lśnił w blasku księżycy oślepiającą bielą, tak że Alys ledwie widziała ścieżkę – niezmiennie wilgotną i czarną. Spojrzawszy wstecz, Alys stwierdziła, że... wiodącej do Defaid czarnej wstęgi nie ma, że zamarzała i zniknęła całkiem pośród bieli.

Alys dostała dreszczy. Trzęsa się na całym ciele. Szczękała zębami i potykała się, prawie nie czując nóg.

Wiedziała, że jej wędrówka to niedorzeczność. Nie dość, że było przeraźliwie zimno, to jeszcze miała przed sobą bardzo długą – zbyt długą – drogę. „Gdybym zdołała dotrzeć aż do Gwenith, to może miałabym tam gdzie się schronić... I może nawet bym rozpałała ogień w jakimś domu, który jeszcze się nie zapadł”. Wielogodzinny marsz jednak wyczerpał ją do tego stopnia, że nie umiała sobie

wyobrazić kolejnych kilku godzin wysiłku. „Nim ujędę połowę drogi, zginę, a poza tym nie mam pojęcia, dokąd zmierzam. Najlepiej byłoby teraz zwinąć się w kłębek wśród tych korzeni i odlecieć w niebyt. Korzenie owinęłyby mnie może i wciągnęły tam, gdzie ziemia jeszcze nie zamarzła”.

Alys usłyszała przeciągłe wycie wilka. Po lewej, gdzieś niedaleko. W odpowiedzi rozległo się drugie, tym razem po jej prawej stronie. Wejrzała w puszcę, ale prawie nic nie widząc, mogła tylko wyobrazić sobie kontury obu zwierząt. Dwa różnie brzmiące wycia, dwa zupełnie różne wilki... „Tam, gdzie się kręcą dwa wilki – pomyślała – z pewnością będzie ich co najmniej siedem”.

Ucieczka nie zdałaby się na nic, bo wtedy rozochoczone wilki rzuciłyby się za nią w pogoń, przyskoczyłyby do niej od tyłu i powaliły ją na ziemię. Ze zgrozy Alys dostała gęziej skórki, serce omal jej nie wypadło z piersi.

Słyszała, jak śnieg trzeszczy pod łapami wilków, jak ocierają się futrem o korę. Dochodzące z obu stron odgłosy okręzały ją. Znieruchomiała, wyczekując.

Straszliwe dźwięki zmieniły się w kształty i spośród drzew wokół Alys wyłoniły się przyczajone wilki. Białoszare i czarne w cętki. „Chyba sześć. Nie, osiem, mhm!” Rozskowytały się, niepewne, rozjuszzone.

Największy i najśmielszy stał najbliżej Alys, mierzając ją baczny wzrokiem.

Nigdy jeszcze nie była aż tak blisko wilka. „Nie ma w sobie nic z psa” – pomyślała. Nie przypominał żadnego ze znanych jej zwierząt. Dotąd nic jej tak jak on nie przeraziło. Zatraciła się w tym dziwnym doznaniu.

Wilki obnażyły zęby. Węsząc, zmarszczył nos i się oblizał. Zjeżył futro na grzbiecie i zadzie. Wcale nie odczuwał chłodu.

I Alys nie czuła teraz zimna. Zapomniała o nim. „Posoka... Fetor moczu w śniegu... Stado...” Pociągnęła nosem. Sapnęła. Zawarczała cicho. Czuła nieznośny głód. Od dawna nic nie jadła. Poczowała, jak futro na jej grzbiecie staje na sztorc. Rozochociona, zaczęła się ślinić. Wilczy oddech wypełnił jej pierś, wilcza krew popłynęła w jej żyłach. Grzebiąc łapą, Alys napawała się tym wszystkim. Wilk był nią, a ona była wilkiem. Jego wilcza natura jak dym wniknęła w jej jestestwo. Miała gorzką woń i smak, które momentalnie wprawiły Alys w stan ekstazy.

Po chwili Alys znów nie była wilkiem. Była sobą, lecz bystrzejszą, silniejszą i czujniejszą. Była Alys, ale nie zmęczoną. Nie pełną zwątpienia ani smutną. Rozradowana, uniosła się nad ziemię. W czerni nocy widziała raptem wszystko. Mróz ledwie muskał jej skórę. Choć dotykała palcami u stóp ziemi, nie musiała już wcale odpoczywać.

Wielki wilk leżał na śniegu, sflaczały, jakby go wyzuto z ciała. Pozostałe zaś, skowycząc i jęcząc, wycofały się w gęstwinię i zniknęły.

Skowyt przywrócił Alys do rzeczywistości. Zaszczypało ją w nosie od mrozu, a gdy spadła na śnieg, zaczęła się trząść jak rozebrana do naga. „Przede mną leży martwy wilk, więc to ja go pozbawiłam życia...” Zwymiotowała na kolanach, wstrząsana konwulsjami. Parując, wymiociny o zapachu śmierci w okamgnieniu wtopiły się w czarną drogę.

Alys spojrzała na wielkiego wilka i położyła dłoń na jego pysku. Drugą pogładziła go po brzuchu i grzbiecie. Widziała już śmierć, widywała ją zbyt często. Ale nigdy dotąd jej nie spowodowała. Wyssała z wilka to, dzięki czemu żył. „Nie krew mu zabrałam i nie ciało. Coś innego. Znacznie ważniejszego. Ta padlina na śniegu to już nie wilk, ten zewłok nie jest w ogóle niczym”. Zwierzę, które jeszcze przed chwilą szczyrzyło kły, które sprawiało wrażenie

roślejszego od człowieka, wydawało się w jej rękach tak mizerne, że gdyby na nie dmuchnęła, pewnie pofrunęłoby pod niebo.

„Zabić wilka to coś potwornego, ale żeby się napawać zbrodnią...” Na tę myśl Alys aż wzdrygnęła się ze wstydu. Wciąż pamiętała ten żar krwi i futra, który usunął z jej pamięci zimno.

Poczucie winy i zgorszenie sobą przygnębiły ją tak, że przez moment chciała przywrzeć do gęstego futra wilka i jak on wyzionąć ducha, ale już nie była w stanie go dotykać. Zapragnęła od niego uciec, uciec przed prawdą o sobie.

Była pożeraczką dusz.

Choć zdawało się to niedorzeczne.

Była nią wbrew wszystkiemu.

Nie chciała tego. Całą rozkosz wymazały z niej wyrzuty sumienia. Łudziła się, że żal nad wilkiem znaczy, iż jeszcze nie jest z nią najgorzej. Że może istnieje jakiś byt pośredni między grzecznym dzieckiem, na które dłużej już nie mogła się kreować, a potworem, którym zostać nie chciała.

Alys wstała z ziemi. Jej uszy zamknęły się na odgłosy nocy, świst wiatru w gałęziach drzew i szelest liści. Nieczuła na doznania, zasklepią w sobie, słyszała teraz tylko własny oddech. Mimo drętwienia stóp i osłabienia kolan, potykając się co chwila, szła przed siebie.

Tobołek, który dostała od Enid, z początku lekki, coraz bardziej ciążył jej na plecach. Korciło ją, by zdjąć go i zostawić. „W końcu tylko żywi potrzebują pokarmu”.

Piekła ją skóra. Wełniana suknia i muślinowa halka obcierały jej ramiona i tułów. Nieustannie wstrząsały nią dreszcze i czuła łamanie w kościach.

– *Trochę dalej. Jeszcze troszkę dalej.*

Głos, który odezwał się w Alys, nie był jednak jej głosem. Brzmiał

obco, ale i znajomo. Poznała go momentalnie, gdy, wibrując, dobył się z jej piersi. Powracał, ilekroć ugiwały się pod nią kolana i musiała zwalniać kroku.

– *Trochę dalej. Jeszcze troszeczkę.*

Oczyrna duszy ujrzała Bestię pośród gałęzi nad sobą i wydało jej się, że słyszy w górze łopot jej skórzastych skrzydeł. Ale kiedy podniosła głowę, zobaczyła tylko śnieg i nocne niebo.

Wiedziona czarną ścieżką, Alys wędrowała dalej – raz w dół, to znów pod górę, przekraczając pnie i konary, przeciskając się między drzewami i skałami. Od forsownego marszu nogi zdrętwiały jej niemal całkowicie, tak że częściej teraz upadała, niż posuwała się naprzód. Z każdym krokiem coraz bardziej kręciło jej się i łomotało w głowie. Była chora, okropnie chora. Zbyt często widziała już gorączkę, by nie umieć rozpoznać jej u siebie.

Od pewnego już czasu się wspinała. Przypomniało jej się, że między Defaid a Gwenith jest wzgórze, czarny kopiec na tle nieba od północy. Grunt wznosił się po prawej, więc ścieżka stawała się coraz bardziej stroma, a miejscami biegła tak spadziście, że Alys podciągała się na rękach. Wpijając się palcami w korę i szorując nimi po kamieniach, powydzierała dziury w grubych wełnianych rękawiczkach. Zaczęły jej drętwieć ramiona.

Stromizna zbocza wzrosła gwałtownie. Alys usiadła na głazie i objęła głowę rękami. Gdy chłód kamienia objął jej pośladki i uda, powiedziała sobie: „Dalej nie dam rady, nie mogę”.

Wtem zwęszyła woń deszczu... Czyżby coś drasnęło jej policzek cienkim szponem? „Ale przecież żadnych szponów tutaj nie ma”. Usłyszała tylko ten głos w głowie, w piersi.

– *Trochę dalej, dziewczyno. O, tam. Prawie doszłaś.*

W nadziei, że mimo wszystko wstanie, Alys nakazała nogom, by ją niosły. „Usłuchają?” Jednak usłuchały, więc ruszyła dalej pod górę.

Gdy pełzła po kamieniach, wlokła się przez żwir i błoto, do włosów i do ubrania powchodziły jej patyki, liście. Przestała patrzeć przed siebie. Najważniejsza była dla niej – wytopiona jakby w śniegu – ścieżka.

Kiedy wspinaczka dobiegła wreszcie końca, Alys zawahała się przez chwilę. „I co teraz?” Zobaczyła łagodnie nachyloną halę z drewnianą chatką wciśniętą w zbocze góry. Czarna wstęga prowadziła prosto do drzwi chatki.

„To pewnie sen” – pomyślała Alys. „Gorączka opanowała mnie już całkiem, naprawdę jestem teraz w tamtym lesie, zwinięta w kłębek śpię na śniegu i na pewno zamarznę na śmierć”. Podniósłszy się, spojrzała na chatkę, potem w górę. Na jaśniejącym z wolna granatowym niebie gwiazdy gasły jedna po drugiej. Śnieg oświetlał jasno chatynkę, przycupniętą pod białą czapą. Kiedy Alys uchyliła drzwi pchnięciem, okazało się, że chata stoi w wejściu do jaskini. W surowym kamiennym palenisku leżał równy stosik drewna i podpalka, a na gzymsie Alys zobaczyła krzemień.

Przed paleniskiem osunęła się na kolana, zdjęła ubłocone rękawiczki i wzięła krzemień w zeszywniałe palce. Ledwie poruszała dłońmi, tak zgrabiała. Podpalka zajęła się od iskry, buchnął płomień i objął drewno. Alys przykucnęła, czekając, aż ogień ją ogrzeje.

Gdy wewnątrz zalało oranżowe światło, rozejrzała się. Była tam pokaźna sterta słomy, zarzucona skórami zwierząt. Pochylona lekko na bok chatka sprawiała wrażenie, jakby od lat nikt w niej nie mieszkał. Alys powąchała słomę. „Wiekowa i zatęchła”. Skóry, choć zawilgocone, zeszywniały, stwardniały ze starości. Obejrawszy drugą stertę słomy, przy drzwiach, Alys stwierdziła, że przed wielu laty mieszkało w chatce jakieś zwierzę.

Dygocząc, przysunęła się do ognia. Powinna była coś zjeść, ale na myśl o tym robiło jej się niedobrze. Żar z paleniska ledwie muskał

jej skórę. Nadal zamarznięta, nie wyobrażała sobie, że znowu może być jej ciepło. Zzula buty i postawiła je przy ogniu, ostrożnie, aby ich nie przypalić. Na siłę rozebrała się do halki, wpełzła pod futra i ułożyła się do snu. Obróciła się na bok i skuliła, chłodząc palcami rozpalone policzki. Zapatrzyła się w płomień.

Z prawej strony paleniska leżał płaski kamień, nieduży, wąski. „Chyba pod garnek” – pomyślała Alys. „Coś na nim jest, ciekawe, co” – zastanawiała się, roztrzęsiona. Choć powieki jej już zaczęły się zamykać, postanowiła wyjść spod skór, by sprawdzić, co tam leży.

Poczołgała się do kamienia i tajemniczego przedmiotu. Okazało się, że przedmioty są dwa. Pomacała je delikatnie, a potem ujęła w palce i obejrzała.

Pierwszym był ostry nożyk z ręcznie rzeźbioną drewnianą rękojeścią.

Drugim – ciężka żelazna bransoletka z wygrawerowaną cyfrą dziewięć.

Alys usłyszała łopot wielkich skrzydeł i głuchy odgłos, jakby na dachu wylądował ptak. Położyła na ziemi nóż i bransoletkę, po czym schowała się głęboko pod skórami, podciągając je pod same oczy i zaciskając na nich przemarznięte palce. Roztrzęsiona, starała się nie usnąć, choć powieki jej co chwila opadały, bo spostrzegła, że w chacie jest ktoś jeszcze, nienamacalny, acz na wyciągnięcie ręki.

Kobieta – matka. Koza. Dwie dziewczynki... Koza westchnęła i położyła łeb na sianie. Kobieta siadła, wbijając wzrok w ogień. Dziewczynki oparły głowy na jej kolanach i – zapatrzone w siebie – chwyciły się za ręce.

Dziewczynki były identyczne, jednak Alys odróżniła je bez trudu.

„Ta tutaj to Benedicta. A tamta to Angelica. Połączone dłońmi, połączone sercem. Zanim jeszcze wszystko się popsuło. Kiedy jeszcze nie stanęły przed wyborem...”

Alys zamknęła oczy i usnęła.

Ojciec kazał matce i Alys wsiąść na wóz. Cmoknąwszy, szarpnął lejcami i stary koń pociągowy ruszył naprzód.

Dzień dogasł prawie, a oni się spóźniali. Alys bała się, że dotrą do wsi po zamknięciu bramy. Wpatrzona w drogę, którą zostawiali w tyle, odwróciła się i zobaczyła tylko ojca.

– A gdzie matka?

Ojciec spojrział na nią niewidzącym wzrokiem.

– Pewnie tam została.

Alys znów skierowała wzrok w ciemność, gęstsza i mroczniejsza niż to, co ich czekało. Obróciła się ku spowitym w czerń szerokim plecocom ojca.

– Zatrzymaj wóz! Musimy po nią wracać. – Miała wrażenie, że głos jej więźnie w błocie, że coś ją dławi i spowalnia słowa.

Gdy zatrzymali się, Alys zeskoczyła z wozu i pobiegła, nawołując matkę. Pognała polem, chociaż nie widziała ziemi pod stopami, kiedy raptem wyrósł przed nią las. Las tak ciemny i tak głęboki, że udało jej się dojrzeć ledwie zarys pierwszych drzew na skraju. Lecz w tej gęstwie nagle coś błysnęło – i Alys zobaczyła matkę. W nocnej koszuli, daleko. Pobiegła tam, ale że drzewa rosły ciasno, matka, nie słysząc nawoływań, miast się przybliżyć, oddalała się coraz bardziej.

Między drzewami pojawiły się nieznajome. O falujących niczym rzeka włosach pełnych liści. Jak błyskawice przemykały ponad ziemią, nie potykając się wcale o korzenie. Kiedy naraz odwróciły się do Alys, okazało się, że wszystkie mają jej twarz. Jej, a nie jej. I ta, i ta, i tamta. Matka zobaczyła je w tej samej chwili i popatrzyła na Alys pytającym wzrokiem. Alys chciała coś krzyknąć do matki, lecz nie mogła, bo głos jej uwiązł w gardle.

Nieznajome, które były Alys, otoczyły matkę. Alys straciła ją

z oczu, bo pochłoneło ją morze jednakowych Alys z powplatanymi
we włosy liśćmi.

Kiedy Alys się zbudziła, ogień w palenisku był wygaszony, w chatce panowało zimno, a przez szczeliny w zamkniętych okiennicach sączyła się do wnętrza blada poświata. Alys miała wilgotne włosy, a spocona halka przywierała jej do skóry. Usiadła prosto. Czoło jej płonęło od gorączki, a w głowie pulsował ból. „Muszę iść, bo inaczej tu zginę” – pomyślała. „Ginać nie chcę, więc może zdołam pójść dalej”.

Dygocąc, szybko włożyła ubranie, które prawie już zupełnie wyschło. „Żebym tak jeszcze miała suchą halkę...” Gdy się ubrała, mokry muślin nieprzyjemnie oblepił jej ramiona, piersi, plecy. Kucnąwszy, Alys otworzyła spakowaną przez Enid torbę. Wzięła żelazną bransoletkę i nóż, i wrzuciła je do środka, po czym wyjęła zawinięty w płótno kawałek chleba oraz suszone mięso i jabłko. „Powinnam się posilić” – pomyślała. „Muszę”.

Zdjęta chorobą, Alys nie odczuwała strachu. Gorączka oszołomiła ją, tak że teraz myślała tylko o tym, co ma przed oczami. Przed oczami zaś miała chleb. Podniosła go do ust, ugryzła trochę i przeżuła. Miał smak kurzu, więc nie mogła go przełknąć. Zawinęła chleb i wsunęła do torby. „Przydałaby się woda, ale skąd ją... Wiem, śnieg rozpuści się w ustach...” Zarzuciwszy tobołek na plecy, włożyła mitenki i szalik. Wyszła z chaty w słabe światło popołudnia. Zawahała się przez chwilę. Wiatr przenikał jej ubranie. „Może zostać tu jeszcze do jutra?...”

Czarna ścieżka, która przywiodła ją do chatki, znikła. Pojawiła się jednak nowa, tak jak tamta wytopiona w śniegu. W drugą stronę – ku wymarłej wiosce Gwenith. Alys zawahała się znowu. „Zostać czy

ić?” Wtem podmuch wiatru od tyłu pchnął ją w stronę mokrej ciemnej ścieżki. Usłyszała łopot wielkich skrzydeł, spojrzała więc na dach chaty. Nie było tam nic prócz grubej warstwy śniegu. Podniosła wzrok na niebo, na poły w lęku i nadziei, że ujrzy przelatującą Bestię. Lecz zobaczyła tylko chmury.

Zdjęła mitenkę i sięgnęła po śnieg. Wzięła garstkę do ust. Lodowaty, spłynął jej do gardła. Wzięła drugą. „Matka na pewno kazałaby mi tak ochłodzić ciało”.

Potem znowu dała prowadzić się wiatrowi. Czarnym szlakiem dotarła do lasu. Mróz skuł lodem wilgotną ścieżynę, a gałęzie drzew i liście pokryły się migotliwym szronem. Gdyby nie dreszcze, Alys pewnie zachwyciłaby się okolicą. Skąpe światło zimowego popołudnia tutaj, w lesie, zmętniało jeszcze bardziej. Pamiętając, że dni są coraz krótsze, Alys nie wiedziała, jak daleko ma do Gwenith.

Robiła więc to, co wczoraj, skupiona tylko na wstędze przed sobą – na mokrych głazach i zamarzniętych strugach, poślizgując się i starając nie przewrócić.

W lesie panowała głucha cisza, niezmacona nawet ptasim świergotem. W uszach Alys brzmiały tylko jej oddech i kolejne znużone kroki. „Wszystko zamarzło jakby, a może gdzieś uciekło... Ciekawe, czy zwierzęta opuściły las wraz z ludźmi”.

Alys czuła się nieswojo z myślą, że każdy krok przybliży ją do domu, którego nie pamięta. Ale też, zamiast to roztrząsać – „Bo i po co?” – koncentrowała się na marszu i zmaganiach z mrozem.

Zaczął sypać śnieg. Grube płatki spadały jej pod nogi, a w przedwieczornym powietrzu zrobiło się tak cicho, że była pewna, iż słyszy ich szelest. Śnieg raz po raz sklejał jej powieki i wpadał do ust, kiedy oddychała. Urzeczona drganiem bieli, przy subtelnym szepcie płatków Alys poczuła, jak ogarnia ją senność. Całą sobą zapragnęła odpoczynku.

Zaczęła bić się z myślami. Zdrowy rozsądek nakazywał jej iść dalej, a jednocześnie powodowała nią słabość. Wspierając rękę o drzewa, Alys katapultowała się do przodu, gdy ni stąd, ni zowąd, niespodzianie dotarło do niej, że ścieżka się obniża.

Alys widziała otoczenie na ledwie kilka stóp przed sobą. „Gdybym teraz wyszła poza obręb lasu, wątpię, czy bym się zorientowała... Ciekawe, jak znajdę dom...” Przestała myśleć. Nieznośny ból rozsadał jej głowę i drżała tak okropnie, jakby za moment miała opuścić ciało.

Śnieg padał nadal, zasnuwając popielate niebo. Zrobiło się bardziej stromo. Alys nie szła już, lecz spadała. Niespodziewanie zmieniło się powietrze.

Nie widząc, że las otwiera się na łąki, Alys poczuła to jednak. Poczowała, że drzewa rosną znacznie rzadziej, a przestrzeń zaczyna się poszerzać. Popatrzyła pod nogi. Czarna wstęga zniknęła. Spojrzała wstecz – i tam nie było po niej śladu. Alys zgubiła drogę.

Potykając się, miała wrażenie, że idzie w dół urwiskiem. „Nie... Dłużej nie dam rady... Nie wytrzymam już tego... naprawdę”.

Padła na kolana. Nieopatrzenie. Wstała z wielkim trudem. „Jeśli teraz przewrócę się znowu, to już na pewno nie wstanę”.

Ruszyła dalej. W pewnej chwili wydało jej się, że czuje pod stopami dawną drogę. „Pełno kolein, ale jest za płasko, żeby była to droga polna. Jeżeli uda mi się z niej nie zboczyć, może w końcu znajdę schronienie”.

Nadzieja prysła – bo wkrótce mróz i śnieg otaczające Alys zagarnęły ją i wypełniły. Gdy już-już zaczęła lodowacieć, pośród bieli zamajaczyło przed nią drzewo i...

„Zbliży się tu, a drzewa przecież nie umieją chodzić”. Gdy bez sił osunęła się na ziemię, drzewo wzięło ją w ramiona i poniosło nie wiedzieć dokąd.

Alys leżała na sienniku, patrząc na nich spod półprzymkniętych powiek. Mimo że zbudzili ją rozmową, trwała w bezruchu, by jak najdłużej odwlec nieuniknioną chwilę, kiedy zorientują się, że nie śpi.

Poczuła zapach duszonej dziczyzny. Przy drewnianym stole siedziało troje kupców. Posilając się, gawędzili o śniegu, o pogodzie i o niej.

– Proszę, proszę – powiedziała Beti. – Mrugasz oczami, nie musisz już udawać.

Cian zerknął w stronę Alys, po czym wrócił do swego posiłku. Alys uzmysłowiła sobie, że leży w cudzej koszuli przy trzech kompletnie ubranych osobach. Przykryta wprawdzie pledami, i tak poczuła się nieswojo. „Koszuli też na pewno sama nie włożyłam...” Siadła prosto i, starając się zasłonić pledem, podciągnęła kołnierz koszuli. Włosy miała rozpuszczone, ktoś więc musiał je rozpleść za nią.

– Hej, panienko, nabierasz rumieńców! – Pawł wstałby pewnie i wziął ją w ramiona, gdyby Beti go nie powstrzymała. Strząsnął jej rękę. – Dobrze, dobrze, Beti, dam jej spokój. Odpocznij, dziecko. A nie zrywaj się tak, bo jeszcze cię rozboli głowa.

Rzeczywiście, kiedy Alys się podniosła, głowa omal nie pękła jej na dwoje, ale po chwili pulsowanie ustąpiło, tak że teraz czuła się o wiele lepiej.

Beti pochyliła się nad Alys i przytknęła jej dłoń do czoła.

– Przeżyjesz. – Roześmiała się pogodnie.

Cian dopiero teraz skierował wzrok na Alys. Jej twarz i ciało momentalnie zapłonęły żarem. „Ten chłopak ma nade mną jakąś władzę...” Nie wiedziała, jak powinna to rozumieć. Poczowała lęk, fascynację... i coś jeszcze. Coś dziwnego, co przyprawiło ją o ciarki.

Zadygotała. Widząc to, Beti rzekła:

– Musimy cię porządnie ubrać i nakarmić. – Przerazona Alys wytrzeszczyła oczy i kurczowo ścisnęła kraj pledu. – Daj spokój, nie przejmuj się nimi. Zresztą oni właśnie wychodzą. – Patrząc na mężczyzn, Beti powiedziała głośnie: – Wychodzą, prawda? Sprawdźcie wnyki i przynieście drewno. Niechże mam z was jakiś pożytek.

– Zrobi się, a ty zadbaj o naszą Alys.

Pawł wstał od stołu i zdjął z haka czapkę, a potem palto. Cian też. Gdy otworzyli drzwi, izbę omiótł gwałtowny podmuch wiatru. Prędko zamknęli je za sobą. Alys zdążyła spostrzec, że jest noc. Dotąd nie była tego pewna, bo wszystkie okna zasłaniały szczelnie koce.

Beti przyniosła jej ubranie. Wysuszone przy ogniu, więc przyjemnie ciepłe. Stała tyłem i krzątała się przy palenisku, żeby nie peszyć przebierającej się z koszuli Alys. Alys chciała zapleść włosy, lecz zapodziały jej się gdzieś rzemyki. Choć ogień buchał, cudownie ogrzewając izbę, Alys nadal dygotała, zziębnięta. Wydawało jej się, że wraca do sił, gdy przebieranie się na stojąco zmęczyło ją tak, że omal znowu nie padła na ziemię.

– Masz, dziecko, siadaj. – Beti odsunęła od stołu jedno z ciężkich krzesel. – Zaparzę ci herbaty. Jest też gulasz.

– Starczy herbata – odpowiedziała Alys. – Jeść chyba jeszcze nie mogę.

– Coś zjeść musisz, czekaj, niech pomyślę... Na początek niech to będzie grzanka z serem. Trzeba rozgrzać żołądek, wiesz, dziecko?

Przecież nie da się żyć bez energii.

Alys przytaknęła jej kiwnięciem głowy, usiłując udawać, że jest wdzięczna. Na samą myśl o jedzeniu wykręcało jej wnętrzności. Nie przelknęłaby teraz ani kęsa.

Beti włożyła na patelnię kromkę chleba z plasterkiem sera i – dorzucając kawałeczek masła – postawiła patelnię na ogniu.

– Jak długo spałam? – zapytała Alys.

– Mniej więcej dzień – odpowiedziała Beti, przesuwając grzanekę, by jej nie przypalić.

– Jesteśmy w Gwenith, prawda?

– Tak. Większość domów się prawie zawaliła, no ale ten jest porządny. Nieraz się w nim zatrzymujemy, gdy odprawiają nas poczciwcy z Defaid. Miło tu odpocząć, kiedy zimno i leje.

Zapach gorącego chleba z serem nie pobudził apetytu Alys. Wręcz przeciwnie: przyprawił ją o mdłości.

– Gdy wróci Pawł, muszę mu podziękować. Drugi już raz ocalił mi życie.

– Nie drugi, skarbie. Znalazł cię Cian. Zobaczył, jak się ślaniaś na tym śniegu, podniósł cię i przyniósł tutaj. Całe szczęście, że to kawał chłopca, bo inaczej byśmy już nie pogadały.

Alys spiekła raka. „Piwnooki Cian wziął mnie w ramiona i przyniósł tu”. Ze wstydu chciała zapaść się pod ziemię. A jednocześnie czuła się... mile połączona.

Beti postawiła przed Alys dzban gorącej herbaty z mlekiem i talerz z grzaneką. Założyła ręce na fartuchu i uśmiechnęła się do niej.

Drzwi rozwarły się z hukiem i do izby znów wpadł lodowaty podmuch wiatru. Pawł i Cian mieli przytroczone do pleców duże wiązki drewna z podpałką.

Beti pędem zamknęła drzwi za nimi.

Pawł i Cian rzucili drewno pod palenisko. Cian ściągnął rękawiczki i zabrał się do rozpalania ognia. Gdy pracował, Alys, urzeczona, zapatrzyła się na jego dłonie. Nie poplamione jak dłonie rolnika. Ani też szorstkie jak cieśli. Gładkie, zwinne i pięknie opalone... „O, znów ten dreszcz, cudowny”.

Gdy Beti siadła przy stole, Pawł zdjął palto i buty – i usiadł przy niej. Niecierpliwie spoglądali na Alys, jakby licząc, że za moment zdarzy się coś niezwykłego.

Alys zaczerwieniła się, nie wiedząc, gdzie ma podziąć oczy. Speszyłaby się, gdyby popatrzyła na Ciana, na Pawła i Beti patrzeć zaś nie mogła, zbита z tropu ich przejętymi minami. Spuściła wzrok. Ze zrumienionego stopionego sera wyciekła na talerz strużka tłuszczu. Alys zemdliło, ale zmusiła się, by podnieść grzanekę. Przełamała ją palcami na pół. „Mniejszą porcję może dałoby się jakoś przełknąć”. Uderzył ją zawieszisty zapach drożdży. „Zaraz, kiedy ja ostatnio jadłam?... Cóż, jak widać, im rzadziej się posilam, tym mniejsze mam potem łaknienie”.

Wiedziała jednak, że gdy zje choć trochę grzanki, sprawi radość Pawłowi i Beti. A tego chciała i tak byłoby uprzejmie. Wzięła więc mniejszy kawałek i podniosła do ust, po czym odgryzła odrobinę i przeżuła.

Zamiast chleba z serem poczuła smak kurzu i popiołu.

Cian siadł przy stole i uśmiechnął się do Alys. Jej żołądek skurczył się boleśnie. Omal nie rozplakawszy się, odsunęła talerz.

– Przepraszam Beti, jesteś taka dobra. Ale nie mogę. Nie czuję wcale smaku.

– Nie szkodzi, dziecko, nie trap się. – Pawł poklepał ją po ręce. – Wypij herbatę. Ona cię uleczy. A posilisz się, jak będziesz już gotowa. – Wstał od stołu i zdjął z półki pękaty dzbanek. Potem nalał

przejrzystego płynu do dwóch kubków i, podając jeden kubek Beti, a drugi zatrzymując, postawił dzbanek na środku stołu. Alys i Ciana nie częstował. Cianowi naraz zrzędła mina.

Beti upiła spory łyk i spojrzała z zadumą na Alys.

– Już nie masz gorączki. Spadła w nocy. A poza tym gorączka nie odbiera smaku... Tylko apetyt. Pamiętasz, kiedy przestałaś czuć, co jesz, dziecko?

Alys zamyśliła się. „Jabłka i ser, które jadłam, kiedy mnie związali, były smaczne. Później zjadłam trochę chleba w chatce, tam, gdzie spałam. Miał smak kurzu. A między tymi skromnymi posiłkami był sąd i ta klatka... i wilk”. Na wspomnienie o nieszczęsnym zwierzęciu jakby strzała przebiła serce Alys. „To kara za okropność, którą popełniłam – wyzułam go z ducha, więc mnie pozbawiono smaku”.

– Parę dni temu.

Beti pokręciła głową. Znów wzięła długi łyk. Pawł dołał sobie i wysączył resztkę z kubka Beti.

– Przeżyłaś wstrząs – stwierdziła Beti. – To pewne. Ci skwaszeni defaidianie... mogę sobie tylko wyobrażać, jak cię potraktowali. Usłyszeliśmy, co się zdarzyło, gdyśmy wrócili tam nazajutrz. Bałam się, że Pawł zrobi tym Starszym coś złego... Cian i ja ledwie go powstrzymaliśmy. A potem zaraz wsiedliśmy na wozy i przyjechaliśmy tutaj.

– Mówię Beti: „Wiem, gdzie poszła. Z powrotem do Gwenith. Do domu”. No i czy nie miałem racji?

– Miałeś! – Roześmiała się Beti. – Jakże by inaczej?

– Dobre dziecko – rzekł Pawł, poklepując Alys po ramieniu. – Odpoczniemy tu jeszcze, no a rankiem, wzmocnieni, wyruszymy do Pysgod. Trzeba nam więcej ryb, prawda, skarbie? – Założył Beti za ucho niesforny kosmyk włosów. – Lubię handlować przy chłodnej

aurze. A ta zima strasznie się przeciąga. Właściwie to powinna już być wiosna. Ale to nam sprzyja. Zimno wprawia ludzi w desperację. Niektórzy z naszych ziomków wolą handlować wiosną, latem, bo się nie marznie i jeździ się szybciej. A według mnie najlepiej wtedy powygryzewać się na słońcu w domu; zimą zaś należy niecznie wykorzystać każdego zgłodniałego wieśniaka. Czy nie tak ci zawsze mówię, Beti?

– Owszem. – Beti zachichotała.

Gdy gawędzili, Alys uśmiechała się do siebie. Wyobraziła sobie, jak wszyscy czworo jadą do Krainy Jezior i co będzie potem, jak jej tam będzie. Niczym nic los rozsunął przed nią wizję życia w nieogarnionym ekstatycznym szczęściu.

Wtem nic splątała się – i Alys sobie przypomniała, dlaczego jest tu, zamiast w Defaid. „Pożeram dusze. Jestem zła. Ciekawe, kiedy Beti i Pawl się zorientują. Kiedy Cian ujrzy we mnie potwora. A gdybym... Kto wie, czy któregoś z nich nie zamorduję? A jeśli ten wilk, Ffordd i Cerys byli początkiem zbrodniczego dzieła... i wolno zmieniam się w takie stworzenie jak Angelica i Benedicta? A jeśli nie mogę jeść dlatego, że nie łaknę już zwykłych pokarmów?!”

– Wprowadzę cię w tajniki handlu. Będzie z ciebie nielicha handlarczka. – Pawl puścił do niej oko.

– Nie mogę jechać z wami do Pysgod.

Cian zerknął na nią, marszcząc brwi, bez słowa.

– Co takiego? – zdumiała się Beti. – Jasne, że jedziesz. Niby gdzie byś się miała podziać?

Alys zaczerwieniła się.

– To nie tak, że nie mam ochoty. Zawsze chciałam zamieszkać z wami w Krainie Jezior, ale... – Rozejrzała się. – Może powinnam zostać tu. Może to jest moje miejsce, sama nie wiem.

– Ależ nie. Nie. Dzieeeecko, co robiłabyś w tej wiosce duchów?

– Duchów tu nie ma. – Pawł upił łyk z kubka. – Zadbaj o to pożeraczki... Gdzie nie ma duszy, tam i ducha nie ma. Dopadnie cię taka, bach! I już po tobie.

Cian spojrzał na niego ponuro.

– Nie boję się tu – powiedziała Alys. – Tutaj przyszłam na świat, prawda?

– Nie zostaniesz tu, koniec dyskusji, dziecko.

Głos Pawła jeszcze nigdy nie brzmiał tak stanowczo. Alys chciała mu ustąpić, ulec, ale wewnętrzny głos jej na to nie pozwalał.

– Posłuchaj Pawła – rzekła Beti. – Jeszcze ten ziąb... Pomyślałaś o tym, dziecko? Będziesz marzła, a co z jedzeniem? Bez obrazy, ale nawet ja bym sobie tu nie poradziła. Nie wspominając już o... Sama wiesz, jakie tam czyhają stwory. – Zerknęła ku drzwiom, jakby za nimi coś się kryło. „Nie ma pojęcia – pomyślała Alys – że właśnie siedzi naprzeciw jednego z takich stworzeń”.

Alys kusilo, aby z nimi jechać, ale nie mogła. „Nie, nie, nie pojedę”.

Wtem poczuła na sobie wzrok Ciana.

– Powinnaś jechać. – Wypowiedział tylko te dwa słowa.

Serce jej ścisnęło się i rozluźniło. Jeszcze raz. Znowu dreszcz. I znowu ciarki.

– Więc postanowione – rzekł Pawł i skinął do nich głową.

Alys ogarnęło uczucie ulgi, przyjemne jak ciepła kąpiel. Już nie musiała podejmować decyzji. Ani przekonywać ich, by pozwolili jej tu zostać. Nie zgodziliby się, a ona tak naprawdę tego nie chciała. „Muszę być dobrej myśli, jak zwykle. Mieć nadzieję, że utrzymam na wodzy czającego się we mnie demona. A jeśli nie... to cóż, ucieknę. Ale zawsze warto spróbować. Choćby na krótko może uda mi się zaznać życia w szczęściu...”

– Jasne, że postanowione. – Beti uśmiechnęła się i pogładziła Alys

po ręce. – Od początku nikt z nas w to nie wątpił. – Uniosła kubek i wypila do dna.

Pawl i Beti mówili o handlowaniu, o każdej z wiosek, które miała zobaczyć z nimi Alys, o różnych miejscach, które planowali jej pokazać. Powieki Alys opadały, a gdy słowa Pawła i Beti zaczęły zmieniać się powoli w bełkot, przyszło jej na myśl, że może już usnęła i tylko sobie to wszystko wyobraża. Lecz ich głosy przybierały na sile, stawały się coraz bardziej natarczywe, a gdy Alys już-już zamykała oczy – na przeraźliwy rechot Beti poderwała się z krzesła.

Pawl wypił długi łyk i machnął kubkiem w stronę Beti.

– A nie mówiłem ci, skarbie, że na sto procent znajdziemy tu panienkę? I tak się stało, nie inaczej, racja? Wiedziałem, że nie spalą mojej panny. Do pokonania jej za mało jest tam tych ściśniętych zadków... Cud, że mając tak zasznurowane tyłki, defaidianie dają radę chodzić prosto. Powinni się przewracać. Cud, że nie srają nosem, no bo jak inaczej? Nie tak mówię, Beti?

– Mhm – Beti się zaśmiała. – Mówisz.

Z Pawłem działo się coś dziwnego. To już nie był ten subtelny człowiek, znany Alys. A głos Beti – jazgotliwy naraz i chrapliwy – dosłownie ranił jej uszy. Spojrzawszy na Ciana, Alys zobaczyła, jak, spochmurniały, zaciska z całej siły usta.

– Zachowuje się ta banda tak, jakby nie srali na brązowo ani dupą tak jak się należy. Ale my wiemy swoje, prawda, moja panno? – Pawł dał kuksańca Alys, która się cofnęła.

Beti zachichotała, kaszląc, po czym wzięła łyk z kubka. Pawł grzmotnął w stół, by zwińczyć żart, a Cian przymknął oczy.

Atmosfera w izbie ochłodziła się, Alys poczuła to na skórze. Cian, który – gdy się obudziła – sprawiał wrażenie serdecznego, na jej oczach jakby skamieniał. Pawł i Beti zaś, przybrawszy dziwną, karykaturalną formę, za długo śmiali się, a wypytyjąc, nie czekali

wcale na odpowiedź. Alys sądziła, że będą ciekawi, czym zasłużyła sobie na tak straszną karę, ale oni chyba o tym zapomnieli. „O mnie też...” Pili tylko, dolewali sobie przejrzystego płynu, rozmawiali coraz głośniej i coraz mniej zrozumieli.

„Szkoda, że tak łatwo im uległam. Że nie uparłam się, by jednak tutaj zostać. Kim są właściwie ci ludzie? Czy tego naprawdę chciałam? Nic już nie wiem... Popęłniłam błąd, czy po prostu siebie nie znam?...” Zatęskniła za ojcem i matką. I za spokojem domu w Defaid. Zatęskniła za monotonią życia z nimi, niewesołego wprawdzie, ale pewnego. Świat Pawła i Beti objawił jej się jako podejrzany. Niesolidny.

Cian sięgnął po korek i zatkał nim butelkę.

– Starczy. Rozpalę ogień na noc. Czas już się położyć.

Powiódłszy wzrokiem za rękami Ciana, Pawł spochmurniał, jakby szykując się do sprzeczki, po czym wzruszył tylko ramionami.

– Chodź, Beti – powiedział.

Beti obejrzała się na palenisko, mrużąc oczy, jakby nie widziała ostro.

– No ale trzeba pozmywać.

– Ja się tym zajmę – rzekł Cian.

Beti wstała od stołu, prostując się z wysiłkiem.

– Dobry z ciebie chłopak. Błogosławię dzień, w którym cię znaleźliśmy.

Zaczepiła stopą o nogę krzesła, tak że omal nie upadła, ale Alys zerwała się w ostatniej chwili i złapała ją. Gdy Beti ciężko westchnęła i burknęła coś pod nosem, Alys poczuła od niej znajomy zapach. Nie od razu przypomniało jej się, że jest zbliżony do zapachu płynu, którego ojciec używał do rozpuszczania wapna przed malowaniem drzwi i płotów. Marszcząc nos, opanowała odruch ucieczki. Beti zarzuciła jej rękę na ramię. Alys

podprowadziła ją do najszerszego z leżących na podłodze trzech sienników. Beti osunęła się na siennik i bezradnie gmerała przy sznurówkach, więc Alys pomogła jej rozwiązać buty. Ku przerażeniu Alys, Beti rozebrała się do halki, odsłaniając przy tym wielkie zwały tłuszczu. Alys odwróciła oczy, kiedy Beti wczołgała się pod koce i, ułożona na wznak, zaczęła głośno chrapać. Pawłowi udało się zdjąć buty samodzielnie. Kiedy sięgnął do paska spodni, Alys umknęła na drugi koniec izby. Po chwili już Pawł i Beti chrapali unisono.

Alys popatrzyła w ich stronę. Pochylony nad Pawłem Cian wsunął ręce pod plecy i uda Beti.

– Co robisz?

– Obracam Beti na bok, żeby się nie zakrztusiła na śmierć, jeśli w nocy zwymiotuje. – Cian jęknął cicho pod ciężarem Beti, po czym się wyprostował.

– Coś jej dolega?

Cian spojrzał na nią, marszcząc ciemne brwi.

– Upiła się. Nie widziałaś nigdy pijaków?

– Ten płyn z dzbanka tak na nich podziałał?

– Mhm.

Cian siadł za stołem i zjadł zostawioną przez Alys grzanekę, wycierając palcem okruchy z talerza i oblizując palec. Odkąd Beti i Pawł się położyli, znów sprawiał wrażenie spokojnego i serdecznego.

– Czemu to piją, skoro później źle się czują?

– Bo to, co czują, pijąc, sprawia im przyjemność. – Zwracając się do Alys, Cian patrzył jej prosto w oczy.

Alys stwierdziła, że żadną miarą nie mogłaby mu patrzeć w oczy i równocześnie mówić z sensem. Skierowała wzrok na palenisko.

– A co wtedy czują?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Cian.

– Gdy piją, zachowują się straszliwie głośno – rzekła Alys.

Cian roześmiał się.

– Można to i tak ująć. – Wstał i ułożył brudne kubki i talerze w zgrabny stosik.

– Chętnie pozmywam – zaofiarowała się Alys.

– Nie trzeba. Zostawię je do rana. – Rozpalił ogień i się przeciągnął.

Alys kręciła się niepewnie przy sienniku. Prostopadłym do posłania Ciana. „Bardzo blisko...” Chciała zdjąć buty, pończochy i sukienkę, lecz na myśl, że ma to zrobić w obecności chłopca, twarz jej oblał rumieniec wstydu. Krępowало ją, że będą spać obok siebie w jednej izbie.

Kiedy ukradkiem zerknęła na Ciana, okazało się, że patrzy na nią, a z jego miny znów niczego nie da się wyczytać.

– Pójdę napęlnić dzbanek śniegiem, żebyśmy rano mieli wodę na herbatę.

– Aha – odpowiedziała Alys.

Minął ją i zniknął za drzwiami wraz z potężnym podmuchem wiatru. Alys prędko rozsznurowała buty, zdjęła pończochy i sukienkę, po czym w samej halce wśliznęła się pod pledy. Przymknęła oczy i podciągnęła pled aż pod nos. „Pewnie będę już spała, kiedy wróci” – pomyślała. „A jak nie, zawsze mogę udawać”.

Cian wniósł do chaty ziąb z pola. Alys, która obiecała sobie trwać w kamiennym bezruchu, wzdrygnęła się i szczerzej otuliła pledami.

– Wybacz – powiedział Cian. – Ale sam też trochę zmarzłem.

Alys zsunęła pled pod brodę, zerknęła na Ciana i zaraz odwróciła oczy.

– Yyy... dziękuję.

Roześmiał się.

– Nie zachowałem się zbyt grzecznie. Ale też musiałem się wysikać.

Alys zaczerwieniła się aż po korzonki włosów. Poczowała się tak głupio i nieswojo, jak zawsze w obecności Cerys albo innych dzieci z Defaid, które stale się podśmiechiwały. „Nie pamiętam, kiedy się ostatnio śmiałam... Odkąd opuściłam Gwenith jako siedmiolatka – ani razu. Bo niby co miałyby mnie bawić od tej pory?”

Cian siadł na swoim sienniku.

– Słuchaj, Alys. Zaraz zdejmę spodnie. Jak chcesz, możesz sobie popatrzeć, a jak nie, to zamknij oczy. Zrobię to tak czy owak. Stwierdziłem, że lepiej cię ostrzec.

Alys zamknęła oczy. Jednak przemożna chęć zobaczenia, jak chłopiec wygląda rozebrany, znów przyprawiła ją o miłe dreszcze. Zacisnęła powieki mocniej. Usłyszała szelest pościeli i westchnienie.

Alys otworzyła oczy. Izbę rozjaśniał tylko oranżowy blask płomieni. Cian leżał zwrócony nogami do paleniska, a gdyby Alys

wyciągnęła rękę, z łatwością dotknęłaby jego głowy. Tak blisko kogoś Alys spała dotąd tylko raz – obok Rena, małego dziecka. Cian zaś niewątpliwie dzieckiem nie był.

Zupełnie odechciało się jej spać. Czując się coraz lepiej, wracała do swych dawnych rytarów. Noc oznaczała obserwację, a tu nie było nic do oglądania. Nic prócz ognia i bujnej czupryny Ciana na poduszce. Zapatrzona w ogień, Alys pomału odpływała w ciszę. Czekwała, aż Cian zaśnie, aby móc rozluźnić mięśnie brzucha, które napinały się, ilekroć chłopiec wchodził do izby.

Cian jednak wciąż oddychał niemiarowo. Alys była pewna, że nie śpi. Odwróciwszy się, spostrzegła refleksy ognia w jego rozwartych szeroko, ciemnych oczach.

Czując, że Alys go obserwuje, Cian ułożył się na brzuchu, po czym oparł podbródek na złożonych rękach i spojrzał na nią.

– O co tam poszło, siostró Alys? Czemu ci defaidianie potraktowali cię tak podle?

– Nie nazywaj mnie tak. – Alys skierowała wzrok na ogień.

– A nie tak nazywają młode damy z Defaid? – Cian nie zaśmiał się, choć jego głos pobrzmiwał rozbawieniem.

– Nie jestem damą z Defaid. – „Jestem zmorą, ale nie powiem ci tego”. – Nie dajesz mi spać.

– Kłamczucha. Dawniej nigdy nie sypiałaś w nocy.

W tej samej chwili Pawł zachrapał głośno, po czym krzyknął, jęknął i zamruczał. Alys była pewna, że Beti obudzi się, ale się nie obudziła.

– Jak Beti śpi w tym hałasie?

– Cudownym zrzędzeniem alkoholu, nadobna Alys. Jak sobie dobrze popijają, nie czują w nocy bólu i nie słyszą krzyków.

Wbrew sobie Alys nie spojrzała na Ciana. Ze wzrokiem utkwionym w płomieniach nadal słuchała jego głosu.

– Jak to się stało, że z nimi jesteś?

– Przyjęli mnie, gdy zeszłego lata znalazłem się w Krainie Jezior.

– Skąd przybyłeś?

– Z gór. Mieszkałem tam z rodzicami.

– Gdzie się podziewają? – Alys przełękła się, że zna odpowiedź. „Że też się nie zastanowiłam”.

Cian milczał długo.

– Nie żyją. Tak samo jak twoi.

Na to nie mogła nie spojrzeć mu prosto w twarz.

– Pożeraczki dusz...?

– Szliśmy polować na jelenie. Rozbiliśmy obóz na polanie w lesie. Zamknęliśmy się w namiotach. Oni w jednym, ja w drugim – i spaliśmy. Śniło mi się, że śpiewają mi dwie piękne kobiety o potarganych włosach. Przepływały wśród drzew, wiesz, jakby unosiły się nad ziemią. Gdy przebudziłem się nazajutrz, cały dygotałem. Mój namiot był uchylony. Namiot rodziców też. Oboje leżeli w nim nieżywi. Z wybałuszonymi oczami i otwartymi ustami.

– Co zrobiłeś?

– Uciekłem. Biegłem jak szalony, nie pamiętam już, jak długo. Dzień, dwa dni. Aż dotarłem do Krainy Jezior, gdzie napotkałem Beti i Pawła.

Alys obróciła się i jak Cian wsparła brodę na skrzyżowanych rękach. „Ileż smutku skrywa ten chłopiec pod maską wesołości i spokoju...” Jego żal nieomal namacalnie wypełnił nagle przestrzeń między nimi. „Ale nie chce, bym pytała go o smutek. Z jakiejś przyczyny woli zachować go dla siebie... Hmmm”. Zapragnęła dowiedzieć się, gdzie bywał i co widział, w nikłej nadziei, że jej też będzie kiedyś dane to zobaczyć.

– Jak jest w górach?

– Powietrze pachnie tam inaczej. – Cian przymknął i po chwili znów otworzył oczy. – Sosnami i zimną wodą. W Krainie Jezior przeważnie ludźmi. Lubię ich. Ale męczy mnie ich zapach.

– Może więc byś wyjechał?

– Dokąd niby? Całe Byd znam prawie już na wylot. Byłem w Pysgod, Tarren, nawet w górach. Ale wciąż trzymam się Pawła i Beti. Bywają trudni, ale o mnie dbają. Przywykłem do nich. I choćbym nie wiem jak miał dosyć tego ich pijaństwa, nie potępiam ich, bo wiem, dlaczego piją. Z tego samego powodu, dla którego ja nie zapalam nigdy światła w samotności.

Alys wstrzymała oddech, domyślając się, co usłyszy, ale i tak zapytała:

– Co to za powód?

– Śpiewy i szepty – odparł Cian i, kładąc się z powrotem na wznak, wpatrzył się w sufit. Alys znów widziała teraz tylko jego czarne włosy. – Śpiewają nocą. Pożeraczki dusz, Alys. Tak jak wtedy, gdy zabiły mi rodziców. Kiedy śpiewają i szepcą twoje imię, masz wrażenie, jakby coś ci przewiercało głowę. Jak tylko możesz, starasz się wtedy nie krzyczeć.

Alys ogarnęło przemożne pragnienie wyciągnięcia ręki i dotknięcia jego włosów.

– Więc dlatego Pawł i Beti piją? Żeby nie usłyszeć tego śpiewu?

– Dlatego piją wszyscy – odpowiedział Cian.

– Myślisz, że to coś daje?

– Sen pijaka jest głębszy, powiadają. Ale ja jednak wolę być trzeźwy.

– Dla mnie to ich picie jest paskudne – rzekła Alys.

– Nic dziwnego. W Defaid pewnie mało kto pije. A my, w Krainie Jezior, nie mamy ogrodzenia, Alys. Nic nas nie chroni. Nijak nie da się ustrzec przed tym śpiewem. Jesteśmy całkiem sami wobec

nocy. – Cian obrócił się na bok, twarzą do ściany, i odtąd już się nie odzywał.

Wstali przed świtem. Pawł i Beti nie odzywali się prawie, dopóki nie wypili kilku kubków wrzącej wręcz herbaty. Alys pomagała przy śniadaniu, złożonym z placuszków, które Beti uformowała z suszonej ryby i tłuczonych ziemniaków, a później usmażyła nad ogniem na wysmarowanej smalcem patelni. Stwierdziwszy, że jedzenie nie jest tak odpychające jak poprzednio, Alys wmusiła w siebie aż połowę porcji – i dopiero wtedy odsunęła talerz.

Wyruszyli o wschodzie słońca, Beti z Pawłem jednym wozem zaprzężonym w dwa silne konie, a Alys z Cianem drugim. Pawł oznajmił, że do Pysgod powinni dotrzeć za dwa dni i że co wieczór przed zmrokiem będą rozbijali obóz.

Dzień był bezchmurny i zimny. Alys owinęła szalikiem głowę i szyję, zostawiając odkryte tylko oczy. Co pewien czas zsuwała szalik, by odetchnąć rześkim powietrzem i znowu szczelnie zasłaniała twarz. Ogarniając wzrokiem horyzont, drzewa i nieprzeniknioną leśną gęstwinę po obu stronach drogi, wiedziała, że nie ma sensu wypatrywać teraz pożeraczek dusz. Za dnia się nie pokazywały. Mimo że zachowywała czujność, prócz przemykających niekiedy ciemnobrązowych jeleni nigdzie wkoło nie spostrzegła ruchu. Jedynym zaś dobiegającym ją odgłosem było krakanie głodnych czarnych wron, które poobsiadały drzewa.

Rano, zanim jeszcze wyruszyli, Alys naszała obawa, że Cian może będzie chciał z nią pogawędzić. Rozmawianie z chłopcami o błahostkach nie było jej mocną stroną. Tymczasem zaległa między nimi cisza – nie kłopotliwa, tylko przyjemna. Chłopiec wydawał się szczęśliwy, że siedzi przy niej, powozi i oddycha pełną piersią. Tak

upływały godziny.

Przystanęli, żeby odpocząć, nakarmić konie i pójść za potrzebą. Alys zagłębiła się w las, więc Pawł zaczął wołać, by uważała, bo dojdzie aż do Pysgod. Gdy wróciła i ruszyli dalej, zapytała:

– Jak wygląda Pysgod?

– To zwykła wioska jak każda inna.

– Nie znam innych wiosek.

– Jasne – odparł Cian. – Większa niż Defaid. Bardziej ruchliwa przez port i łodzie. Pysgodianie wędrują wprawdzie dalej od defaidian, ale nie dlatego, że są tak odważni. Pływają łodziami w górę i w dół rzeki, ale – jak ci tchórze z Defaid – zawsze starają się wrócić przed zmierzchem. Ogrodzenie zbudowali w taki sposób, że z jednej strony otwarte jest na wodę. Pewnie sądzą, że pożeraczki dusz nie potrafią wiosłować. – Roześmiał się i uciszył, a potem popatrzył na Alys. – To nie boli, wiesz? – rzekł po chwili.

Alys okryła się rumieńcem. Znała już tę minę Ciana; wiedziała, że się z nią przekomarza.

– Co nie boli?

– Uśmiech, pogoda. Chyba jeszcze nie widziałem twoich zębów. Masz je w ogóle? Jeśli nie, to żaden wstyd. Kilka znanych mi piękności z Jezior nie ma zębów i żyje.

– Mam zęby – odparła Alys.

– Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę.

Czasami rozbawiała Alys matka. Na swój sposób była bardzo dowcipna. Alys prędko wyrzuciła tę myśl z głowy.

– W życiu niewiele jest powodów do uśmiechu. – „Pod tym względem przypominam matkę” – pomyślała.

Cian nie spuszczał wzroku z drogi.

– W tej kwestii mylisz się, nadobna Alys, i to grubo.

Kiedy rozbili obóz, Cian rozpałił ognisko, a Beti położyła pledy na kilku kłodach i niskich głazach, aby każde miało miejsce do siedzenia.

– Całe szczęście, że nie sypie – rzekł Pawł. Powtórzył to parę minut później. Alys zdążyła już oswoić się z tym, że Pawł mówi wszystko po dwa, a nawet po trzy razy.

Na kolację zjedli chleb i fasolę z baraniną. Beti i Pawł pili też. I pili.

– Moja miła – poprosił Pawł Alys – musisz nam jeszcze zdradzić, jak napędziłaś stracha defaidianom.

Wszyscy troje spojrzeli na nią równocześnie. Znów nie wiedząc, gdzie podziąć oczy, Alys skupiła wzrok na ognisku.

Z bezliku mrozących krew w żyłach odpowiedzi wybrała najmniej straszną, ale i prawdziwą.

– Zobaczyłam coś, czego zobaczyć nie powinnam.

– Zawsze tak jest – odparła Beti. – Dziewczyna widzi to, czego jej nie wolno widzieć, więc od razu robią z niej czarownicę. – Cmoknęła, pokręciła głową i napiła się.

– A kogóż to przyłapałaś? – Zezując w stronę Alys, Pawł napełnił ponownie kubki.

– Syna Najstarszego z dziewczyną.

– Ahaaa – odrzekł Pawł. – No to chyba wiemy, co kombinowali.

– Podejrzy człowiek coś takiego, a ci go palą – rzekła Beti.

Podczas rozmowy ona i Pawł wychylali kubek za kubkiem. Cian próbował zakorkować i odstawić dzbanek, ale Pawł odganiał go – półzartem, później agresywnie. Jak minionego wieczoru atmosfera gęstniała z każdą chwilą. Twarze Pawła i Beti zmieniły się, oczy obojga stały się szklane, niewidzące.

– Starczy już – rzucił Cian. – Czas się położyć. – Zatkanął wreszcie

i podniósł dzbanek.

Z szybkością, o jaką Alys go nie podejrzewała, Pawł zerwał się na nogi i, wyrywając dzbanek z rąk Ciana, pchnął go tak mocno, że ten spadł z głazu, na którym siedział.

Pawł – jak nie on – aż cały spurpurowiał z gniewu i niespodzianie jakby nabrał mięśni, ciała. Cian wstał, ale nie zbliżał się do niego. Pawł chwiał się, usiłując złapać równowagę.

– Co tak zgrywasz ważniaka, chłopcze, co się tak nadymasz? Masz się za lepszego, bo nie musisz głuszyć śpiewów wódką. Ale poczekaj. Niech tylko minie parę lat... Niechże pojęczą ci tak one w ucho trochę dłużej. Znajdź więcej sierot zapłakanych nad zwłokami matek, ojców. A wtedy się okaże, jaki z ciebie chojrak. Sięgniesz po dzban, a ja pierwszy wtedy ci naleję.

Ogień przygasł, niebo poczerniało. Na twarzach mężczyzn igrały płomienie. Pawł stłumił w sobie gniew, złagodniał i siadł przy Beti, po czym odkorkował dzbanek i napił się z gwinta. Beti opadły powieki. Nawet nie drgnęła podczas sprzeczki mężczyzn. Kiedy Pawł szturchnął ją łokciem, burknęła coś, otworzyła oczy i natychmiast je zamknęła.

Cian opuścił ramiona i popatrzył na Alys.

– Dziś mogą sobie spać razem. Niech się nawzajem oszczają. – Podszedł do Beti i chwycił ją pod pachy. Pawł zaprotestował, ale już bezsilnie, i po chwili zatracił się w picciu. Alys pomogła Cianowi podprowadzić Beti do wozu. Gdy podsadzili ją i wlaźła do środka, zaczęła bezwiednie pełzać na czworakach.

– Beti – powiedział Cian – przykryj się, bo zamarzniesz.

Machnęła do niego ręką, na znak podziękii, sympatii, złości – nie wiadomo. Alys weszła za Beti, krzywiąc nos na jej paskudny oddech. Zdołała jakoś owinąć ją w skórę, podważyła kolanem i obróciła na bok, aby się nie zakrztusiła.

Gdy zeszła z wozu, Cian się uśmiechnął.

– Nabierasz wprawy w opiece nad lumpami.

Alys zbliżyła się do Pawła, który siedział zapatrzony na dogasające resztki ognia. Gdy ona drżała, Pawł zdawał się nie dostrzegać chłodu.

– Pawł... – Musnęła jego ramię, po czym prędko wycofała rękę. Podniósł na nią załzawione oczy. – Pora spać. Czeka na ciebie Beti.

– Mhm – odparł Pawł. – Porządna dziewczyna.

Alys nie wiedziała, czy ma na myśli ją, czy Beti, tak czy owak podniósł się w końcu, trzymając pod pachą dzbanek. Chciała go podtrzymać, gdy odskoczył naprzód i na chwiejnych nogach ruszył w stronę wozu, gdzie leżała Beti.

Kiedy Cian wygaszał ogień, Alys poszła prosto do pustego wozu. Wspiąwszy się do środka, rozwiązała buty, zdjęła palto i wczółgała się pod skóry i koce. Została w sukience i pończochach.

Po chwili usłyszała odgłos kroków Ciana. Chłopiec przysiadł na krawędzi wozu, ściągnął buty i płaszcz, a potem jak ona położył się i przykrył.

Ułożona na boku, Alys miała przed oczami ściankę wozu. Odsunęła się od Ciana jak mogła najdalej, tak że niemal przywierała twarzą do naczyń, siodła i worków z ziemniakami. Jednak sama świadomość, że Cian jest przy niej, wprawiła jej serce w oszalały trzepot.

Wtem klepnął ją w ramię.

– Tak? – odpowiedziała.

– Zamienisz słówko?

Skryła uśmiech w dłoni i – pewna, że zniknął – odwróciła się do Ciana, który był czarnym cieniem obok, czarniejszym od otaczającej go ciemności.

– Chodzi o to, powabna Alys, że mamy spać obok siebie w tym tu wozie, a ja muszę pogawędzić z dziewczyną, zanim przy niej usnę, taki to mam zwyczaj. Skoro zaś oboje nie sypiamy dużo, byłoby miło sobie troszkę porozmawiać.

Alys ucieszyła się, że Cian nie widzi teraz jej miny.

– Dobrze. Opowiedz o Krainie Jezior.

– Jest tam bardziej płasko niż tu. Płasko tak, że bardziej już się nie da. Ale gdy podniesiesz głowę, zobaczysz w dali góry, skąd pochodzę. Jezior jest zaledwie pięć, a między nimi wiją się strumienie. Są też trawiaste moczary. Płytkie tak, że można po nich chodzić, jak kto lubi nurzać się po kostki w mule. Miejscami tak głębokie, że da się wiosłować, a nieraz tak, że – nie patrząc pod nogi – człowiek tonie, wciągnięty przez ten szlam. W Krainie jest mokro, nadobna Alys. Baaardzo mokro. Czasem trudno dać wiarę, że się wyschnie.

– Więc ci się tam nie podoba?

– Źle mnie zrozumiałaś. Uwielbiam to miejsce. Kocham wszystko, co się wiąże z wodą. Według Beti przyszedłem na świat jako ryba, a później dopiero wyrósł ze mnie chłopak. – Cian zaśmiał się pod nosem, a Alys wyobraziła sobie, jak wygląda, kiedy się śmieje.

– Wszyscy troje mieszkacie w miasteczku?

– To niezupełnie takie miasteczko, o jakim pewnie myślisz, Alys. Na czas przyływu jedziemy z namiotami tam, gdzie nie dosięga woda, jak najwyżej. A gdy jest odpływ, obozujemy nieopodal brzegu, żeby być blisko wody i ryb.

– I tak bez domu...?

– Wędrujemy. Wciąż się przenosimy. No a domu przenieść się nie da. Zresztą w namiocie mieszka się przyjemnie. Tak przyjemnie, jak jest nam tutaj.

„Rzeczywiście jest miło” – pomyślała Alys. „Bardzo miło”.

– Byłeś nad morzem? – Przypomniało jej się marzenie Rena, by mieszkać w górach, w domu z widokiem na otaczający Byd bezkresny lazur. I przypomniało jej się pożegnanie z Enid. „Pewnie nigdy nie zobaczę dzieci z Gwenith, chociaż...” W sercu Alys zatliła się nadzieja, że Enid, Madog i dzieci opuszczą Defaid i ją znajdą. „Nie, to niemożliwe. I nie dziwię się im. Na ich miejscu chyba bym się obawiała stamtąd ruszyć...”

– Widziałem je. Nie z bliska, ale zawsze – odparł Cian. – Coś pięknego. Kiedyś się tam wybiorę. Chcę poznać całe Byd, tyle jeszcze jest miejsc do zobaczenia!

„Całe Byd, a nawet więcej. Niewyobrażalne... Ale też bym chciała. Chciałabym podziwiać Byd z Cianem”. Alys nagle zrobiło się gorąco. „Może wcale nie muszę być sama. Jeszcze przed chwilą nie powstało mi to nawet w głowie. Nie przypuszczałam, że to będzie realne”.

Znowu umilkli, a ich oddechy się zrównały. Wydech, wdech... Oczy Alys zaczęły się zamykać. Wydech, wdech... oddychali jednocześnie, otaczając się ciepłymi obłokami.



Alys otworzyła oczy. Usnęła, ale nie wiedziała kiedy. Słyszając oddech Ciana, przypomniała sobie, że śpi przy niej.

Zupełnie rozbudzona, poczuła, że będzie leżeć teraz godzinami bez snu. Nagle dał jej znać o sobie pęcherz, boleśnie pełny. Kładąc się, była tak niespokojna, że nie ośmieliła się oddalić za potrzebą. Teraz ledwie już znosiła niewygodę. „Nie ma mowy, bym wytrzymała do rana”. Wymacała po ciemku palto i buty, z trudem włożyła je i wysliznęła się z wozu.

Śnieg tak migotał i bielił się w blasku pełni, że Alys musiała zmrużyć oczy. Chciała kucnąć od razu przy wozie, ale się wstrzymała na myśl, że Cian jest w pobliżu. Popatrzyła na las. „Tylko parę kroków – pomyślała – tylko kilka, żeby mnie tu ktoś przypadkiem nie podejrział”.

Gdy po dziesięciu krokach w gęstwą Alys zaczęła się zapadać w śniegu, stwierdziła, że jest już dość daleko i zatrzymała się. Za grubym drzewem, które oddziało ją od wozów, podkasła spódnice.

Podnosząc się, spostrzegła ruch wśród gałęzi przed sobą.

„Pewnie jeleni. Tylko one tu żyją. I jeszcze wrony”.

– *Aaaaaalyyyyyysss*

Ktoś nawoływał ją zza drzew, śpiewając.

– *Aaaaaalyyyyyysss*

– *Chooodź tuuuuuuuuu*

Wtem ruch przeobraził się w kształt. Ludzki.

Stał się chłopcem.

Znanym jej od dawna.

Pędząc wśród drzew, chłopiec wołał ją, wyśpiewał jej imię. Jego jasne, niemal białe włosy lśniły w księżycowym blasku. Poruszał się zwinnie jak królik.

Naraz wytknął głowę zza drzewa, uniósł szczupły palec i zgiął go w przyzywającym geście.

– *Choooooodź*

Alys poznałaby go na końcu świata. Delwyna, chłopca, z którym dorastała, który ocalił ją przed upadkiem z muru. Chłopca, któremu bracia nadali przydomek Królik. Chłopca, który uciekł, gdy pożeraczki dusz zabiły mu braci.

„Tylko że Delwyn powinien teraz nie żyć – albo mieć piętnaście

lat. Innej możliwości nie ma. Ten chłopiec to jeszcze dziecko. Ale i Delwyn” – pomyślała Alys.

Uśmiechając się do niej, malec przyzywał ją zgiętym paluszkiem.

Stała na śniegu jak wryta.

Wtem białowłosy chłopczyk, który był Delwynem, chociaż być nim nie mógł, ruszył ku niej. Zauważyła, że przemieszcza się tak prędko, bo idąc, prawie nie dotykał ziemi.

Unosił się.

I zbliżał...

Alys potrząsnęła głową, zasłoniła dłońmi uszy i, potykając się, pognąła z powrotem w stronę wozu.

Włazła do środka i zagrzebała się w kocach i ubraniach.

Nasłuchiwała wciąż. Wbrew sobie. Zapragnęła nigdy już niczego nie usłyszeć. Chciała ogłuchnąć, aby znowu nie usłyszeć śpiewu. Przeszywał ciemność i drażnił jej uszy, kaleczył skronie i wlażył pod skórę.

– *Aaaaaalyyyyyysss*

Wstrzymała oddech.

– *Pooooodeeeeejdź*

Zamarła.

– *Braaaaaak miiiiii cieeeeebieeeee, Aaaaaalyyyyyysss*

Wyciągając rękę na oślep, Alys natrafiła na skórę. Niewyobrażalnie ciepłą. Powiodła palcami po szyi Ciana, położyła dłoń na jego mostku. Poczowała, jak mu bije serce... A potem jego dłoń na swojej.

– Słyszysz ich śpiew, Alys? – spytał Cian.

– Tak – szepnęła. Chciała mu powiedzieć, że to jej przyjaciel Delwyn. Że sierota z Gwenith jest stworem, który pożera dusze. Chciała powiedzieć, że dobrze wie dlaczego. Jak serce może

zgorzknieć, stać się podłe. Jednak słowa spopielwały jej w ustach.

Cian przytknął drugą dłoń do głowy Alys, musnął jej ucho.

– Nie słuchaj; udawaj, że to wiatr – powiedział.

„Dobrze”. Nie odrywając dłoni od jego mostka, udawała, że to wiatr. „Jeszcze nie czułam tak wielkiego ciepła” – pomyślała.

Wtedy nagle ją pocałował; czule, subtelnie, mocno. „Słodczy i smutek naraz, nie wiadomo czyje...” Pocałował ją po raz drugi.

Nazajutrz rano wszyscy milczeli. Pawł był zmieszany, Beti zagubiona. Alys czuła się niezręcznie. Kiedy Cian parzył herbatę – odpędzała wspomnienie dotyku i smaku jego warg. Na próżno.

Gdy wyruszyli, zauważyła osobliwą ciszę wkoło. Leśne ptaki i inne stworzenia umilkły. Słyszać było tylko koła wozu. Parskanie koni. Stukot kopyt. Topnienie. Ocieplało się szybko, długa zima wypuszczała ziemię z lodowatych szponów. Pnie drzew poczerniały wilgocią, a śnieg miękko osuwał się z gałęzi.

Po dwu godzinach, nieco przed południem, ciszę przerwał nowy odgłos – stłumiony, rytmiczny, przyspieszony. Tętent. Ktoś gnał za nimi drogą. Jeździec. „Skoro jest z tyłu, musiał przybyć tutaj z Defaid”.

Na znak Pawła Cian i Alys ściągnęli cugle. Wóz zwolnił i zatrzymał się. Pawł zeskoczył na ziemię i podbiegł do nich.

– Właź do środka i schowaj się, mała – rzekł do Alys.

Alys usłuchała go, ale też przyłożyła ucho do przedniej ściany wozu, za którą Pawł i Cian wypatrywali jeźdźca. Minuty wlokły się jak wieczność, gdy serce Alys szamotało się w piersi.

– Hej, hej! – zawołał Pawł.

– Hej! – odkrzyknął jeździec i, zziajany, przyhamował konia. – Nie mogę się zatrzymać, bracie. No nie mogę. Muszę jechać dalej.

– Jedź więc – odparł Pawł. – Nie będziemy ci przeszkadzać. Ale powiedz, skąd przygnało cię tu i gdzie zmierzasz.

– Z Defaid. Z tego, co zostało z wioski. Jadę do Pysgod. Jeśli się uchowała...

– Co się stało? – Alys usłyszała głos Ciana.

– Ogrodzenie poszło z dymem. – Alys знаła ten głos. Należał do jednego z synów Najstarszego – starszego brata Rhysa, Aleca, tego, który wyprawił się z kowalem.

– Nie może być – rozległ się głos Beti. „Zeszła z wozu, bo roznosi ją ciekawość” – pomyślała Alys.

– Prawdę mówię. W środku nocy. Pożar strawił je jak stertę liści. Później przyszły pożeraczki dusz...

– Pożeraczki dusz – powtórzył Pawł. – Widziałeś je?

– Raczej słyszałem – odpowiedział Alec. – Śpiewały dziwnie tak, szeptały i wabiły. Na moich oczach ludzie szli do lasu i znikali. Znikali, nim się dało ich zatrzymać. A potem... dzieciaki z Gwenith, które, wiecie, miały pilnować ogrodzenia, wstały jakby nigdy nic i sobie poszły. Po tym wszystkim, co dla nich zrobiliśmy, nie chciało im się zostać i nam pomóc.

Pawł pomrukiwał, kiedy Alec mówił. Potem zapytał:

– Poszły sobie? Wszystkie?

– Mhm. I to gdy myśmy próbowali gasić ogień, powstrzymać go, by nie rozprzestrzenił się na wioskę. No, na mnie pora. Muszę dotrzeć do Pysgod, poprosić, żeby nam przysłali wozy... Dla tych, co nie jeżdżą konno, abyśmy mogli się schronić za ich ogrodzeniem.

– Czekaj chwilę. Jak się nie napijesz, padniesz. – Beti najwyraźniej chciała poczęstować go herbatą.

– Skąd ten pożar? – odezwał się Cian.

– To sprawka wiedźmy imieniem Alys. Jednego z tych dzieciaków z Gwenith. Że jest pożeraczką dusz, okazało się niedawno, gdy napadła na jedną z dziewcząt z wioski. Zamknęliśmy ją i mieliśmy spalić, ale uciekła i nie zdążyliśmy.

– Wróciła więc i podpaliła ogrodzenie, tak? Niebywałe. – Głos Ciana. Beznamiętny. Zagadkowy.

– Miała krewnych? – zapytała Beti.

– Nie, prócz małżeństwa, które ją chowało. Kobieta zmarła. Otruła ją wiedźma. A mężczyzna wiedźmę uwolnił. Schwytaliśmy go, gdy wywoził ciało żony z wioski. Najstarszy twierdzi, że zamiary miał nieczyste...

Alys zagryzła kciuk prawie do krwi, zmuszając się do milczenia.

Alec przerwał, jakby spodziewając się kolejnych pytań. Nie doczekawszy się, oznajmił po chwili:

– Ukamienowaliśmy go. Zanim wybuchł pożar.

„Nieeee, nie, nieee, nieeeeeeeeeeeee”.

– Więc czarownica podpaliła wioskę, bo zabiliście jej ojca – podsumował Cian.

– Czarownice są mściwe – odpowiedział Alec.

– Bez wątpienia – rzekł Pawl. – Ale nie wolno nam cię zatrzymywać dłużej. Dziękujemy łaskawie za wieści.

Po chwili, kiedy odgłos kopyt ucichł, Alys wyszła z ukrycia i siadła w wozie obok Ciana. Spojrzeli na nią. Nie podnosząc głowy, raczej czuła ich spojrzenia, niż widziała.

– To potworność, co zrobili z twoim ojcem... – rzekła Beti.

– I tacy śmieją nas nazywać dzikusami – rzekł Pawl.

Cian ujął dłoń Alys. I nie wypuszczał, choć ta ścisnęła jego dłoń do bólu.

– Umarł przeze mnie – wyszeptała Alys.

– Niedorzeczność – odparł Pawl.

– Gdyby nie ja, ojciec żyłby. Zabili go za to, co zrobiłam. I z zemsty... że mnie uwolnił.

Beti klepnęła ją w kolano, mówiąc łagodnie:

– Skąd, dziecko. Nic podobnego.

– Powinnam była zabrać go ze sobą. Albo pomóc mu pochować

matkę. Nie powinnam była go zostawiać.

– Dziecko – odparł Pawł – chociaż nie znałem dobrze twego ojca, wiem, że nie zrobiłby niczego wbrew sobie. Chciał pochować żonę i zapewnić ci bezpieczeństwo. Nic ci nie grozi. A my dokładamy starań, żebyś była bezpieczna już zawsze.

– No a inne dzieci z Gwenith? Co się z nimi teraz stanie? Powinnam wrócić i poszukać ich, bo jeżeli wałęsają się po lesie... – Alys urwała na wspomnienie unoszącego się w powietrzu, nawołującego ją Delwyna. Świat zawirował jej przed oczami, ale udało jej się go poskromić, uspokoić. Gdzie podzieje się Enid z Madogiem? – Pysgod – powiedziała na głos. – Tam zmierzają. Tam kazała mi udać się Enid, kiedy opuszczałam Defaid. Jeszcze można by jechać do Pysgod, no i tam na nich poczekać.

– Przykro mi – rzekł Pawł, drapiąc się po brodzie i kręcąc głową – ale teraz byłabyś tam zagrożona. Nieważne, że my wiemy, że nie podpaliłaś ogrodzenia, Alys. Ten konny twierdzi, że tak. Pewnie zna cię z widzenia... Dobrze myślę?

– Mhm – przytaknęła Alys.

– Poza tym – dodał Cian – skoro dzieci z Gwenith porzuciły Defaid, w Pysgod też nie znajdą bezpieczeństwa. Defaidianie z miejsca by was oskarżyli o uprawianie czarów.

– Jazda tam nie ma sensu – orzekła Beti. – A może by do Tarren...?

– Lepiej nie – odparł Pawł. – Prędzej czy później wieść dotrze i do Tarren, więc myślę, że nie warto ryzykować. Wystarczyłby jeden żwawy jeździec. No a jak nie ośmielą się tam jechać konni, przekaze im to kupiec jakiś, prawda? Nie, nie. Alys trzeba zabrać do Krainy Jezior. To jedyne miejsce, gdzie będzie bezpieczna. Defaidianie się tam nigdy nie wybiorą. Skądinąd nie wiem, co bardziej ich przeraża: pożeraczki czy mieszkańcy Krainy. – Zachichotał, na co Beti rzuciła mu gniewne spojrzenie.

Dyskusja ta toczyłaby się jeszcze długo, gdyby Alys nie uznała, że najwyższy czas ją zamknąć.

– Nie mogę jechać z wami. Muszę odnaleźć Enid, Madoga i innych. Muszę. Zawieźcie mnie, proszę, do Pysgod.

Cmokając, Pawł pokręcił głową.

– Oj, nie, dziecko, to niebezpieczne – rzekła Beti. – Niechybnie spalą cię, zanim odzujesz Enid i Madoga.

– Błagam – nalegała Alys. – Zostawcie mnie pod ogrodzeniem, poszukam ich sama. Zresztą i tak mnie nie powstrzymacie. Wsiądę tu i pójdę pieszo.

– Alys – głos Ciana zabrzmiał tak spokojnie, jakby chłopak wskazywał jej ptaka na gałęzi – szukając ich w pojedynkę, z pewnością się im nie przysłużysz. Pysgodianie od razu cię poznają, więc jeśli zaczniesz wypytywać o przyjaciół, tylko nabiorą wobec nich podejrzeń. Skończy się tak, że wszystkich was ukamienują.

„Jak ojca. Nie, nieeeeeee, nieee, nieeeeeeeeeeeeeee. Dokąd pójdę, podąża za mną śmierć. Nie odstępuje mnie na krok, nie odpuszcza, nie pozwala mi odetchnąć pełną piersią”.

Ręce opadły Alys, a serce wypełniła pustka. Poczula w ustach jej smak, gorzko-suchy.

– Serce mi się kraje, dziecko, gdy na ciebie patrzę – powiedziała Beti. – Ty i ja – zwróciła się do Pawła – pojedziemy do Pysgod. Popytamy o resztę dzieci z Gwenith. Może uda się nam dowiedzieć czegoś więcej. Cian i Alys zaś obejdą wioskę, przysiądą gdzieś i zaczekają na nas aż do zmroku. Dopóki nie sprawdzimy, co i jak.

– Powiniennem jechać ja – rzekł Cian. – Nie ty, Beti.

Pawł pokręcił głową.

– Głupiś, chłopcze. Zastanów się, czy z tą brunatną skórą ujechałbyś tam choć parę kroków. Spozrzegliby cię. I tak już

obawiają się własnego cienia. Nie patrz tak, jakbyś nie rozumiał, co do ciebie mówię, chłopcze. Nie o nich mi chodzi, lecz o ciebie. Mogłoby cię tam spotkać coś złego. Mogliby uznać, że nosisz znamię Bestii, skoro nie jesteś biały jak śnieg. Beti ma rację. Pojadę z nią, a ty zaczekasz na nas z Alys. Rozdzielimy się tuż przed Pysgod – wysiądziecie i pójdziecie pieszo. Parę mil. Do wypalonego drzewa. Wiesz, którego, synu. Porażonego przez piorun w zeszłym roku. Tam się spotkamy.

– Dobrze – zgodził się Cian, biorąc lejce.

Pawl odchodził już, jednak zawrócił i chwycił go za ramię.

– Jeśli nie wrócimy przed nocą, ruszajcie sami do Krainy Jezior, słyszysz? Nie szukajcie nas, tylko idźcie. – Pokiwał głową raz, dwa razy. Puścił Ciana i oddalił się do wozu.

Alys chciała go zawołać. Chciała dodać mu jakoś otuchy. Lecz nie zdążyła, bo usiadł już przy Beti i, biorąc lejce, cmoknął na konie. Spojrzała na Ciana.

– Poczciwy z niego człowiek – rzekła.

– Mhm – przytaknął chłopiec. – Bez dwóch zdań.

Cian i Alys siedzieli kilka stóp od siebie. Ale kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, a powietrze schłodziło, przybliżyli się.

Gdy Cian rozpałił ognisko, oboje zapatrzyli się w płomienie. Alys czuła ciepło Ciana przez ubranie, mimo że się nie dotykali. Potem Cian ujął ją za rękę. Przybliżywszy się do niego, Alys położyła mu głowę na ramieniu. Zdziwiło ją, że to robi, ale też poczuła się tak, jakby robiła to od niepamiętnych czasów. „Wszędzie, o każdej porze dnia i nocy i nawet z zamkniętymi oczami wiedziałabym, czy jest w pobliżu. Rozpoznałabym go instynktownie. To bez sensu”. Kompletnie zbita z tropu Alys zastanawiała się, skąd w niej to nagle parcie do Ciana.

Zamiast cieszyć się teraz, pożałowała, że w ogóle się spotkali. Potrzeba jego bliskości i poczucie, jak wypełnia pustkę w jej sercu, rozżaliły ją, choć niczego jej nie odbierano... Ogarnięta nagłym lękiem, Alys wzięła głęboki oddech, starając skupić się na słonej woni skóry chłopca, na zwierzęco czystym zapachu jego włosów.

Słońce gasło już, gdy usłyszała odgłos kół na śniegu. Podniosła wzrok na Ciana – i tłumiąc okrzyk radości, wstała i schowała się w wozie.

Ktoś zastukał w ścianę wozu.

– Możesz wyjść – rzekł Cian. – To oni.

Zatrzymali się. Pawł zeskoczył pierwszy, obszedł wóz i pomógł zsiąść Beti. Na ich twarzach nie gościł uśmiech. Wyglądali, jakby żadne go nie znało. Beti wzięła Alys w ramiona i przytuliła ją szorstko, zbyt silnie. Choć Alys drapały po twarzy kosmyki jej potarganych włosów i nieznośnie ciążyły zwały tłuszczu pod warstwami wełny – odepchnęła ją nie tak mocno, jak by chciała.

– Twoich przyjaciół tu nie ma – westchnęła Beti. – Nie ma ich tutaj, dziecko.

„Jasne, że nie” – pomyślała Alys. „Jeszcze. Ale pewnie dotrą do Pysgod jutro, kierując się rzeką, tak jak radziła mi Enid. Tymczasem Pawł i Beti mają rozpacz w oczach”. Spoglądała to na jedno, to na drugie, licząc, że usłyszy od nich, jak odnaleźć dzieci z Gwenith i sprawić, żeby wszystkie były znowu razem.

– Przejechaliśmy przez bramę – rzekł Pawł. – Ledwie. – Usiadł, wyciągając ręce w stronę ognia. Policzki zapadły mu się od rana tak bardzo, jakby w ciągu tego dnia odebrano mu część życia.

– Miałam nadzieję, że pysgodianie są lepsi od defaidian, ale nic z tego – oznajmiła, siadając przy nim, Beti. – Nie kiwną palcem, aby pomóc. Palcem. Nawet dzieciom. Biedne dzieci... – Popatrzyła na Ciana. – Mieści ci się to w głowie?

– Tak – odparł Cian. – Boją się po prostu.

– Mam gdzieś ich strach! – wykrzyknął Pawł. – Jak można zostawić te dzieci bez opieki?! Pewnie następne spłonie ogrodzenie Pysgod – i kto je wtedy przyjmie? Tarren? Najprawdopodobniej. I pomyśleć, że ci wieśniacy nami gardzą! Wygadują o nas niestworzone rzeczy. – Alys zarumieniła się, gdy na nią spojrział. – No dobra, wiadomo, co gadają. Ale my w przeciwieństwie do nich nie jesteśmy obojętni, podli ani pełni zła. Bo to zło jest! Wszystkie te gadki o Bestii! Oni są nieludzy! – Pawł urwał, jakby wyczerpawszy słowa obrzydzenia.

Cian podał mu herbatę.

– Szukają Alys?

– Czatują na nią. Żadna niezamieszkała tam jej rówieśniczka nie przejedzie nigdy przez tę bramę. Nie daliby jej się tam nawet zbliżyć. A w tej chwili robią to, co inni. Wywalają wędrownych kupców i zamykają się na cztery spusty. Wyrzucili nas i tego jeźdźca z Defaid... Wyobrażacie sobie? Biedaczysko. Przykro mi to mówić, panienko, ale gdyby... – ugryzł się w język. – Enid, Madog i reszta nie mają czego szukać w Pysgod. Będą musieli iść gdzie indziej. Tymczasem ty nie możesz tutaj zostać. Zabiją cię, gdy tylko cię spostrzegą. Bez dwóch zdań, panienko.

Zapadło milczenie. Chociaż raz Alys nie czuła na sobie spojrzeń. Chciała namawiać ich, żeby zostali i mimo wszystko poszukali dzieci, lecz wola walki ją opuściła.

Cian oparł rękę na ramieniu Alys, mówiąc:

– Byłoby dobrze, gdyby Enid, Madog i pozostałe dzieci z Gwenith poszli do Krainy Jezior. Gdy się okaże, że nie mogą zostać w Pysgod, Madog i Enid na pewno wspomną Pawła. No a oboje wiedzą, gdzie go znaleźć i że będą tam mile widziani.

Pawł rozpogodził się nieco.

– Tak, tak. Chłopak ma słuszość. A poza tym na dworze się ociepla. Z każdą chwilą robi się też jaśniej. Więc dotrą do nas, a na razie mają siebie.

„Mają siebie?...” – pomyślała Alys. „Cóż, rzeczywiście nie są sami. Mogą się nawzajem wspierać”. Spojrzała na las; przypomniały jej się Angelica, Benedicta – i mały Delwyn, jak ją wołał śpiewem, jak wdzierał się w jej umysł, duszę. Jak wwiercał się w jej istnienie paluszkami.

„Żadne z nich nie jest samo”.

Mocna dłoń Ciana powędrowała do jej włosów.

Alys zapragnęła ukojenia.

Pawl kiwał głową, choć po jego słowach nikt się nie odezwał.

– Pojedziemy do Krainy Jezior. Twoich bliskich nie będzie trzeba szukać. Oni znajdą nas. A później wszystko się ułoży.

Alys stwierdziła, że Pawl nie umie kłamać.

...nigdy nie były głodne

Ogień buchał, pożeraczki dusz nie czuły jednak żaru. Przyglądały się, jak płomienie wsysają, pochłaniają wioskę. Nie czuły niczego.

Ludzie uciekali, pożeraczki dusz zaś brały ich w objęcia. Smakując strach, piły go do dna, ale miast sycić je – parzył.

Wtem Angelica uzmysłowiła sobie, że płoną wewnątrz.

– Jesteśmy ogniem – powiedziała do siostry i chłopca. Miały więc płonąć, płonąć, płonąć.

Płonąć, aż spali się do szczytu wszystko.



CZEŚĆ
PIĄTA

Bestia
straszliwa
jest

Alys była w Krainie już pięć dni, gdy pierwszy raz obudziła się na drzewie.

Jej oczy rozwarły się na noc. Powietrze gładziło ją po skórze. Pod palcami stóp i przez płócienną koszulę czuła korę. Siedziała. Na gałęzi. Jak ptak.

Między snem a przebudzeniem nie było chwili, która mogła się jej przyśnić. Ani chwili, w której pomyślałaby, że spadnie. Czuła, że ziemia jest daleko pod nią, ale, przykucnięta, pewnie trzymała się na nogach. „Gdybym teraz rozpostarła ręce i wychyliła się, poszybowałabym spokojnie na dół”.

Lecz nie zrobiła tego. Przywierając do gałęzi, z każdą sekundą czuła się bardziej sobą, bardziej świadoma, że tak być nie powinno. „Dziewczyny nie budzą się na drzewach. Monstra tak”.

Przeraziło ją, że oto zmienia się w monstrum.

Wtedy też Alys rozszczepiła się na dwoje. Zewnętrzna jej powłoka żyła jak dotąd, rozmawiała z ludźmi. Jadła – lub jeść próbowała – i spała pod kocami w namiocie. Ale prawdziwe ja Alys nie przebywało między ludźmi. Jaźń jej mieszkała wśród drzew, w leśnej gęstwinie, węsząc.

Alys przyjechała do Krainy Jezior pełna nadziei. Wbrew nieszczęściom, które ją spotkały, liczyła, że jej życie zmieni się na lepsze. Straciła matkę i ojca, więc jej ich brakowało. Ale Defaid nie było jej domem. Nie pasowała doń ani tego nie chciała. Odkąd zgodziła się pojechać do Krainy z Pawłem, Beti i Cianem, z całego serca pragnęła zaznać tam wytchnienia. Życ tak jak oni i żyć ich

życiem. Nigdy dotąd nie dopuszczała do siebie takich potrzeb. Jako dziecko z Gwenith, obserwatorka, Alys nauczyła się nie patrzeć w przyszłość. „Przyszłość w Defaid, jeśli w ogóle mnie czekała, na pewno nie byłaby lepsza od terażniejszości”. Choć tamto minęło, od chwili przebudzenia się na drzewie dręczyła ją myśl, że nie odpocznie i w Krainie Jezior. Nosila w sobie ciemność. Nie mogła przed nią uciec, bo nie mogła uciec przed sobą.

Mieszkańcy Krainy z początku odnosili się do Alys serdecznie. Alys była zachwycona ich spontanicznością, otwartością. Nie przypuszczała, jak odmienni będą od znanych jej wieśniaków, ani też jak bardzo będą się różnili między sobą. Ludzie z wiosek wyglądali identycznie. „Tak samo wykrochmalone kołnierze, wykrochmalona skóra, wykrochmalone twarze”. Ludzi znad jezior łączyło to jedynie, że każdy z nich był inny. Ubierali się różnorodnie, mieszkali w przeróżnych namiotach i chatkach, zmieniali pracę nieraz z dnia na dzień, częstokroć pod wpływem kaprysu. Gdy kto nie miał ochoty łowić ryb, to nie łowił. Wyplatanie, solenie mięsa, szycie zaczynali wraz ze wschodem słońca – lub odkładali zależnie od nastroju. W Krainie Jezior nikt nie nosił kołnierzyków. Spotykało się kobiety ścięte krótko i mężczyźni z włosami do pasa. Kobiety i mężczyźni ze zwisającymi z uszu paciorkami, z różnymi tatuażami na ciele. Ni mężczyźni, ni kobiety. Międzyplciowych, nieokreślonych. Zaintrygowana tą różnorodnością bardziej niż strwożona, Alys zaczęła rozpuszczać włosy i nosić to tylko, na co miała ochotę.

Niezapięta pod samą szyję dawniej czułaby się naga. Ale od wiosennego ciepła, panującej w Krainie wilgoci oraz trudu łowienia siecią i gotowania na otwartym ogniu, sukienka jej nasiąkła mocno potem i krępowała ruchy. Alys patrzyła z zazdrością na kobiety, które jak mężczyźni nosiły luźne koszule, a nawet spodnie. Trzeciego dnia w Krainie Jezior Beti wręczyła jej stosik

poskładanych ubrań i powiedziała: „Masz, dziecko. Robi mi się gorąco, jak na ciebie spojrzę”. Alys zarumieniła się i podziękowała. Dopiero gdy została sama, obejrzała podarki dokładnie. Były to dwie koszule z płótna, jedna chabrowa, sprana, a druga biała, i dwie pary spodni z grubego płótna, obszernych w udach, a przylegających do łydek. A między nimi leżał zwinięty skórzany pas. Tego wieczoru, gdy niebo nie pociemniało jeszcze, Alys wymknęła się do namiotu, w którym sypiała, i przymierzyła wszystko. Koszuli nie zapięła pod szyją, więc chłód zmierzchu przyjemnie muskał jej obojczyki. Spodnie okazały się magiczne. Alys schylała się, przysiadła, wstawiała, wyciągała nogi. „Pasują na mnie jak ulał. Mogę nawet stawiać długie kroki. Poza mięśniami i kośćmi nic mi już nie ogranicza ruchów”. Nazajutrz rano wyszła z namiotu ubrana tak, jakby urodziła się w Krainie Jezior. Z włosami luźno opadającymi na plecy, z obnażoną na słońce i wiatr szyją, poruszając swobodnie nogami. Cian uśmiechnął się do niej i włożył jej palec za pas. „A to co takiego?” – spytał. Pawl z wrażenia omal nie opluł jej herbatą. „Panienka z Gwenith jest tutejsza!” – krzyknął. Beti jak zwykle wybuchnęła śmiechem.

Przez pewien czas Alys czuła się szczęśliwa – i tak swobodna jak jej nogi. W rytm Krainy wpasowała się z łatwością; równie prędko, po latach sypiania na podłodze, przywykła kłaść wreszcie głowę na poduszce. Miejscowi, prawi i łagodni, urzekli ją. Podziwiając ich bezpośredniość, wątpiła, czy choć raz w życiu pozwoliłaby sobie być taka jak oni. Zaczęła sobie wyobrażać swoją przyszłość tutaj. Przyszłość z Cianem. Marzyła, że całą tę radością podzieli się z Enid i Madogiem, gdy przyjadą. Chciała nauczyć Rena wiosłować, tak jak ją nauczył tego Cian.

Gdy po raz pierwszy obudziła się na drzewie, wszystko się zmieniło. Niczym koło w mule ugrzęzła raptem w dawnych, oswojonych już uczuciach. Strachu. Rezygnacji. Niemocy. Jak

dawniej w Defaid, i teraz zachowała to dla siebie.

Wtedy też zaczęto ją obmawiać.

Mieszkańcy Krainy co prawda ubierali się inaczej niż wieśniacy, lecz wbrew pozorom byli dość strachliwi. Doznali wstrząsu, kiedy Pawl i Beti obwieścili, co spotkało Defaid, i że Pysgod zamknęło bramę przed kupcami, a pewnie wkrótce zrobi to też Tarren. Wiosenna odwilż sygnalizowała, że nikt nie zginie z głodu, chociaż nie da się handlować. Ryb i zwierzyny było tam bez liku, niebawem zaś miały pojawić się jagody, zielenina, grzyby. Zaczynało jednak brakować tego, co przywozili wieśniacy – zboża, wędzonego mięsa, smalcu, masła, ziemniaków i jabłek. Wyczulone uszy Alys coraz częściej wychwytywały szeptaninę wokół przedwieczornych ognisk. Nieraz słyszała swoje imię wypowiedane nieco za głośno, zanim ten, kto o niej mówił, zdążył zorientować się, że jest w pobliżu. Nieraz słyszała, że troski miejscowych dziwnym trafem zbiegają się z przybyciem nowej.

Alys udawała, że tego nie słyszy, Beti, Pawl i Cian także. Pawl opowiadał historyjki, Beti rechotała. Pawl i Beti czasem pili za dużo, a czasami nie pili wcale. Cian uśmiechał się. Puszczając obmawianie Alys mimo uszu, wszyscy troje starali się zabawiać ją i siebie. Gdy wokół ogniska zalegała cisza, Beti snuła plany związane z przybyciem dzieci z Gwenith. Alys, której czasem dodawało to otuchy, coraz bardziej niepokoiła się o ich los. „Mogło przecież spotkać je coś złego”. Kiedy odliczała na głos dni, które upłynęły od pożaru, Pawl zapewniał ją, że tempo marszu dzieci jest właściwe. „Aby tu trafić, pójdą wzdłuż rzeki. Strasznie pozakręcanej. A na dokładkę mają niemowlęta. Lada dzień się pokażą, dziewczeczko, cierpliwości”. Usiłowała w to wierzyć.

Gdy pierwszy raz obudziła się na drzewie, miała nadzieję, że więcej się to nie powtórzy. „Pewnie zawiódł mnie tam sen” – myślała. Ale wątpiła w to. Kolejnej nocy – i każdej następnej –

budziła się tak właśnie. Co wieczór kładła się do snu, pełna obaw przed tym, co ją czeka. Przed wejściem do namiotu układała stos z ubrań, koców, naczyń i worków ziemniaków – w nadziei, że te przeszkody wyrwą ją ze snu i zatrzymają. Leżąc w łóżku, wodziła dłonią po kawałku płótna z wyszytymi imionami dzieci – jakby w nadziei, że ją okiełznają, że nie pozwolą, aby uleciała. Każda noc tymczasem była jak poprzednia. Alys budziła się na gałęzi w ptasiej pozie, wyczulona na świat wokół niczym sowa.

Naturalnie skojarzyła to z pożeraczkami. Sowiookimi siostrami z ich umiłowaniem mroku. Ciekawiło ją, czy i one tak sypiają – przycupnięte wysoko wśród gałęzi, zawsze czujne. „A już myślałam, że nie będę czuwać nocą... Okazuje się, że byłam naiwna”.

Wieczorem dziesiątego dnia w Krainie Jezior Alys poczuła, że nie wytrzyma już tam dłużej. Przypomniały jej się opowieści Ciana – masa ludzi i bezmiar zapachów. Nos jej wciąż wypełniały ich wonie, w uszach zaś miała nieustanny jazgot. Cian znał umiar w mowie, więc łowiąc z nim ryby albo reperując sieci, Alys mogła choć na krótko wytchnąć. Mimo to bała się wyjawić mu swój straszny sekret, przez co nieraz zachowywała się przy nim infantylnie. A ciągłe próby odgrywania normalności kosztowały Alys bardzo, bardzo dużo.

Zamiast udawać więc, oddaliła się z obozu. Poszła do lasu, gdzie nie wstydziła się siebie. Las był gęstszy od dzielącego Gwenith i Defaid. Bardziej też wilgotny. Patrząc na drzewa, odnosiło się wrażenie, że przesuwiają się, pomykają ukradkiem. Obrośnięte splątanymi pnączami, wyglądały, jakby miały włosy.

Zapuściwszy się w gęstwinę tak głęboko, że nabrała wątpliwości, czy nie zbłądzi, Alys natknęła się na grube drzewo i od razu zaczęła się na nie wspinać. Nawet przez moment nie czuła się niepewnie. Nie lękała się, że stanie gdzie nie trzeba. Pnąc się w górę, minęła

pierwszą rozłożystą gałąź, a potem drugą, trzecią i kolejną. Wreszcie przysiadła wysoko wśród liści. Zamknąwszy oczy, nasłuchiwała, oddychała.

Najpierw pochłoneły ją dźwięki. Odgłosy wody skapującej z liścia na liść. Cykanie chrząszczy, szelesty stonóg i jaszczurek.

Potem zawładnęły nią wonie. Zapach wody wnikałej w drewno, owadów w czarnych pancerzach i padalców o jedwabistej skórze. Gorący oddech łasic, nietoperzy. Wilków.

Przypomniał jej się wilk. Ten, którego pozbawiła życia. Nie zgroza jednak, że zabiła nieszczęśnika, odżyła w jej pamięci – tylko rozkosz, jaką wtedy czuła, uniesienie. Przywołał w myślach ekstazę pożerania wilczej duszy, znów wyzbyła się wszelkich trosk i pragnień. Opuściły ją lęk i znużenie. Z głodu ścisnęło ją w żołądku, ale myśl o ludzkim pokarmie przyprawiła ją o mdłości. Bo nie jedzenia łaknęła teraz Alys. Pożądała duszy.

Zaczęła spadać, a nie spadała. Dźwięk i zapach znikły. Zniknął las. Poczwała raczej niż spostrzegła obecność Bestii. Bestia była wysoko w górze, a ona przy niej, nie ciałem: duchem. W zimnym powietrzu Bestia mówiła coś do Alys, przenikając głowę jej i serce, domagała się czegoś, dopraszała. Wiodła dokądś Alys, która podążyla za nią. Mając Bestię tuż nad sobą, Alys otworzyła oczy i spojrzała w dół – ale lasu tam nie było. Pod jej stopami ziała pustką otchłan, posępny, nieprzebyty bezkres. Podniosła wzrok, lecz Bestia nie istniała. Wszystko zginęło we wszechogarniającym mroku.

Alys westchnęła i świat powrócił, a ona wróciła do siebie. Jako dziewczyna siedziała znowu na gałęzi, po której... pełzła ku niej kobieta utkana z liści, błota, szlamu.

Angelica.

Alys znała ją z imienia, ale teraz rozpoznała instynktownie. Skóra Alys zapłonęła.

„Nie! Złodowaciała”.

„Nie, nie. Zapłonęła”.

Pojawienie się Angeliki nie było jednak wizją jak w przypadku Bestii. Było upiornie realne.

Angelica czołgała się jak żbik, sunęła do niej, rozwierając ciekawie szare sówie oczy. Choć włosy opadały jej na twarz, pod paznokciami zaś i na zębach miała ziemię i strzępy kory, Alys spostrzegła, że jest cudownie piękna. Znacznie piękniejsza od znanych jej dotąd kobiet. Piękniejsza nawet od wspomnień o mamie.

– Angelica – powiedziała Alys.

– Znasz mnie. – Głos Angeliki był chłodny i łagodny jak deszcz. – Ja ciebie też znam.

Wszelkie pytania do niej, wszelkie wobec niej zarzuty momentalnie umknęły Alys. Zapragnęła wyciągnąć do niej rękę, dotknąć jej twarzy, wejść w jej ciało. Poczuć, jak to jest – być Angelicą. Wtem Angelica dotknęła jej twarzy dłońmi suchymi od zaschłego błota. Jakby sięgając w głąb jej ciała, wnikając w trzewia i badając je ostrożnie. W końcu rzekła:

– Teraz jesteś jak ja. Powinnaś iść ze mną. Już czas.

Alys coś zwęszyła. Pustkę Angeliki. Nicość głęboką tak i straszną, jak wielka otchłań z jej wizji.

– A twoja siostra? – spytała. – Co z nią?

Pustka w Angelice rozwarła się. Krzyknęła niemo. Angelica wycofała rękę, jakby zraniona.

– Benedicta opuściła mnie.

Alys przypomniała sobie więź między nimi, więź, którą przeniknęły i ją. „Jak można zerwać coś takiego?” – pomyślała. „Dziwne...”

– Czemu?

Angelica zmrużyła okrągłe oczy. Alys poczuła ostry, gorzki zapach. Angelica podniosła powieki.

– Siostra była zazdrosna o chłopca. Szedł za nami. Pragnął dołączyć do nas, być jak my. Zrobiło mi się go żal. Ale serce siostry było twarde. Chciała, bym go zostawiła. A ja nie mogłam.

Delwyn. Alys przypomniało się, jak ją wołał, jak namawiał, by podeszła. Ogarnęła ją jego tęsknota.

Śpiewny głos Angeliki pieścił Alys, kołysał.

– Pójdź ze mną. Do nich nie pasujesz. Jak ja masz w sobie żądzę. Przy mnie odetchniesz i nigdy nie będziesz głodna, zmęczona czy samotna.

Zapadał zmierzch. Alys łatwo byłoby teraz ulec kołyszącemu śpiewowi Angeliki, zatracić się, utonąć w jej ramionach i stać się tym, co jej pisane... Przymknęła oczy, próbując sobie wyobrazić, że jak drzewa wkoło, ubrana jest w mech, a zamiast włosów ma pnącza. Ale ta otchłań. Otchłań. Przeraźliwa otchłań. Zrobiła się większa i straszniejsza jeszcze, więc choć zniknęła, kiedy tylko Alys otworzyła oczy, nie przestała napawać jej lękiem. Była realna, namacalna, a stanowiąca jej część Angelica chciała, by i Alys stała się jej częścią. Uświadamiając to sobie, Alys poczuła w ustach smak żółci.

– Nie – odpowiedziała Angelice.

Popęzła wstecz, ześlizgnęła się z gałęzi i, czepiając się szorstkiej kory, zeszła na ziemię. Śmiech Angeliki raził ją jak odłamki szkła.

– Przyjdiesz jeszcze do mnie, Alys. Jesteśmy takie same. Takie same.

Alys straciła wszelką nadzieję. Chciała wierzyć, że Angelica kłamała. Choć czuła od niej swąd fałszu, nie miała wątpliwości co do jednej objawionej przez nią rzeczy. Najstraszniejszej. „Jak Cerys do swojej matki, upodobniam się do Angeliki”.

Tamtej nocy Alys wróciła do obozu niepokojąco pobudzona. Matka upominała ją, by pilnie strzegła zdolności wyczuwania chorób, bo już to mogłoby wzbudzić w głupich wieśniakach podejrzenia, że para się czarami. „Nawet matka, tak przenikliwa, nie pojęłaby, co teraz czuję”. O ile przed spotkaniem Angeliki Kraina Jezior atakowała Alys hałasami, o tyle teraz każda chwila tutaj wręcz rozsadzała jej uszy. Nadmiar doznań, nadmiar świadomości... Instynktownie węsząc w powietrzu, nie czuła woni jedzenia ani ludzi – mięsa, potu, włosów. Czuła strach, gniew, samotność. Zapachy te pobudzały nie tylko jej nozdrza, ale też skórę. Włoski na ramionach Alys stawały na sztorc, gdy szepty wokół ognisk przeobrażały się w czyhające, pełzające w mroku monstra. Żołądek kurczył jej się wtedy na poły z głodu, na poły z podniecenia. Brzydziło ją to.

Jedzenie znów nie smakowało Alys. Podane przez Beti na śniadanie nazajutrz po spotkaniu z Angelicą placki rybne i chleb miały w jej odczuciu smak popiołu. Z obawy, że Beti, Pawł i Cian zorientują się, że coś jest nie w porządku, wmusiła w siebie odrobinę – ale odeszła od stołu, by donieść im wody i chleba. Był to pretekst: wzięła talerz i odłożyła swą porcję do garnka. Po dwóch dniach takiego jedzenia musiała zaciskać pas od spodni, by nie spadały.

Co gorsza, gdy Alys nie spała, dręczyły ją wizje otchłani. Bała się mrugać. Kiedy tylko przymykała oczy, ogarniała ją bezbrzeżna pustka. Wszystko znikало i dopiero łopot serca przywracał ją do rzeczywistości. Alys żyła, dotykała i czuła, jednak duchem była nieobecna. Świat dla niej stał się nierealny. Krainę Jezior, jej mieszkańców, Pawła, Beti i Ciana odbierała jako złudę, która niknie pod najlżejszym tknieniem.

Niknęło wszystko, na co Alys spojrzała, czego dotknęła, co jadła, co usłyszała. Miała wtedy wrażenie, jakby gasło w niej światło, o którego istnieniu nie wiedziała dotąd.

Po próbie pozbawienia Cerys duszy, Alys obiecała sobie, że gdy zacznie zagrażać bliskim – zabije się. Teraz musiała stawić czoło prawdzie, od której tak długo się odżegnywała. Nie mogła uciec przed potworem. Była potworem. Musiała odejść, zanim kogoś skrzywdzi, musiała odejść i to czym prędzej. A już na pewno przed przybyciem do Krainy Enid, Madoga i pozostałych.

Odejście okazało się nad wyraz przykre. Alys przywykła już do wygod, które zapewniali jej Pawł i Beti, i do ciepła, jakie czuła zawsze, kiedy Cian był w pobliżu. Myśl, że to straci, napawała ją tak wielkim bólem, że musiała powstrzymywać łzy. I wciąż odwlekając odejście, co noc budziła się na drzewie, a później wracała do namiotu. Roztrzęsiona, przybita, wczołgiwała się pod koce, czekając, aż zmorzy ją sen. Budziła się każdego ranka – i zostawała do następnego. Podczas śniadań spoglądała na Ciana, myśląc: „Jutro go opuszczę”. Lecz nie robiła tego. Ani nie mówiła, co się z nią dzieje. Wyobrażała sobie, jaką miałby minę, gdyby wyznała mu, że budzi się na drzewach, opowiedziała o wizjach otchłani, o tym, jak zniewalała ją Angelica, o rozkoszy, jaką sprawia odbieranie duszy. Wyobraziła sobie, jak oddanie chłopca zmienia się w odrazę...

„Przeżyłam wiele, ale tego nie przeżyję”.

Pewna, że stanie się wstrętna Cianowi, któregoś wieczoru postanowiła: „Odejdę jutro przed świtem. Zanim wstaną”.

Przy kolacji śmiała się głośniejsze i dłużej niż zwykle z żartów Pawła, a gdy skończyła zmywanie naczyń z Beti, nie czekała już na jej przesadnie czuły uścisk – tylko porwała ją w ramiona pierwsza. Tuląc Beti, utrzymywała w pamięci zapach lawendy i smalcu. Jej zapach.

Z Cianem nie pożegnała się przed nocą. Odczekawszy, aż pójdzie donieść drewna z szopy, powiedziała Beti i Pawłowi, że jest zmęczona. Potem umknęła do namiotu i zasznurowała klapę. Tak ciasno, że gdyby jednak zapragnęła szukać Ciana, który błagałby ją pewnie, by została – najpierw musiałaby się nad tym napracować.

Wcześniej tego dnia napełniła bukłak wodą i przyszykowała suchy prowiant – przekonana, że i tak go nie tknie. Teraz pakowała ubrania od Beti i mamine palto. Zrobiony przez ojca nóż, który podarowała jej matka. Przypomniła sobie ich twarze, szorstkie dłonie matki, trociny w uszach ojca... Patrząc na strzęp płótna z imionami dzieci z Gwenith, Alys pomyślała, że tych kilka rzeczy musi wystarczyć jej za towarzystwo.

Nie zastanawiała się nad celem wędrówki. Wiedziała tylko, że pójdzie jak najdalej, tam, gdzie nie będą mogli jej odnaleźć bliscy. „Tak daleko, że żadnego z nich nie zawiodę ani nie skrzywdzę... Ren marzył o oceanie, może więc tam bym się wybrała? Bez względu na to, co się stanie potem, zobaczyłabym ten błękitny bezmiar...”

Tej nocy nie zastawiła wyjścia z namiotu. „Skoro dotąd nic to nie dawało, dziś też nie da” – stwierdziła. Przygotowana, weszła do łóżka, bez złudzeń, że uda jej się zasnąć.

Leżąc w ciemności, słuchała dźwięków wkoło, głosów donośnych, a potem znowu cichszych. Ktoś czasem zaśpiewał. Kilka razy słyszała rechot Beti. Niskiego głosu Ciana nie usłyszała, choć jak

mogła, wyteżwała uszy.

Zaczęły jej opadać powieki. Morzył ją sen, co wprawiło ją w zdumienie. Wreszcie oczy zamknęły się – usnęła.

Wspinała się, wspinała coraz wyżej. Rozrzedzone powietrze chłodziło jej płuca, miała płytki oddech. Szła jednak dalej, wiedziona przez Bestię, za jej włochatym grzbietem, skórzastymi skrzydłami. Czując, że Bestia chce jej coś pokazać, pięła się i pięła w górę.

Aż pojawiła się przed Alys znajoma i straszliwa otchłań. Kolosalna, przepastna, ziejąca, powiększała się z każdą chwilą. Drzewa i krzewy na jej krańcach osuwały się i ginęły w pustce. Bestia obróciła się i popatrzyła na Alys.

Tonąc w jej oczach, wilgotnych, czarnych, mądrych, Alys zaznała tego, co ona utraciła, i tego, co miało zostać pochłonięte. Zrozumiała, że każde odebranie duszy pogłębia cierpienie Bestii. Gdy Bestia spuściła głowę na pierś, która rozwarła się pośrodku – w miejscu żeber, płuc i serca ujrzała Alys ciemność, ból i dramat. Krzyknęła i rozejrzała się, jakby w nadziei na pomoc.

Bestia z westchnieniem pokręciła głową. Lecz nie ona zwróciła się do Alys. Tylko matka.

– Nie, mnie nikt nie może pomóc. Nikt poza tobą, dziecko.

Wtem głos Ciana.

– Alys? Alys, nie śpisz?

Alys otworzyła oczy. Przez szpary w płótnie wpadało do namiotu światło późnoporannego słońca. Spała w swoim łóżku, długo i głęboko. Noc minęła, a ona nie siedziała przycupnięta na drzewie. Była w łóżku jak zwykła dziewczyna – zwykła dziewczyna, która zasnęła.

Siadła i rozejrzała się. Przy wejściu zobaczyła swój tobołek. Dziś straciła już szansę na odejście. Zapomniała, dlaczego musi odejść.

Przypomniała sobie: „Cerys. Wilk. Delwyn. Benedicta. Angelica”.

„Jasne...” Tyle że teraz odejść by nie mogła, zwłaszcza że wołał ją Cian, a w obozie wszyscy dawno wstali i krzatali się w słonecznym blasku.

– Mhm! – odpowiedziała. – Nie śpię.

– Nic ci nie jest? Śniadanie czeka. Mam tu dla ciebie herbatę.

Rozsznurowała klapę i wyjrzała z namiotu. Cian, przystojny, uśmiechnięty, podał jej parujący kubek.

– Dzięki – powiedziała.

– Postanowiłem, że dziś dzień połowu. Pójdiesz ze mną? – zapytał Cian.

Nie mogła wahać się, mając przed sobą jego szczerą twarz – i nieświadomy istnienia Bestii i dziur w ziemi uśmiech.

– Tylko się ubiorę.

Opuściła klapę, łyknęła herbaty i zamyśliła się. Serce biło jej jak oszalałe, a równocześnie czuła dziwny spokój. Dotąd jedynie się jej wydawało, że jest pewna swojej decyzji. Teraz była pewna. „Odejdę stąd jednak. Jutro. Ale po to, by odnaleźć Bestię i otchłań. I spytam Bestii, jak tę otchłań zamknąć. Może nadal jestem potworem. Jestem: nie ma co do tego wątpliwości. Tak czy owak uzdrowię Byd, spróbuję. Dla matki, dla siebie i dla innych mogę zrobić przynajmniej tyle”.

Alys i Cian właściwie nie łowili. Udawali raczej, że łowią. Cian wychylał się ku niej, kołysząc łódką, i muskał wargami jej wargi, lekko najpierw, a później z ciekawością. Czasami chwycił kosmyk jej włosów i nawijał sobie go na palec. Czasem obejmował jej twarz albo łagodnie wodził bokiem dłoni po zagłębieniu jej szyi.

Naraz zapragnęła się cofnąć do słodkich czasów sprzed przebudzeń na drzewach. Poza Cianem nie widziała wtedy świata. Gdyby spytano ją, zanim go poznała, czego jej brak, o czym najgoręcej marzy, nie wiedziałaby. Gdy się spotkali, Cian szybko zaspokoił jej tęsknoty. Był spełnieniem jej podświadomych dążeń.

A potem padł na nią cień i strach powrócił. Wyzuł ją z wszystkiego, co pragnęła ofiarować Cianowi.

Pochylając się nad Alys, Cian spojrzał na nią w zamyśleniu.

– Dobrze wiesz, nadobna Alys... – Lubiła, gdy ją tak nazywał. – Że mnie nie oszukasz.

Cian uwielbiał się z nią droczyć i śmiać się. Obiecywał, że pewnego dnia rozbawi i ją. Nie zdarzyło się to dotąd, „więc nie zdarzy się już” – pomyślała ze ściśniętym sercem. Odchyliła głowę, nie odpowiadając.

– Ukrywasz coś przede mną – rzekł Cian. – Czuję.

Byli sobie bardzo bliscy. Jego zapach – zmieszanych z solą mokrych wodorostów – Alys poznałaby i na końcu świata. Mocniejszą jednak woń niż jego skóra wydawał jego niepokój. Czowała, jak próbuje ją przeniknąć, wejrzeć w jej serce, lecz się opierała. Mimo fizycznej bliskości dzielił ich nieprzekraczalny

dystans. Kłamiąc, Alys stworzyła między nimi barierę większą od najpotężniejszych ogrodzeń. Usiłowała wierzyć, że Cian darzy ją miłością. „Wyznał mi to, a w przeciwieństwie do mnie nie jest kłamcą. Ale też może we mnie kochać tylko to, co o mnie wie... a nie wie niczego. Nie ujawniłam mu, że drzemie we mnie potwór... Nie ujawniłam, do czego jestem zdolna. Jak miałby darzyć mnie miłością, nie wiedząc, kim jestem naprawdę?... Nie mogę mu powiedzieć, że co noc budziłam się na drzewie jak drapieżnik. Nie mogę opowiedzieć o Angelice, Benedykcie i o Bestii. Gdybym mu to zdradziła, przestałby mnie szanować...” Lęk przed stratą mieszał się w niej z żarliwymi uczuciami. Nie pamiętała, by ktokolwiek dotąd znaczył dla niej tak wiele jak Cian. Oddał jej siebie. Radował się jej obecnością. I traktował ją, jakby była cennym skarbem.

– Chyba mi ufasz...? – Na promiennej przed chwilą twarzy chłopca malowała się teraz uraza.

Alys raptem ogarnęła paniką, wstyd – i niemoc. Świat nabrał realnych kształtów, a Cian ją do niego wciągał, domagając się od niej konkretności. Czuli się tak, jakby siedzieli przy nim rozebrani. Naga. Bardziej niż naga – odarta całkiem z ciała i niezdolna ukryć przed nim wnętrza. W tej dojmującej chwili obnażenia, ujawnienia swojej mrocznej strony, Alys poddała się. Zapragnęła podzielić się z nim wszystkim i przekonać się, jak się zachowa. Chciała powiedzieć mu: „Masz, to prawda o mnie. Jeśli ci się nie spodoba, nie potępię cię, możesz być spokojny. Chciałabym wiedzieć, na czym stoję, Cian. Nie ma sensu pragnąć niemożliwego”.

– Jestem inna, niż myślisz – rzekła.

Cian zmarszczył brwi.

– To znaczy jaka?

– Wbrew temu, co ci się wydaje, nie jestem zwykłą dziewczyną.

– Nie uważam cię za jedną z wielu, Alys.

Alys zaczerwieniła się.

– Może i tak. Ale nie wiesz, jak... odmienna jestem. – Niezdolna na niego spojrzeć, Alys pogładziła dłonią spokojne lustro wody. „Żywy organizm”.

Cian ujął ją pod brodę i przyciągnął ku sobie tak, by nie mogła już odwrócić wzroku.

– Mów – rzekł. – Opowiedz o najgorszych swoich wadach.

Alys zastanawiała się, co może być najgorsze, co przerazi Ciana najbardziej. Było tego aż za wiele. Postanowiła więc mu powiedzieć, z czego wynika jej zło. Jej niegodziwość. Jej poczucie winy.

– Widziałam pozeraczki dusz, Cianie. W noc śmierci rodziców byłam na dworze i je napotkałam. Darowały mi życie... a ja patrzyłam, jak odchodzą. Nie krzyknęłam nawet. Stałam beczynną i przyglądałam się, jak odlatują...

Cian potrząsnął głową.

– Wiem, co wtedy zaszło, Alys. Z tysięcy razy słyszałem o tym od Pawła.

Wzburzona, Alys zająknęła się.

– Ale... miał nie... Sam kazał mi nikomu nic nie zdradzać.

– Zapomniałaś, co wyprawia przy ognisku? Aaaalys. Po kilku głębszych Pawł wypaple wszystko, co widział albo co usłyszał. A twoje dzieje są akurat najciekawsze.

„Cóż, wie o tym” – pomyślała Alys. „Ale nie zna dalszego ciągu. Siedzi sobie tak beztroski, jakby nic się nie stało, tak rozbawiony, że... zaraz go nastraszę. Pokażę mu, że nie bardzo ma się z czego cieszyć. Wpadnie w dygot i cofnie się przede mną. Tak jak powinien – rzecz jasna, gdyby wiedział”. Przypomniało jej się, jak Gaenor piszczala, przerażona jej śpiewankami:

*Bestia ohydna jest jak kostucha
W twoich snach nieustannie buszuje
Nocami wciąż szepce ci do ucha
Bez końca, wiecznie coś knuje*

*Nic – myślisz – w łóżku nie stanie ci się
Nic ci nie grozi, nie ulega to kwestii
Mama właśnie pocałowała cię w policzek?
Nie, skarbie mój, to były... wargi Bestii!*

– Nie ma w tym nic śmiesznego, Cian. – Rosnący gniew Alys śmierdział spalenizną. – Skoro musisz wiedzieć, powiem ci, kim jestem, a teraz bądź tak dobry i płyn do brzegu, bo słowo daję, że gdy się dowiesz, odechce ci się siedzenia ze mną w łódce.

Cian założył ręce i przechylił się do tyłu jak przed drzemką.

– Nie boję się.

– Pięknie – odparła Alys. – Żartuj dalej. Ale wiedz, że nie jestem dziewczyną. Jestem pożeraczką dusz.

Cian przyglądał jej się długo.

Wybuchnął śmiechem. Ze śmiechu aż pacnął ręką wodę.

Alys omal nie spaliła się ze wstydu. „Mógłby się zgorszyć, ale żeby stroić sobie z tego kpiny?”

– Tak cię to bawi? Akurat ty powinienesz mnie zrozumieć. Jestem jak stwory, które zabiły ci rodziców. Więc i tobie mogłabym wyrządzić krzywdę. Nie żebym chciała. Tylko mogłabym się nie powstrzymać.

Cian zmienił się na twarzy, a Alys znów się zawstydziła. Że odebrała mu uśmiech. Kiedy przemówił cicho i łagodnie, oboje

ogarnęła melancholia.

– W jaki sposób skradłabyś mi duszę, nadobna Alys?

– Więc... – Namyslała się. „Ffordd i Cerys. Wilk. Co czułam? W przypadku tamtych nienawiść – proste. Wilk mnie przeraził”. Westchnęła, zerkając na Ciana. „Cian. Te jego piwne oczy nie mogą się doczekać... Skrywam przed nim najczarniejszą tajemnicę. Ohydną prawdę o sobie. Jestem wstrętna. Odrażająca. To przeze mnie umarli rodzice, więc nikomu nie wolno mnie kochać. Przysporzyłam cierpień matce, ojcu, wreszcie zabiłam ich... Nie cofnęłam się przed dotykem Angeliki, pozwoliłam jej wejść w moje serce. Przesiąknięta złem, nie potrafię już być dobra. Takie jak ja są zdolne tylko niszczyć”.

Cian wpatrywał się w nią nadal, więc zaczęła opowiadać. Opowiedziała wszystko. Drobiazgowo. O dotykaniu ludzi, zwierząt i zagłądaniu w ich wnętrza – współistnieniu z nimi. O napotkaniu Bestii w lesie. O dwóch siostrach i o swym przerażeniu, że jest jak one, że jej miejsce jest przy nich. O Cerys i Fforddzie. I o wilku. Opowiedziała mu o otchłani, dodając, że otchłań ma pochłonąć wszechświat. Opowiedziała, jak co noc budzi się na drzewach, i o drugim spotkaniu z Angelicą. A na koniec o popielnym smaku w ustach i o łaknieniu, które pali jej wnętrzności.

Wzdrygnął się.

„Nic dziwnego, że tak na mnie spojrział. Na moją nagość reaguje odrazą. Jestem mu wstrętna, bo dotarło do niego, że nie różnię się od morderczyń jego bliskich”.

Kryjąc twarz w dłoniach, Alys powiedziała:

– Masz do czynienia z monstrem.

– Och, Alys, proszę cię, nie płacz. – Ostrożnie, by nie przewrócić łódki, Cian przysunął się do niej jak mógł najbliżej.

Nawet kiedy ujął ją za dłonie, nie odważyła się na niego spojrzeć.

Odwróciła oczy ku drzewom na brzegu. „Nagie korzenie i gałęzie zgarbione jak ramiona... Wyglądają nad tą wodą jak potwory”.

– Myślisz, że jestem ohydna. Nie przejmuj się. Myślę tak samo.

– Myślę tylko, że nie dziwi mnie twój ciągły smutek. Tłumiąc uczucia i mając sobie za złe wszystko, zapomina się przecież o radości.

– Cóż... – Alys wzruszyła ramionami. – Mam w sobie zło. Taka jest prawda.

Cian spojrzał jej prosto oczy i nie pozwolił już odwrócić wzroku.

– Po pierwsze: zdolność wchodzenia w innych to nie przekleństwo, Alys, to dar losu. Po drugie: komu odebrałaś duszę? Powstrzymałaś się w porę, nie skrzywdziłaś Cerys ani Ffordda. A wilk? Szczęściem zdążyłaś, bo inaczej by cię zabił.

Alys pokręciła głową.

– To nie tak. Mnie już prawie nie ma, Cian. Chcę być, ale się oddalam, rozumiesz? Czuję, że z każdą chwilą się zatracam.

– Nie puszcę cię. Twoje miejsce jest tutaj. Przy mnie. – Wyciągnął rękę i przygarnął ją znowu. – Nosisz zło, bo źle cię traktowali. Potwornością jest śmierć twoich rodziców. Miałaś siedem lat, gdy tamte ich zabrały. Co mogłaś zrobić? Dorośli chowają się za wielką bramą, a ty obwiniasz się, że nie sprostowałaś sytuacji?! Matka i ojciec, opiekunowie w Defaid... pokochali cię, więc obdarzyli troską. Odwzajemniałaś ich miłość przecież. Nie pozbawiłaś ich życia, Alys, ty ich straciłaś. Zrozum.

Alys spojrzała na niego i rozwarła usta. Szeroko, jakby chciała wchłonąć jego słowa. Syciła się nimi. Zaspokajała głód i pragnienie. „Opowiedziałam mu o sobie całą prawdę, poznał moje najciemniejsze zakamarki. A jednak siedzi tu wciąż ze mną i jak dar tuli do serca te wyznania. Lgnie do mnie, jest mnie ciekawy. Może zdołałby mnie więc tu zatrzymać?... Nawet i siłą. Skoro bierze mnie

taką, jaka jestem, może zaznam jeszcze kiedyś radości...”

Postanowiła dłużej z nim nie walczyć. Nie sprzeciwiać się. Ucisząc obawy, że nie zdoła okiełznać w sobie monstrum, pomyślała, że ten lęk zdławić może teraz tylko jedno. Podniosła się, przytuliła Ciana i przywarła ustami do jego ust.

Wpadli do wody, oszołomiło ich to i trochę zmarzli. Zaśmiewając się, Cian nie wypuszczał Alys z objęć – a w sercu Alys zagościło nagle jakby ciepło.



Do obozu wracali, trzymając się za ręce, przemoknięci do suchej nitki.

Kiedy wspinali się na ostatni pagórek między bagnami a suchą ziemią, Alys usłyszała gwar przekrzykujących się ludzi. Była to duża grupa Jezioran. Gdy jeden z nich odwrócił się i zobaczył, że nadchodzą, mur ciał rozwarł się – i ujrzeli dzieci z Gwenith.

Alys najpierw spostrzegła Enid i Madoga z niemowlętami na rękach. Na widok Alys Enid oddała niemowlę Beti i podbiegła do niej.

Gdy się przytuliły, Alys omal nie wzleciała, czując, jak spada jej z serca wielkie brzemię troski.

– Całych was zmoczę! – zawołała.

Odsuwając się z uśmiechem, Enid poklepała Alys po policzku. Dłonie miała szorstkie jak zawsze.

– Udało się wam – rzekła Alys. – Odnależliście nas.

– Gdyby było trzeba, do końca świata byśmy was szukali – odparła Enid. – Dziękujemy – zwróciła się do Ciana. – Pawł opowiedział

nam, jak ją ocaliłeś.

Cian wzniósł oczy do nieba.

– Ten jak zwykle pierwszy.

Alys zaczęła witać się z innymi. Najpierw podeszła do Rena. Onieśmieliła go. Przypomniała sobie, że gdy widział ją ostatnio, na twarzy miała kaganiec wiedzy i pobrzękiwała dzwoneczkami. „Nic dziwnego, że się przede mną cofa”. Gdy wyciągnęła rękę i dotknęła jego jedwabistych włosów, pojaśniał, lecz już po chwili znowu zwiesił głowę. Później witała kolejno wszystkie dzieci i liczyła je, wodząc palcem po schowanym w kieszeni spodni, mokrym teraz, kawałku płótna z wyszytymi imionami.

Niebo zasnuwał wieczorny granat. Jezioranie rozpalali ogniska. Jedni gotowali, inni zaś stawiali prowizoryczne namioty dla przybyłych. Później siedzieli, gawędzili, jedli. Śmiali się. „Zapada zmierzch, więc dzieci z Gwenith – choć nie muszą tu pilnować ogrodzenia ani owiec – są coraz bardziej niespokojne” – zauważyła Alys.

– Bezpiecznie tu? – spytał, rozglądając się, Madog. – Nie macie płotów ani kryjówek?

Pawł uniósł kubek.

– Dziś, chłopcze, wszędzie jest niebezpiecznie. Sądziłem, że wam o tym wiadomo. Doszły nas słuchy, że pożeraczki dybią na ludzi z gór. Zabiły rodziców Cianowi... Kilku kupców stąd wyprawiono się do wiosek i nie wróciło. Podejrzewamy, co ich mogło spotkać... – Pawł potrząsnął głową, łyknął wódki. – Pożeraczki, zdaje się, nie lubią tłoku. Szukają łatwiejszych kąsków. Są jak wilki.

– A Defaid? – zdziwił się Madog. – Tam nie powinno było pójść im łatwo.

– Mylisz się. – Pawł pokręcił głową. – Pomyśl: defaidianie pochowali się jak te króliki w norze. Mieli tylko jedną drogę

ucieczki, więc gdy wybuchł pożar, znaleźli się w pułapce. My tu się nie zamykamy. No i wciąż jesteśmy czujni.

Alys zdumiało to, ale się nie odezwała. Kiedy nocą budziła się na drzewie i wracała do namiotu, nie spostrzegł jej nikt. „Ani razu. Więc Angelica, Benedicta i Delwyn, jeśli zechcą, spokojnie mogą napaść na Krainę. Ciekawe, czemu nas omijają...” Przypominając sobie o otchłani, pomyślała, że nie pozwoli się uśpić radości z powrotu dzieci. „Pójdę i tak. Muszę. To jedyny sposób na zapewnienie nam wszystkim bezpieczeństwa”.

Rozmowa przeszła na temat nocy, podczas której spłonęło ogrodzenie.

– Byłem w jednej z wież – powiedział Madog. – I słowo daję, niczego nie zauważyłem ani nie usłyszałem. Dopiero gdy poczułem swąd, dotarło do mnie, że coś jest nie w porządku. Zadałem w gwizdek. Dzieci na ogrodzeniu też. Prawie w jednej chwili.

– Ogień musiał się szybko rozprzestrzeniać – rzekł Pawl. – Nieprawdopodobne, żeby to całe ogrodzenie runęło tak samo z siebie, trzask-prask.

– Mhm, a poza tym płonął w kilku miejscach. Ale to nie dlatego się zawaliło. – Madog pokręcił głową. – Zawsze się nam wydawało, że użycie gwizdka to wołanie o pomoc... No i wtedy po prostu zapomniałem, że na jego dźwięk defaidianie się chowają.

– Chcesz powiedzieć, że gdy wy dęliście w gwizdki i próbowaliście ugasić pożar, defaidianie pozamykali drzwi i okna i poszli do piwnic? – nie dowierzał Cian.

– Zgadza się – odpowiedział Madog. – A nas było za mało do walki z płomieniami. Wreszcie gamoń z Defaid, który trzymał straż tej nocy, poszedł do Najstarszego i zaczął dobijać mu się do drzwi, by go przekonać, że przyda się nam każda para rąk... – Madog zrobił długą pauzę. – Ale ogień dotarł już za daleko. Choćbyśmy wylali

jeszcze nie wiem ile wody... równie sensowne byłoby gaszenie go naparstkiem. Zostawiliśmy go więc, aby się wypalił.

Beti odkasznęła niepewnie.

– Ten chłopak z Defaid, konny, który nam powiedział, co się stało...

– Alec – dokończyła Alys.

– O, właśnie. Mówił, że pożeraczki dusz wabią ludzi do lasu.

– Tak – odrzekł Madog. – To pożeraczki nawiedziły wtedy wioskę. I pewnie one też spowodowały pożar. Gdy ogrodzenie całkiem się zawaliło, rozległy się śpiewy... Rzecz jasna, słyszałem już o nich. Ale gdybym nie usłyszał ich na własne uszy, chyba nie uwierzyłbym, że śpiew i szepty mogą być aż tak upiorne. Miałem wrażenie, że coś wpęła mi pod skórę, bada serce i mózg, czegoś szuka.

– Widzieliście je? – zapytała Alys.

– Widzieliśmy – odparła Enid. – Właściwie ich: dwie kobiety i małego chłopca.

– To był Delwyn – wyjaśnił Madog. – Choć wydaje się to niemożliwe. Opuścił nas dawno temu. Ale to na pewno on, poznałem go po tych jaśniutkich włosach.

– I nie zmienił się wcale – dorzuciła Enid. – Nadal był dzieckiem, choć powinien być w waszym wieku.

– Śledził nas, gdy odeszliśmy z Defaid – rzekł Madog. – Podkradał się do nas nocą, nawoływał.

Enid poklepała go po ramieniu.

– Uratował nas Madog. Widząc, że ogrodzenia nie ma, wysłał Elidira po dzieci na pastwiska, no i... odeszliśmy wszyscy. – Na tę myśl Enid się uśmiechnęła.

Alys też. „Po tylu latach życia w przekonaniu, że nie ma ucieczki, że zostaną tam do śmierci, wynieśli się stamtąd wreszcie. Poszli

w swoją stronę”.

– Starsi chcieli może was zatrzymać?

– Nie zdołaliby – odpowiedział Madog. – Najstarszy groził mi wygnaniem. – Roześmiał się. – Wyobrażacie sobie?! Wieś się pali, a ten mnie straszy. Zapytałem go więc uprzejmie, skąd to zamierza mnie wypędzać.

Alys z wrażenia zasłoniła ręką usta.

– Nie zrobiłeś tego! – zawołała.

– Jasne, że zrobiłem – odparł dumnie Madog. Po chwili jednak posmutniał. – Powinienem był to zrobić znacznie wcześniej, wszystkich was stamtąd wyprowadzić. – Spojrzał na Enid. – Błagała mnie, ale ja się bałem. Myślałem, że Defaid jest okropnym domem, ale mimo wszystko... Karmili nas, mieliśmy dach nad głową. Ale to nie było życie. Wstyd mi za siebie. Nigdy, przenigdy sobie nie wybaczę, że zatrzymałem nas tam tak długo.

Kiedy Alys wzięła go za rękę, przestraszył się. Nigdy dotąd go nie dotknęła.

– Robiłeś, co mogłeś. Jak my wszyscy.

– I co za życie dałem Renowi? Niemowlęta nie będą pamiętały. Ale Ren, szkoda słów, tak mi żal dziecka. Trudno uwierzyć, że tyle nocy patrzyłem, jak mój synek wspina się na ogrodzenie, wychodzi na pastwiska całkiem sam i tak wyczerpany... Zamiast opowiadać, że pokażę mu ocean, powinienem był go tam zabrać. Nie gadać, nie obiecywać.

Gdy rozmawiali, Enid siedziała przy Madogu, z jednym z bliźnięt na kolanach. „Nie pamiętam jej tak spokojnej” – myślała Alys. „I wygląda niebywale młodo. Prawie jak ta zaspana dziewczynka, która wtedy w Gwenith otworzyła nam drzwi, mnie i Pawłowi”.

Enid raptem coś przelękło. Rozejrzała się jak obudzona z transu. Wpijając palce w rękę Madoga, zapytała:

– Gdzie Ren?!

Zacząli się rozglądać, szeptać – ale Rena nie było, zniknął. Szepty przeszły w krzyki, zapanowało wielkie poruszenie. Enid spojrzała na Alys ze zgrozą w oczach.

– Gdzie się podział nasz syn?!

Gdy kilkoro dorosłych zostało w obozie z najmłodszymi, pozostali zaopatrzyli się w pochodnie i wyruszyli szukać Rena na mokradłach i nad jeziorami. Poszukiwaniami kierował Cian, bo tylko on umiał omijać niebezpieczne miejsca. Madog obawiał się, że chłopiec utonął. Nieraz przecież mu opowiadał o lazurze okalającym Byd jak wstęga. Pewnie więc już nie mógł się doczekać widoku tej bezkresnej, niezmierzonej wody.

„Kto wie” – zastanawiała się Alys. „Rzeczywiście mógł chcieć zobaczyć wodę. A skoro tak, to miejmy nadzieję, że nie oglądał jej z bliska i nie dotykał. Że nie skusiło go, by zamoczyć stópki, sprawdzić, jak to jest mieć szlam między palcami... Właśnie tego obawia się Enid i to tak, że gdyby jej nie przytrzymał Madog, bez namysłu pobiegłaby teraz sama szukać dziecka”.

Alys szła w tyle, dręczona myślą, że nie woda zagraża Renowi, tylko las. W pewnej chwili zatrzymała się i, spojrzawszy za gromadą z pochodniami, zawróciła z drogi i zaczęła nawoływać Rena, błagać, żeby się pokazał, by już dłużej się przed nią nie chował.

„Delwyn przywędrował za dziećmi aż z Defaid” – przypomniało jej się. „Czyżby czekał właśnie na ten moment, żeby zwabić do lasu Rena? Czyżby potrzebował towarzysza zabaw...? Delwyn nie jest dzieckiem, ani nawet człowiekiem. Nie kolegi więc szuka, lecz pokarmu. To dlatego tak mnie wtedy przywoływał. Nie z miłości – potrzebował się pożywić. A może to Angelica z Benedictą...? Może nadal usiłują kusić śpiewem Rena? Angelica już kiedyś go wołała, namawiała, żeby się do niej zbliżył...”

Alys przyspieszyła kroku – machinalnie, bo poczuła w nozdrzach

zapach Rena. Woń świeżego mleka i czystej ziemi.

– Ren, to ja, Alys! – zawołała. – Pokaż mi się, proszę!

Słyszając błaganie w swoim głosie, Alys poczuła, że musi znaleźć Rena nie dla jego dobra, ale dla własnego. Nie dlatego, że kochała go jak brata, tylko dlatego, że nie zniosłaby już dłużej smutku.

Gdy za drzewami mignęło coś białego, pomyślała ze zgrozą, że to Delwyn. „Ale nie! To ktoś w białej koszuli. Z ciemną czupryną. Nie unosi się, tylko przykucnął, by się schować”. Ogarnęła ją niewysłowiona ulga.

– Ren, to ja, Alys. Ale nam napędziłeś strachu. Chodź wreszcie do mnie. No, podejdź.

Kiedy Alys wyciągnęła rękę, Ren spojrzał na nią i zmrużył nagle oczy. Węsząc, poczuła woń kwaśnego mleka...

„Boi się mnie. To przede mną uciekł aż do lasu”.

Rozzłościło ją to, dotknęło. „Gdy spał, tuliłam go w ramionach, więc jak może się mnie teraz obawiać! Pokochałam go, wydawało mi się, że będziemy jak rodzina... A on patrzy na mnie podejrzliwie, jak dzieci z Defaid. Jak na potwora. Jak na potwora, którym jestem. Co za czelność!”

Z gorzkim smakiem popiołu w ustach, Alys zbliżyła się do Rena, który wzdrygnął się i przywarł do drzewa, rozglądając się za drogą ucieczki. Alys też się rozejrzała, ubawiona, że chłopiec łudzi się, iż się jej jakoś wymknie.

„Jeśli zechcę, dopadnę go w tej chwili”.

Tak pomyślała – nie ze zgrozą. Z rozkoszą. W poczuciu triumfu uniosła się nad ziemię. „Nie ja jestem godna pogardy, tylko on, ten mały potwór. Śmie mnie osądzać, tę, która się dla niego poświęcała! Naraziła się na karę, kto wie, na co! Skoro nawet Ren widzi we mnie demona, niby dlaczego miałabym go w sobie tłumić?”

Nie dotykała stopami ziemi. I nie dbała o to.

Ren zasłonił oczy, nie mogąc na nią patrzeć. Zaczął wołać wniebogłosy rodziców. Falami bił od niego odór zgrozy, pomieszany ze słodkawą wonią moczu.

Na płacz Rena Alys zawstydzila się siebie. Wielki żal przytłoczył ją, obezwładnił. Padła na ziemię i chwytając się kurczowo liści, błagała los, aby pozwolił jej znów stać się sobą. Podniosła wzrok na chłopca.

– Uciekaj – wyszeptała chrapliwie. – Tamtędy, Ren. Biegnij do rodziców.

Ukryła twarz w dłoniach i zapłakała. Tylko po kroczkach wśród szelestu liści poznała, że Ren się oddalił.

Potem Alys powlokła się do obozu. Straciła rachubę czasu, mogło to więc być i kilka godzin później.

W obozie panowała cisza, ale nie wszyscy poszli spać. Ktoś siedział jeszcze przy ognisku, wyczekiwał. Na jej widok podniósł się z kłody.

– Alys. – Cian przyciągnął ją do siebie i ucałował. – Zmarzłaś straszliwie. Siadaj.

Podprowadził ją do ogniska i gdy usiedli, owinął jej ramiona pledem. Wciąż dygotała, więc przytulił ją mocno. Choć próbowała ogrzać się jego ciepłem – nie mogła, bo serce jej zlodowaciało.

– Przestraszyłam Rena w lesie, Cian. Chyba właśnie się staję jedną z nich.

Cian pokręcił na to głową.

– Nie, Alys. Tylko zdaje ci się, że jesteś potworem. Nigdy w życiu nie skrzywdziłabyś Rena. Nie jesteś taka. Musisz sobie to w końcu uświadomić. Był sam, więc się wystraszył, ale nie ciebie, Alys.

– Nie było cię tam, Cian. Nie widziałeś, jak na mnie patrzył. Miał rację. Bo poczułam się jak potwór. I jakbym była zdolna do

potworności. Miałam wrażenie, że zrobię coś strasznego. – Cian przywarł do niej, całując ją po włosach. Poddała mu się, ale zaraz go lekko odepchnęła. – Słuchaj uważnie. Od dzieciństwa towarzyszą mi trzy stwory: Angelica, Benedicta i Bestia. Co dnia myślę, kiedy znów je spotkam. Zastanawiam się, po co w ogóle je widuję. Czego chcą. I czego ja chcę od nich. Za ich sprawą codziennie zastanawiam się, kim jestem. Zaznam spokoju dopiero, gdy się dowiem.

– Od kogo chcesz się dowiadywać, Alys? Nie wystarczyłoby uwierzyć mnie, że jesteś dobra?

Ogarniając wzrokiem jego twarz, Alys poczuła, że gdyby mógł, przychyliłby jej nieba. „Nigdy dotąd nikt mnie tak nie kochał. Chce dać mi szczęście, chce, bym była z nim szczęśliwa. A ja nie umiem” – pomyślała niemal z rezygnacją.

– To nie tak. Chcę ci uwierzyć, ale nie potrafię.

– Nie rozumiem. W końcu dotarłaś tu. I jest tu reszta dzieci. Czy to musi być aż takie trudne? Może spróbuj sobie wreszcie odpuścić.

Alys wzięła go za rękę.

– Widzisz, Cian, ja... mam coś do zrobienia. Wczoraj w nocy pokazała mi się we śnie Bestia. Przed laty opowiedziała mi o czeluści w górze – wielkiej otchłani, która pogłębia się za sprawą pożeraczek. No więc ta otchłań nieustannie się rozrasta. Zniszczy nas wszystkich, jeśli jej nie zamknę. Skoro usłyszałam to od Bestii, nie ma cienia wątpliwości, że to prawda. Więc czy zostanę tu, czy stąd odejdę, świat zazna szczęścia dopiero, kiedy zamknę czeluść.

– A czemu akurat ty? – zapytał Cian.

Alys wzruszyła ramionami.

– Bo jestem jak Angelica i Benedicta. Tak mi powiedziała Bestia.

– Jak zamkniesz otchłań? Jak je powstrzymasz, nie oddając życia, Alys?

– Nie wiem. Liczę, że dowiem się od Bestii.

– Nie musiałybyś iść sama – zauważył Cian. – Byłoby to wyjątkowo nierozsądne. Znam tę górę, ty jej nie znasz, Alys. Chętnie pomógłbym, gdybyś tylko się zgodziła.

Nie odpowiadając, położyła mu głowę na ramieniu. Wpatrywała się w płomień, aż zaczęły piec ją oczy. W ciągu kolejnych kilku godzin Cian podał jeszcze co najmniej dziesięć wersji tego argumentu. Chciał jej pomóc w drodze na górę. Pomóc obmyślić, jak ma zamknąć czeluść, aby wyszła z tego cało. Za każdym razem odpowiadała, że tylko ona potrafi się ocalić. Była tego pewna. Wiedziała też, że gdyby ciemność, którą miała w sobie, pogłębiła się – mogłaby skrzywdzić najbliższych, nawet jego. Upierała się więc, żeby został.

– Cian. – By go przekonać, przywołała jego słowa. – Ufasz mi, prawda? Ciągłe słyszę od ciebie, że mi ufasz. Że darzysz mnie miłością.

– Oczywiście, Alys.

– Skoro mi ufasz i kochasz mnie, uwierz. Muszę iść sama. Jeżeli nie puścisz mnie tam teraz, wymknę się przy pierwszej nadarzającej się okazji. – Na myśl o zniknięciu i przemianie Delwyna mocno chwyciła Ciana za rękę. – Muszę iść dlatego, że cię kocham. Kocham cię, więc by móc do ciebie wrócić, muszę wymazać czerń ze swojej duszy.

W końcu Cian uległ. Nie miał innego wyjścia. Godzinę przed świtem pomógł Alys zebrać niezbędne podczas wędrówki rzeczy. Trzymając ją za rękę, odprowadził ją na początek szlaku, skąd jego zdaniem miała najszybciej dostać się na górę. Gdy tam dotarli, Alys spojrzała na Ciana i powiedziała, że już czas, by zostawił ją samą. W tobołku miała trochę wody i jedzenia oraz koc i nasmarowaną tłuszczem płachtę, pod którą mogła się schronić.

Cian oparł się o drzewo, spojrział na nią i założył ręce na piersi.

– Będę tu na ciebie czekał, Alys.

I ona założyła ręce.

– Taaak? Tygodniami? Miesiącami? Jak długo?

– Wieki, jeśli to konieczne – odrzekł, uśmiechając się leciutko.

– Nie masz co jeść – zauważyła Alys.

– Im dłużej ciebie nie będzie, tym mniej będę głodny. Wrosnę w to drzewo. – Mocno przywarł plecami do pnia. – Stanę się drzewem, a ono stanie się mną. Kiedy wrócisz, zobaczysz na korze ledwie zarys mojej twarzy i ciała. Możesz zamieszkać tutaj, u stóp drzewa, i sypiać pod moimi gałęziami. – Chwycił ją za ręce i przyciągnął do siebie. – W twoich snach będziemy razem. – Pocałował ją.

W chwili podjęcia decyzji, że zostawi Ciana i resztę, i pójdzie za Bestią, by zmierzyć się z tym, co ją czeka – Alys poczuła się pewniej. Teraz przymknęła oczy, zapamiętując miękkość warg Ciana, szorstkość jego policzków i słonowodny zapach skóry. A potem odwróciła się i ruszyła w drogę, nie oglądając się za siebie.

Nadzieje Alys, że cały dzień i jeszcze wieczór wystarczą jej na znalezienie Bestii, okazały się płonne. Umysł miała jak zazwyczaj czujny, ale ciało zawiodło ją. Z początku wspinała się dość szybko, lecz kiedy zaległ gęsty mrok, raz po raz przewracała się na głazach, niedostrzegalnych w księżycowym świetle.

Rozbiła więc obóz. Nie czuła głodu i zupełnie zapomniała o jedzeniu, ale drzenie kończyn uzmysłowiło jej, że powinna się posilić. Zjadła kilka suszonych owoców i kawałek owsianego ciasteczka, po czym zwymiotowała wszystko. Starając się nie myśleć, dlaczego jej żołądek nie toleruje już jedzenia, stwierdziła, że musi się przespać. Postawiwszy prowizoryczny namiot z płachty,

zwinęła się w kłębek na kocu.

Nagle zbudziła się na drzewie.

Aaaaaalyssssssssss

Rozejrzała się, próbując przebić wzrokiem ciemność. Przycupnięta na gałęzi, czując przestrzeń wokół, była wolna. Nie przeszkadzało jej, że nie leży na pościeli.

Aaaaaalyyyyyysss

Był to Delwyn. Przypomniała sobie ten jego świdrujący głosik i to wrażenie rozdrapywania mózgu.

Aaaaaalyyyyyysss, pooooodeeeeejdz

Popęzła wstecz i ześlizgnęła się na ziemię. Spojrzała w rześki mrok, przenikając go wzrokiem. „Tu, na górze, jest o wiele zimniej” – pomyślała.

Wtem go ujrzała. W promieniach księżycy zamigotały białe jak len włosy. Delwyn wychylał się zza drzewa, jakby droczył się z nią.

– Czego chcesz? – zapytała.

Przemknął do innego drzewa. Wyjrzał zza niego.

– Nie wygłupiaj się, Delwyn. Wiem, czym jesteś.

– A ja wiem, czym jesteś ty. – Roześmiał się jak rozbrykane dziecko. Bardziej drażniąco jednak i zjadliwie.

Wyszedł zza drzewa i poszybował ku niej, bez wahania już – i bez kpiny.

Jego twarz nie była twarzą dziecka.

„Jak mogłam sądzić, że będzie inaczej? Dlatego, że spodziewałam się dziecięcej buzi? Czy dlatego, że całą sobą pragnęłam ujrzeć znów mojego Delwyna – chłopczyka, którego kiedyś przytulałam, którego serce biło tuż przy moim sercu? Ale przecież to już nie Delwyn, to coś nie przypomina go nawet. Skórę na twarzy ma mocno napiętą, tak przezroczystą, że prawie jej nie widać, a jego

zielone kiedyś oczy są czarne, czarniejsze od głębokiej nocy. Wyglądają jak dwie dziury w głowie. Jak dwie ziejące czeluści”.

Na ich widok zakłuło ją w piersi.

I znów, mocniej. Złapała się za serce.

„O nie!!!”

– Nie, Delwyn. Ze mną nie pójdzie ci tak łatwo. Jestem inna niż ci nieszczęśnicy, którym odbierasz duszę.

Kłucie przeszło. Nie miał nad nią władzy. A ona знаła tego powód. Zdradziła go twarz. „Moja odmienność polega na tym, że widzę istotę rzeczy, prawdę o nich. Odkąd pamiętam, zawsze ją dostrzegałam... Pod piękną maską nieraz kryje się brzydota, a zła czy dobra nie znajdujemy tam, gdzie ich szukamy”. Zobaczyła więc, że Delwyn nie jest jej małym przyjacielem, który uciekł, oplakując braci. Tamten chłopiec dawno już umarł. Ten Delwyn był zupełnie inny. Przeniknąwszy jego skórę, w miejscu serca Alys zobaczyła popiół.

Wykrzywiony w okrutnym grymasie, Delwyn ruszył w jej stronę lotem strzały. Nie cofnęła się, nawet nie drgnęła. Wtem zawisł w powietrzu i dotknął swojej twarzy, jakby oczami Alys ujrzał siebie i swą potworność. Spojrzał na dłoń, równie kościstą jak oblicze. Wpatrując się w nią, zawrócił i pomknął wysoko, schował się gdzieś w górze, tam, gdzie Alys nie mogła już go dojrzeć.

Nazajutrz rano Alys poczuła, że spotka Bestię, nim skończy się dzień. Miała wrażenie, że Bestia jest tuż obok, tak blisko, jakby wędrowały razem. Nieustannie rozglądając się na wszystkie strony, nie widziała jej ani nie słyszała.

Nie zjadłszy nic na śniadanie, była osłabiona, wyczerpana. Dręczył ją obraz martwej twarzy Delwyna, tak że do rana nawet nie zmrużyła oka. Gdy, wspinając się, ugryzła jabłko, żołądek znowu podszedł jej do gardła, więc wyrzuciła je w gęstwinę.

Gdzie poturlało się pod pazurzastą łapę Bestii.

– *Chodź. Już czas.*

Bestia pokazała się i momentalnie zniknęła wśród listowia. Alys pędem rzuciła się za nią w głąb lasu. „Jak tu dogonić skrzydlate stworzenie!” Później znów zobaczyła ją w oddali, więc wbrew znużeniu pobiegła w tamtą stronę.

I tak Alys podążała za Bestią, nie dbając o to, że pali ją w przełyku, że upadając nie wiadomo ile razy, poraniła uda i kolana. Popołudnie przechodziło w wieczór, światło więc zrobiło się złociste. Potem różowe. Pokonując coraz większe stromizny, Alys nie rozglądała się już. Kiedy jednak zerknęła raz do góry, zobaczyła, że wysoko nad jej głową stoi na skalnej półce Bestia. Zmrużyła oczy, bo Bestię oświetlały od tyłu promienie zachodzącego słońca.

Przyspieszyła. Kiedy zbliżyła się do szczytu, Bestia wychyliła się, chwyciła ją szponami za ramię, uniosła i posadziła na płaskiej skale. Alys popatrzyła na Bestię. Olbrzymia, włochata, ze skrzydłami i ostrymi kłami, wyglądała groźnie, ale było w niej coś łagodnego.

Alys chciała spytać, jaka jest naprawdę, ale wiedziała, że nie uzyska odpowiedzi. „Równie dobrze mogłabym pytać wiatru, czy jest zły, czy dobry. Bestia też jest ani taka, ani siaka... Kiedyś chciałam móc uznać się za dobrą. Odtąd pragnę już tylko być jak Bestia. Ani taka, ani siaka. Ale boję się, że jestem bardziej zła niż dobra”.

Bestia nie patrzyła na Alys. Spoglądała naprzód. Kiedy Alys podchwyciła jej spojrzenie, Bestia poprowadziła ją dalej.

Szara skała ustąpiła miejsca trawie i niskim skarłowaciałym krzewom. Raczej ich kształtom, bo poza skałą wszystko składało się z popiołu. Pod stopami Alys i Bestii popielna trawa rozsypywała się w pył. Popielne krzewy rozpadały się, ilekroć Alys ledwie musnęła je opuszkami palców. Wreszcie widząc, że dłoń jej szarzeje, Alys prędko wytarła ją o spodnie. „Żeby się tylko nie zmienić w popiół” – pomyślała z obawą.

Za popiołem ziała wielka czarna otchłań. „Przepastna tak, że mogłaby pochłonąć Defaid”. Unosiła się nad nią woń... nicości. Zapach był tak obojętny, jakby w tej głębinie nie istniały już światło, dźwięk ani jakikolwiek inny ślad ludzkiego albo zwierzęcego życia. Nawet w snach i w chwilach bezsilności Alys nie doznała uczucia takiej pustki.

– Boję się – rzekła. – Mówiłaś, że gdy będę gotowa, odgadnę, jak zamknąć otchłań. Ale nie odgaduję.

Ze skurczem zgrozy w pustym żołądku Alys pomyślała, że może gdyby podeszła do otchłani, pokierowałby nią instynkt. „Może przeniknę to jak ludzi, kiedy ich dotykam. Matce też wystarczyło dotknąć chorej...” Miała nadzieję, że uda jej się zamknąć otchłań tak jak matka nauczyła ją leczyć rany, że przeczuje, jak usunąć truciznę.

Ale widząc przed sobą czarną otchłań, rozdziawioną jak nienasycona paszcza, Alys stwierdziła, że prędzej czy później utonie w niej całe Byd – i wzdrygnęła się.

– *Pożeraczki dusz stwarzają otchłan. Aby ją zamknąć, musisz je powstrzymać. Jeśli nie zrobisz tego, staniemy się nią wszyscy. Wszyscy staniemy się nicością.*

– A czemu ty nie możesz ich powstrzymać? Dlaczego muszę to być ja? – Znienawidzony strach zakwitł w sercu Alys.

– *By je powstrzymać, trzeba być jak one. Ja nie jestem jak one.*

– A ja jestem – odparła Alys, czując w ustach smak tej gorzkiej prawdy. Prawdy, której nigdy nie udało jej się odegnać, prawdy, która nieustannie do niej powracała: „Bestia potrzebuje mnie, bo jestem potworem. Potrzebuje potwora, bo to paskudne dzieło”.

– *Jesteś jak one. Lecz nie jesteście nimi.*

„Jak one, lecz nie nimi. Jak one, lecz nie nimi” – Alys powtarzała te słowa w myślach, próbując w nie uwierzyć. „Czyli jednak mam szansę. Mam wybór...” Konieczność podjęcia decyzji przeraziła ją. Słońce skryło się za horyzontem. Świat pociemniał, a Alys poczuła ogrom otchłani i swoją znikomość.

– Gdzie je znajdę?

– *Chłopiec śledzi cię. Nie będziesz go musiała szukać.*

– A siostry?

– *Jedna jest po mojej stronie. Od niej dowiesz się, jak odnaleźć drugą.*

Bestia powiodła Alys poprzez mrok ku wejściu do jaskini. Tam wskazała jej pochodnię i krzemień.

– *Zapal i wejdź. Ja nie pójdę. Masz iść sama.*

Potem zerwała się i wzbiła w górę, z łopotem skórzastych skrzydeł rozpląnęła się w ciemnościach.

Alys weszła do jaskini. Powietrze zgęstniało, zwilgotniało i oziębiło się w jednej chwili. Światło latarni oświetlało tylko przestrzeń wokół Alys – skalne ściany po obu jej stronach i podłozę tuż przed i za nią. Brakowało powietrza. Wcale go nie było. Alys

walczyła z przemożną potrzebą wzięcia oddechu, obrócenia się. Mijały kolejne minuty, a Alys posuwała się naprzód. Ciasne przejście rozszerzyło się raptem – i znalazła się w niewielkim pomieszczeniu. Siedziała tam kobieta.

Siedziała na ziemi, tyłem do skalnej ściany, obejmując ramionami podciągnięte pod brodę kolana, ze spuszczoną głową. Włosy, poprzetykane liśćmi, gałązkami, zmatowiały od błota, zasłaniały ją całą. Alys nie widziała twarzy kobiety, wiedziała jednak, że to nie Angelica. Przy Angelice czuła coś innego.

– Benedicta? – zapytała Alys.

Gdy istota podniosła głowę, by na nią spojrzeć, włosy na jej twarzy rozdzieliły się.

Była szkaradna. Wszystko w niej, co kiedyś zachwyciło Alys, wyglądało karykaturalnie. Wyszła. Policzki jej się zapadły. Pod przezroczystą skórą widać było kości. Oczy miała ogromne, całkiem czarne, pozbawione białek, a wargi sine jak trup.

Alys przestała myśleć racjonalnie. Chciała tylko się stamtąd wyrwać.

– Tak, jestem Benedictą – odezwała się istota. – Czekam na ciebie. Bestia obiecała mi, że przyjdiesz.

Alys raczej poczuła głos Benedicty niż usłyszała go. Stworzenie nie poruszyło ustami, a jednak głos przeniknął do jej wnętrza, owinał się wokół serca. Alys wchłonęła bezdenną rozpacz Benedicty, jakby była to jej rozpacz. Benedicta przemówiła tęsknotą do pełnej pragnień Alys – Alys zaś poczuła, że mimo udręki, Benedicta nadal jest groźna. „Gdybym poddała się, uległa choć na chwilę, mogłabym nigdy nie wyjść z tej jaskini”.

– Po co tu jesteś? – zapytała Alys.

– Żeby zginąć – odparła Benedicta. – Nie mogę już. Dłużej nie wytrzymam. Straciłam żądzę... Jestem wyczerpana. Pragnę już

tylko odpoczynku.

Słowa Benedicty dźwięczały w piersi Alys – ale Alys im nie ufała. Nie ufała jej. „Benedicta i Angelica obiecywały dzieciom z Gwenith wytchnienie, a zadawały im śmierć. Właściwie nie. Zadawały im coś gorszego. Przeobrażały je w nicość”.

Alys przypomniało się, jak Angelica powiedziała jej, że Benedicta odeszła z zazdrości o Delwyna.

– Czemu nie jesteś z Angelicą? – zapytała, ciekawa reakcji Benedicty.

Benedicta potrząsnęła głową.

– Błagałam ją, aby przestała, dała nam wytchnąć. Ale Angelica nie przestanie nigdy. Jej głód jest nienasycony.

– Mówiła, że to przez Delwyna – odrzekła Alys. – Że byłaś o niego zazdrosna, więc chciałaś, abyście go porzuciły.

Benedicta wyprężyła się, wydając krzyk tak głośny i bolesny, że gdy rozbrzmiał echem, Alys omal nie upuściła pochodni i nie zasłoniła uszu. Kiedy znów zaległa cisza, Benedicta złapała się za głowę i rzekła:

– To Angelica zmęczyła się tym chłopcem. Gdy jego woń stała się kwaśna i nieświeża. Kiedy zaczął śmierdzieć, przeraźliwie cuchnąć.

Alys przypomniał się dawno zmarły Delwyn, dziś nie dziecko już, tylko stwór z popiołu.

„One mu to zrobiły”.

– Zostawiłam Angelicę – ciągnęła Benedicta – bo jestem skończona. Jestem gotowa być nicością. – Podniosła na Alys czarne, wyzute z blasku oczy. – Chcę, byś zabrała mi duszę.

Alys cofnęła się i mocno potrząsnęła głową.

– O, nie. Robiąc to, pogłębiłabym tylko otchłań.

Alys wyobraziła sobie, jak otchłań rozrasta się, połykając Ciana,

Pawła, Beti, Enid, Madoga, Rena i inne dzieci z Gwenith. Wyobraziła sobie, jak ich twarze zapadają się i czernieją. Potem znów pomyślała o Delwynie i o tym, co zrobiło z niego polowanie na ludzkie dusze, pożeranie ich. Co zrobiło z tą istotą, którą miała przed oczami.

– Otchłań przeraża mnie – oznajmiła Benedicta. – A zarazem kusi. Dlatego tutaj przyszedłam. Bestia mówiła, że stanę się nicością, kiedy skoczę w otchłań. Ale to się nie uda. Nie mogę.

– Musisz – odpowiedziała Alys. – Skoro Bestia twierdzi, że to jedyny sposób, musisz się rzucić w otchłań.

– Niejedeny. Bestia przyrzekła, że ty mnie zabijesz. – Głos Benedicty przeszedł w syczenie, a twarz wykrzywiła się dziko. – Obiecała, że zrobisz to, jeżeli tu zostanę.

„Bestia mówiła, że poczuję, co mam robić. Ale ja czuję tylko desperację”.

– Muszę powstrzymać Angelicę. Bo inaczej nie przestanie niszczyć. Obróci świat w pustkowie. Wiesz, gdzie jest?

Benedicta znów się wykrzywiła, teraz jakby próbując się uśmiechnąć.

– Proponujesz mi więc układ... Pomogę ci odnaleźć moją siostrę, a ty w zamian pozbawisz mnie duszy?

Alys poczuła się pokonana. Została pokonana. „Mimo osłabienia stwór wciąż jest przebiegły, a ja nie mam aż takiego sprytu. Chciałam tylko zamknąć otchłań, uratować bliskich. A przez to się oczyścić. Ale może jestem zbyt zepsuta...” Przypomniał jej się dzień z Cianem, w łódce. „Czy to nie było zaledwie dwa dni temu? Cian uważa mnie za dobrą...” Pomyślała o matce. Ojcu. Mamie. Tacie. Małej Gaenor. O tych, których kochała i straciła; których nie mogła ocalić.

„Aż do tego doszło... Skoro nie mogę uratować siebie, uratuję

Ciana. Ocalę Pawła i Beti, Madoga i Enid. No i Rena. Małego Rena, któremu napędziłam strachu. Może i jestem zagubioną... pustą duszą, ale oni nie są” – pomyślała Alys.

– Tak – odparła. – Odbiorę ci duszę, jeśli pomożesz mi odnaleźć Angelicę.

Benedicta podeszła do niej na czworakach. Niezbyt blisko, a jednak za blisko.

– Zdradzę ci, gdzie jej szukać. Potem musisz odebrać mi duszę. Słuchaj...

Alys włosy zjeżyły się na karku. Nie była chytra, ale nie była głupia.

– Nie. Pójdiesz ze mną. Zaprowadzisz mnie do niej. A potem, tak, odbiorę ci duszę.

Benedicta oblizwała usta czarnym jęzorem.

– Nie podoba mi się ten układ. A jeśli mnie oszukasz...? Mnie i siostrę już to kiedyś spotkało.

– Nie oszukam. Wiem, że widzisz mnie na wylot, Benedicto. Widzisz, że nie knuję. Chcę tylko powstrzymać Angelicę. A potem zrobię to, co ci przyrzekłam. – Alys nie kłamała. Dotarło do niej, że też marzy, by to wszystko nareszcie się skończyło. On także była wyczerpana.

– Dobrze więc. Tak się umawiamy. Lecz jeśli zdradzisz mnie, odnajdę twego chłopca – wysokiego, o piwnych oczach. Radosnego... Widzę go w twoim sercu. Tak... tego. – Zaśmiała się ponuro, obnażając zęby. – Widzę go w tobie. Mocno go obejmujesz. Jeżeli zdradzisz mnie, dziewczyno, odnajdę go, a gdy się z nim policzę, nie zostanie po nim nawet cień wspomnienia.

Alys zapłonęła gniewem, poczuła w nozdrzach jego ostry, gorzki odór. Zanim ją objął, zdławiła go, stłumiła.

– Wyruszmy rano – rzekła. – O brzasku.

Gdy odwracała się już, aby odejść, Benedicta podpełzła do niej i chwyciła ją za ramię wyschlą ręką.

– Dotrzymaj słowa, bo inaczej ich zabiję.

Noc była czarna jak atrament, kiedy Alys wyłoniła się z jaskini i wciągnęła do płuc haust świeżego powietrza.

Alys poczuła, że otchłań jest blisko, choć jej nie widziała. Była teraz poza granicą popiołu, w porośniętej karłowatymi drzewami i krzewami okolicy pełnej dużych formacji skalnych. Ale wiedziała, że otchłań jest nieopodal. Wiedziała też, że nieustannie rośnie, zbliża się do niej. Czuła to w sercu, w duszy.

Rozwiesiła płachtę i wczółgała się pod nią, ale sen nie przychodził. Wyczołgała się więc z powrotem, rozpałała niewielkie ognisko i wygrzebała z tobołka wodę. Ze strachu przed tym, co ją czekało, zaschło jej w ustach, ale też chciała się ochłodzić.

Czas płynął. Alys wpatrywała się w płomienie. Przez głowę przelatywały jej obrazy. Twarz Ciana. Na wspomnienie o jego pieszczotach i pocałunkach nie poczuła, jak zawsze, podniecenia. Ogarnęła ją tylko rozpacz. „Składając Benedyktynie obietnicę, zamknęłam sobie drogę do szczęścia. Jeśli zrobię to, o co mnie poprosiła, bezpowrotnie stracę Ciana – i stanę się taka jak one. Wtedy sama zapragnę śmierci w otchłani. Czy właśnie to zaplanowała dla nas wszystkich Bestia...?”

Alys patrzyła na ogień jak w transie. Oczy łzawiły jej, lecz nie mrugnęła ani razu. Gdy żar przenikał ją, parzył jej policzki, skupiona na nim, starała się nie czuć nic innego.

Wtem za ogniskiem w mroku mignęły białe stópki.

– Alys.

Zobaczyła Delwyna. Choć twarz miał upiorną jak wczoraj, czuła,

że coś się w nim zmienia. Coś, czego dotąd nie umiała przeniknąć, zaczęło pękać jak skorupa orzecha.

– Tak, Delwynie.

Gdy nie odzywał się przez moment, pomyślała, że znowu jej umknie.

– Pamiętasz ogrodzenie? – spytał ni stąd, ni zowąd.

– Jasne – odpowiedziała. – I pamiętam, jak mnie ocaliłeś. A ty pamiętasz?

Delwyn podniósł głowę i z wysiłkiem, wolno rozwarł czarne oczy.

– Pamiętam braci. Jak Starsi mieli im za złe, że umarli, jak patrzyli na mnie, jakbym był potworem. I jak znienawidziłem wtedy Starszych.

„Nienawiść. Znam to uczucie. Znienawidziłam Ffordda i Cerys z całej duszy. Nienawiść najpierw rozgrzała mi wnętrzności, a później spopielala mi w ustach”.

– Albon i Aron byli przemili, ty też byłeś uroczym chłopcem – rzekła Alys.

– Byłem – odpowiedział Delwyn. – Ale już nie jestem, prawda? Jestem stary. Stary i... – Uniósł dłoń do twarzy. – Brzydki. Pamiętam, jak byłem dzieckiem, Alys. Lecz już nie czuję w sobie dziecka. Dzieciństwo jest jakby historią, którą ktoś opowiedział mi dawno temu... Historią, w którą już nie wierzę.

Patrząc na niego, Alys starała się przywołać Delwyna, jakiego знаła przed laty. Próbowwała wymazać sprzed oczu jego obecną, makabryczną postać – i zobaczyć tylko jasne włosy i gibkie, zwinne ciało. Zobaczyła go takiego przez sekundę.

– Usiądziesz ze mną? Tutaj, przy ognisku.

Delwyn zawahał się, ale po chwili przykucnął naprzeciwko Alys.

– Dzieci z Gwenith, które uciekły... Zabiłeś je? – spytała, lękając

się odpowiedzi.

Delwyn kiwnął głową.

– Część ja. Część Angelica z Benedictą.

Alys wyjęła z kieszeni spodni strzęp koszuli z wyszytymi imionami. Powiodła po nich palcem. „Biedactwa” – pomyślała. „Wyczerpane, marzyły tylko o wytchnieniu”.

– Nie chciałem czynić zła – szepnął Delwyn. – Dawałem im to jedynie, czego chciały. Czego chce każdy.

– Co takiego?

– Śmiałość i sen.

– Tego chcieli Albon i Aron, gdy zabijały ich Benedicta i Angelica? – Pytanie było okrutne, rozmawiała jednak nie z dzieckiem, lecz z potworem. „Potworem, który zabił tylu nieszczęśników... Wabił ich śpiewem, wysysał z nich istnienie, a potem znikał” – pomyślała Alys.

Delwyn zwiesił głowę między kolanami. Jak Benedicta. „I jedno, i drugie nie może już na siebie patrzeć albo chce schować się ze wstydu. Tak jakby właśnie się przejrzeni w lustrze i zniesmaczyły ich własne odbicia”.

– Już nie są zmęczeni. Ani się nie boją.

– Nie odczuwają niczego. Bo ich nie ma.

Delwyn podniósł głowę.

– Też chcę nie być. Pomogłabyś mi odejść, Alys? Już nie żyję. Umarła moja dusza. Obrócona w popiół, jakoś trwa jeszcze... Zabić mnie to dla ciebie błahostka. Prawie jak byś nie zabiła nikogo.

„Obiecałam zabrać duszę Benedikcie. Dotrzymam słowa. Ale jego nie zabiję. Nie potrafię. Na pewno jest inne wyjście” – myślała Alys. „Bestia powiedziała Benedikcie, że aby nie cierpieć więcej, może skoczyć w otchłań, więc Delwyn też... Nieee, to coś potwornego!”

Przeszły ją ciarki, ale zaraz sobie przypomniała, że Delwyn nie jest już Delwynem.

– Rzuć się w otchłań. Potrwa to krótko, nic nie poczujesz, a potem cię nie będzie.

Delwyn zacisnął sine usta.

– Boję się otchłani.

– Ty ją stworzyłeś. Ty i Benedicta z Angelicą. Jest częścią ciebie, niech więc da ci, czego pragniesz. – Na myśl, że ofiaruje mu nicłość, Alys wzdrygnęła się. „Gdyby jednak przyczynił się do uleczenia tej ziemskiej rany, miałby swój udział w przywracaniu tam życia”.

– Pójdiesz ze mną? Nie chcę iść sam.

Alys znów zobaczyła w nim dziecko. „Czy to złudzenie? Jego twarz tak się mieni w blasku ognia... Czy mój smutek – i pragnienie, by był znowu tamtym chłopcem?” Obudziła się w niej dawna tkliwość wobec niego. Wobec małego przyjaciela.

– Pójdę. Chodźmy.

Alys wstała i podeszła do Delwyna. Ujęła go za rękę.

Jego dłoń była chłodna i sucha, jakby złożona z samych tylko kości. Podniósł się i ruszyli ramię w ramię, Delwyn ulotny przy Alys jak cień. Znał drogę lepiej niż ona, bo szedł pewnie, nie zważając na ciemność i przeszkody. Wreszcie zatrzymał się.

Kiedy otchłań była dziesięć stóp przed nimi, zaczęli grzęznąć w popiele. Alys ogarnął przestach, że za chwilę zapadnie się w nim cała. Nie wypuszczając rączki Delwyna z dłoni, poczuła w nim tę samą zgrozę.

– Będzie szybko i bez bólu? – Delwyn podniósł głowę. W świetle księżycy jego twarz była szczera.

Alys zapiekły oczy. Spojrzawszy na przyjaciela, przypomniała sobie lata poszukiwań... „Znów go tracę”. Przeszył ją dreszcz żalu. Lekko ścisnęła jego dłoń.

– Tak, Delwyn. Bezboleśnie. Potem nigdy już nie zaznasz bólu.
Patrząc przed siebie, Delwyn puścił rękę Alys. Odwrócił się do niej.

– Żegnaj, Alys.

Dziesięć kroków... Jasna główka zginęła w czerni. Przepadł.

Alys padła na kolana i zapłakała.

Ranek nazajutrz był stalowoszary. Skały smagał bezlitośnie wicher.

Benedicta nadal starała się przekonać Alys, aby ta odebrała jej duszę. Odmawiała zaprowadzenia Alys do Angeliki. Pytając wciąż: „Niby dlaczego mam iść z tobą?”, podfruwiała do niej i cofała się raz po raz. „Obiecałaś – jęczała – ale kłamiesz. Ludzie kłamią, kłamią bez ustanku”. Kiedy szarpała się, gdy wiła się jak piskorz, wzlatywały wkoło liście i patyki.

Protestowała nawet, gdy już wyruszyły. Oskarżana zaś o zdradę, Alys powtarzała: „Zabiję cię. Ale najpierw zaprowadź mnie do siostry. Dotrzymam słowa. Nie martw się. Nie kłamię”.

– Tak mówią kłamcy – odpowiadała Benedicta.

Alys szła za nią przez bezkresny las sosnowy. Gęstniały drzewa, gęstniał mrok. W głuchej ciszy gdzieś zaszemrał tylko czasem strumień, dał słyszeć się szelest umykającego owada. Po kilku godzinach, gdy Benedicta zamilkła, Alys zadała jej dręczące ją pytanie:

– Co decyduje o odebraniu duszy, Benedicto? Czemu Defaid, a nie Kraina Jezior, powiedz.

Benedicta długo się nie odzywała, na przemian pełznąc po kamieniach i szybując. Wtem zatrzymała się i zerknęła na Alys przez ramię. Alys omijała dotąd wzrokiem jej czarne oczy, zapadłe policzki. Ale teraz musiała na nią spojrzeć. Uczucia, które odmalowały się na twarzy Benedicty, poczuła tak jak własne. Głód. Gniew. Gorycz. I strach.

– Siostra i ja polujemy tylko nocą. Tropimy tylko i wyłącznie

samotników. Tak jest bezpieczniej. Zakradamy się, porywamy, znikamy.

Gdy Benedicta odwróciła się i poszła dalej, Alys znów zapytała:

– Czemu więc Defaid?

Alys wbiła wzrok w ubłocone, pełne liści włosy Benedicty. Pożeraczka dusz zastygła nad kamieniem, nie jak kobieta, lecz jak stworzenie z dna jeziora.

Obejrzała się, unosząc kącik ust w uśmiešku.

– Nie mogliśmy się powstrzymać. Przywodziło tyle wspomnień... o innych czasach, innej wiosce. Pamiętasz. Byłaś tam.

Ciekawość Alys zgasła. „Ta inna wioska to mój dom, to Gwenith. A teraz nie mam domu. Nie mam ochoty rozmawiać z Benedictą”. Zamiast gniewu, Alys poczuła wielką żalność. Tak dojmującą, że ledwie mogła stąpać.

Dopiero po godzinie otrząsnęła się – i odegnała smutek. „Na co mi on teraz?” – pomyślała. Wtem, nie wiedzieć kiedy, obcy odgłos rozbrzmiał jej w uszach, narastając. Cichy jak szept z początku, przybierał na sile, toczył się jak grzmot, wreszcie stał się wszechobecny.

Uzmysłowiła sobie, że wkoło jest jasno. Że ma nad sobą tylko bezmiar nieba...

Morze, kiedy nareszcie ukazało się jej oczom, wyglądało tak jak w opowieściach Rena. Było bezkresne, niewyobrażalnie dla niej wielkie. Tak odmienne od paskudnej otchłani, żyło. Z wrażenia Alys aż westchnęła, przestała myśleć. Podeszła nad skraj urwiska, spojrzała w dół, zdumiała się potęgą wody. Uderzające z hukiem o skały fale, eksplozje białej jak śnieg piany były piękne i zarazem straszne.

„Nic dziwnego, że Ren tak pragnął je zobaczyć”.

Przysiadłszy na ścieżce przed Alys, Benedicta spiorunowała ją

wzrokiem.

– Podobno spieszy ci się – powiedziała.

Patrząc na bezmiar wody, o istnieniu którego dotąd tylko słyszała, Alys doznała wstrząsu. I zaraz ulgi, jakby z ramion spadł jej ciężar, którego do teraz była nieświadoma. Nie wiedziała, jak spełnić obietnicę, nie tracąc przy tym życia. Ale wczorajsze spotkanie z Delwynem natchnęło ją otuchą. Nadzieją, że nie jest stracona. „Może jednak zdołam się uratować, ratując innych. Skoro Delwyn pokonał w sobie strach przed otchłanią i poddał się jej, może jakoś przekonam też do tego siostry. Może jak w nim – w nich także mieszka jeszcze dziecko...”

Ruszyła dalej za Benedictą. Pod nimi było morze. Gdy Benedicta zatrzymała się i wskazała wielkie drzewo w kształcie drabiny, niebo pociemniało. Przez szczeliny w chmurach przedzierały się nikłe promienie złocistego światła. Drzewo było strzeliste i samotne, a gałęzie wyrastające zeń po obu stronach przypominały szczeble. Na jego szczycie, czterdzieści stóp nad sobą, Alys ujrzała coś w rodzaju gniazda. Domku.

– Pójdę pierwsza – rzekła do Benedicty. Nie odważyłaby się stawić czoła obu naraz.

Uszy Alys wypełniał szum morza, nogawki spodni łopotały na wietrze. Zaczęła się wspinać. I raniąc dłonie na szorstkiej korze, nie zatrzymała się nawet raz. Stąpała pewnie, pamiętając, żeby nie przyspieszać. „Jeden fałszywy krok – i zginę, a wraz ze mną wszyscy, których kocham”. Co pewien czas spoglądała w dół, ostrożna, czujna – Benedicta pięła się z mozołem za nią.

Dotarłszy do wierzchołka drzewa, Alys podciągnęła się na drewniany podest, podtrzymujący maleńki, kryty strzechą szałas. Podniosła się na nogi i spojrzała w dół, a potem w lewo i w prawo. Wybrzeże ciągnęło się w nieskończoność. Urwiska, zarośla, woda... Ani śladu Angeliki. Podała rękę wciąż posępnej Benedikcie.

– Poradzę sobie sama, ty oszustko.

Gdy Benedicta wgramoliła się na podest, Alys otworzyła pchnięciem drzwi szałas. Weszły do środka.

Maleńki szałas skojarzył się Alys z miejscem znanym jej z przeszłości. Dopiero po chwili przypomniała sobie chatkę na zboczu góry, dokąd zaprowadziła ją Bestia. „Niby inaczej tu, a tak podobnie” – pomyślała. „Siostry chciały stworzyć sobie tutaj dom”.

Patrząc na dwa proste posłania z mchu i liści, Alys poczuła, że ktoś za nią stoi, odwróciła się więc. Zobaczyła w progu Angelicę – lustrzane odbicie Benedicty. Jej uroda przeminęła. „Dlaczego nie przejrzałam jej od razu! Czemu dałam się zwieść pozorom!” Serce Alys zabiło tak głośno, że Angelica musiała je usłyszeć.

– Trzeba było patrzeć w górę, Alys. To moje gniazdo, wtargnęłaś na mój teren.

Mówiąc to, Angelica wykrzywiła się jak Benedicta – nie ze smutkiem jednak. Była harda, nikczemna i przebiegła.

W szałasie pociemniało, jakby w górze gdzieś przemknęła chmura. Serce Alys owiał chłód. Angelica przyskoczyła do niej jednym susem. Przywarła twarzą do jej twarzy, ziejąc pustką.

Alys poczuła w ustach smak popiołu.

– Wiedziałam, że się zjawisz. Czekałam na ciebie. – Angelica skierowała wzrok na Benedictę. – Lecz nie sądziłam, że przyprowadzisz do mnie ją. Czyżbyś znowu mnie kochała?

– Zawarłam z nią układ – odrzekła Benedicta.

Angelica lustrowała Alys ogromnymi, czarnymi oczami. Obwąchiwała ją z grymasem. Alys zdawało się, jakby niewidzialne palce rozwarły jej pierś, sprawdzając, co się pod nią kryje. Opierała się więc całą sobą.

– Cóż takiego ci ona ofiaruje, siostró?

– Kres cierpień – odparła, uprzedzając Benedictę, Alys. – Benedicta nie chce dłużej żyć tak jak ty.

Angelica chwyciła Alys za gardło kościstą ręką i przyciągnęła do siebie blisko tak, że ich usta niemal się zetknęły.

– Powiedz, że kłamie, siostró. Tylko przytaknij, a z miejsca ją zabiję.

– Prosiłam, byśmy szły do Bestii razem, siostró – odpowiedziała Benedicta. – Błagałam, ale odmówiłaś. Wciąż łakniesz... A ja nie.

Angelica puściła Alys. Alys westchnęła głęboko. Angelica podeszła do Benedicty. Siostry stanęły twarzą w twarz jak dwa odbicia mrocznego widma. Angelica ujęła dłonie Benedicty, przyciągnęła je do serca.

– Opuściłabyś mnie na zawsze, siostró? Naprawdę byś mnie zostawiła? Opuścili nas wszyscy, lecz ty i ja trwamy, jesteśmy wieczne. Sama to przyznaj. Nie przemijamy.

Naraz Alys ujrzała siostry takie, jakie były kiedyś – rozmigotane, emanujące blaskiem. Zobaczyła tamte dziewczęta, które mknęły przez pastwisko jak na skrzydłach. Oto znów miały błyszczące sobie oczy i piękne twarze, okolone kaskadami czarnych włosów.

– Wróć do mnie – poprosiła Angelica. – Zamieszkamy tu, w naszym gnieździe, na wieczność. Nie zaznamy samotności, chłodu...

– My nie żyjemy, Angelico. Nie rozumiesz?! – Benedicta oderwała jedną rękę od serca Angeliki i wraz ze swoją podetknęła jej pod oczy. Dziewczęta znów przeobraziły się w kościste, szpetne zjawy. – Widzisz, do czego się doprowadziłyśmy? Spaliłyśmy się na popiół. Dla nas nie ma już życia, siostró. Jesteśmy martwe.

Angelica odsunęła się od Benedicty.

– To twoja sprawka! – Znów rzuciła się na Alys, ścisnęła jej gardło i nachyliła się do niej blisko, za blisko. Poprzedni zaskakujący atak

tylko wystraszył Alys, ale ten był znacznie groźniejszy. Angelica dobrała się do jej łęku i zaczęła go z niej wysysać.

„O nie” – pomyślała Alys. „Na to nie pozwolę!”

Zastąpiła więc strach ciemnością. Mrok rozlał się w jej ciele i miast krwi wypełnił żyły. Powietrze w płucach zmienił w dym. Poderwał ją z podłogi, uniósł.

Alys rozrastała się. Wtem zobaczyła Angelicę z góry... „Jeszcze przed chwilą byłam od niej niższa!” Bo Angelica nie przewyższała teraz Alys wzrostem. Tylko mała i kurczyła się przed nią. Więdnęła. Gdy jej koścista twarz marszczyła się, schła w oczach – Alys rosła w mrocznej ekstazie. Teraz Alys ścisnęła gardło Angeliki. Mocno. Nie słyszała nic, nawet bicia swego serca.

„A więc tego tak się obawiałam. Właściwie czemu?” – zapytała siebie Alys. „Czemu wzbraniałam się tak? Przecież... to cudowne! Bo to cud – wymazać wszelkie żale, a nawet smutne skojarzenia. Nic nie mam w sobie, a nic nie sprawia bólu. Nie mam powodu bać się, wybierać między złem a dobrem. Nic nie dręczy, nie ciąży, nie obarcza. Choć nie wiedziałam o tym, pragnęłam tylko tej chwili. Tylko ciemności, która wypełnia, koi gorycz. I... daje moc, o którą nigdy się nie posądzałam”.

Przymknęła oczy, wzdychając w uniesieniu.

„Angelica jest teraz taka mała. Ja jestem wielka”.

Runęła w dół. Gdy padając, poobcierała sobie ręce, zdumiało ją, jak jest świadoma swojej skóry, ciała, krwi, która znów zaczęła krążyć w jej żyłach.

Benedicta zepchnęła Alys z Angeliki. Ujmując Angelicę pod ramiona, pomagała jej się podnieść. Angelica – drobna jak dziecko, ale zgrzybiała jak staruszka – zaczęła rosnąć pod dotykiem siostry, aż zrównała się z nią wzrostem. Kiedy znowu stały się swymi odbiciami, spojrzały sobie w zapadnięte czarne oczy.

Angelica, gdy odzyskała tylko zwykłą postać, rozwarła oczy i chwyciła Benedictę za ramiona. Benedicta wybałuszyła oczy i rozdziawiła usta. Przywarła do niej – opierając się i naraz ją tuląc.

Angelica wysysała z siostry duszę. Patrzącą na to Alys sparaliżowało.

Nastąpił zwrot: Benedicta ścisnęła gardło Angeliki. Angelica rzuciła się do tyłu, Benedicta wciąż ją dławiła. Teraz to Angelica rozdziawiła usta. Tak szamotały się. Szarpały. Nagle Alys spostrzegła coś niepojętego, straszego tak, że zjeżyły jej się włosy. Czarny dym wydobywał się z ust pożeraczek – wysysały go z siebie, jakby przeciągając linę. Jedna słabła, gdy druga krzepła – to znów na odwrót.

Alys nie chciała, by to się skończyło, to znowu chciała. Gniazdo wypełnił odór gorszy dla niej od zgnilizny. Drzwi otworzyły się. „Dość, dłużej nie wytrzymam!” Miała ochotę wybiec stamtąd, umknąć, nie oglądać się za siebie...

Napierając z całych sił na Benedictę, Angelica wypychała ją z szalasu. „Już po wszystkim” – pomyślała Alys. „Zabije siostrę, wrzuci do oceanu, a wtedy zostaniemy tylko ja i ona. A potem tylko ja. Mroczna Alys. Bo zniszczę Angelicę. To pewne. Zginę, ale czy nie jest mi to przeznaczone? Czy kiedykolwiek mogłam o sobie decydować sama? Nie. Mój los był przesądzony, kiedy spotkałam te dziewczęta. Jestem skazana na półzycie aż do śmierci”.

Sylwetki sióstr odcinały się na tle szarego nieba. W dali snop światła przedzierał się przez chmury ponad wodą. Wstawało słońce. Benedicta ciągle walczyła z Angelicą, lecz opadała z sił, zaczęła się poddawać. Alys zauważyła to, spostrzegła to też Angelica.

Benedicta stawiała opór siostrze, ale ręce jej omdlewały. Znalazła się tuż nad krawędzią...

Gdy miała stoczyć się z podestu, Angelica pochwyciła ją

w ramiona.

– Siostro – szepnęła zbita z tropu Benedicta – pozwól mi odejść. Jestem taka wyczerpana. – Zabrzmiało to jak szelest zeschniętych liści.

Angelica nie patrzyła już na Benedictę z furją. Jej czarne oczy wyrażały teraz litość. Po chwili ona także się poddała.

Siostry objęły się, splatając się włosami, kończynami. Jak w pocałunku zaczęły się nawzajem wdychać.

Z ich ust wydobywały się smoliste kłęby dymu, zmieniając się nad nimi w obłok, który puchł i rozlewał się po niebie. Im więcej dymu wypływało z sióstr, tym mniej w nich było życia. Kurczyły się, szarzały, nikły.

Na oczach Alys obróciły się w popiół. Potem otoczył je i porwał wiatr znad oceanu. Włosy i skóra zetlały, zawirowały jeszcze w pyle liście i gałązki. Angelica i Benedicta przepadły.

Alys została na noc w gnieździe. Nie chcąc schodzić z drzewa po ciemku, musiała przespać się w kryjówce Angeliki i Benedicty – schronieniu sióstr przed światem, który był im obcy. Przykryta liśćmi i mchem, wdychała zapach ziemi. Otoczona wodą, wsparta o drzewo, zamknęła oczy i usnęła.

Rankiem zbudziło ją różowawe światło i łaknienie ludzkiego pokarmu. Marzyła o owsianym ciasteczku, jabłku i serze, schowanych w tobołku, który zostawiła pod drzewem Angeliki. „Matka mawiała, że głód to oznaka zdrowia”. Łzy napłynęły Alys do oczu. Na myśl o matce zatęskniła za domem. „Gdzie jest moje miejsce? Oczywiście przy Cianie. Przy Pawlu, Beti i przy dzieciach z Gwenith”. Wiedziała, że na nią czekają.

Alys zeszła z drzewa i ruszyła z powrotem przez urwisko. Niebo pojaśniało. Wciągała w płuca rześkie słone powietrze. Zjadłszy po drodze jabłko, pikantny ser i chrupiące ciasteczko, pomyślała, że są przepyszne. Oblizwała palce, przesunęła językiem po zębach. W ustach został jej smak owsa – nie popiołu. Poczowała się cudownie syta.

Stan ten nie trwał jednak długo. Kiedy zbliżyła się do jaskini Benedicty, znów ogarnął ją głód. Otchłań malała. Popiół na jej krańcach przeobrażał się w skalistą ziemię. „Jeszcze jałowa – pomyślała Alys – ale kiedyś pewnie coś na niej wyrośnie”. Usiadłszy nad otchłanią, stwierdziła, że już się jej nie boi. Rów zrastał się jak rana. Bez lęku wydobyła z tobołka ostatni suszony owoc. Chciała gryźć go pomału, lecz nie mogła. Aromatyczny, smakował tak wybornie, że pochłonęła go niemal w jednej chwili.

Gdy ogarnęło ją coś nieznanego. Nienazwanego dotąd.

„Szczęście. A więc tym jest. Radością z posiadania ciała, zmysłów. Świadomością, że ma się dokąd wracać. I bezwzględny, odwzajemniony kochaniem”.

Cień przemknął po ziemi, Alys podniosła oczy. Nad jej głową, łopocząc skrzydłami, zataczała koła Bestia. Choć nie patrzyła w dół, Alys poczuła, że chce, by ją zobaczyła. „Daje mi znak, że czuwa. Ciekawe, czy jeszcze się spotkamy. Ale to właściwie niekonieczne. Bo i tak pozostanie w moim sercu” – pomyślała pogodzona ze sobą Alys.

TU OPOWIEŚĆ SIĘ KOŃCZY

O powiedziała dzieciom z Gwenith wszystko. Jak z początku wcale go nie słyhać, aż raptem otacza ze wszystkich stron. Jak rozciąga się w bezkresną dal. Pominęła tylko to, że nie zanurzyła w nim jeszcze ręki.

Spojrzała na dzieci. Perlisty śmiech niósł się po brzegu i odbijał od spokojnej tafli morza. Ren trzymał za rękę Madoga, wskazując wodę.

– Patrz, tato! Jest takie, jak mówiłeś! Widzisz?!

Na oddalonej od brzegu wydmie Enid usypiała niemowlęta, które chichocząc, grzebały paluszkami w piasku.

Roztkliwiona Beti zachęcała Enid i Madoga do kąpieli:

– Idźcie. Ja i Pawł przypilnujemy szkrabów.

Pawł obiecał kiedyś Alys, że gdy wybiorą się nad morze, zostawi dzbanek w domu. Dotrzymał słowa, zawsze dotrzymywał.

– No już, dziewczyno! – wołał do niej teraz. – Zamocz stópkę!

Machając do siebie, śmiali się oboje.

Reszta dzieci baraszkowała przy brzegu. Jedne siedziały na mokrym piasku, uradowane, jeszcze wzbraniały się przed wejściem do wody. Inne znów psotnie pchały rodzeństwo w stronę fal. Pierwszy raz, odkąd Alys pamiętała, wyglądały jak dzieci. Szczęśliwe dzieci w przyjaznym świetle.

Alys zdjęła buty i skarpetki i zobaczyła swoje białe stopy w słońcu. Spojrzała na śniade stopy Ciana, podniosła wzrok na jego piwne oczy.

– Gotów? – spytała.

– Tak, cudna Alys. Zawsze jestem gotów.

Gdy powróciła, przyjął ją z otwartymi ramionami. Nie przestał czekać ani na chwilę. Tak jakby czekał na nią, odkąd się urodził.

Wziął ją za rękę i weszli do morza.

Alys pisnęła, gdy pierwsza zimna fala obmyła jej kolana. Pисnęła głośniej, stając po pas w wodzie. Złodowaciała, straciła dech, gdy nagle się rozgrzała – i coś ją uniosło. „Nie dotykam dna!” Mocno ścisnęła rękę Ciana, po czym stało się to znowu... Odrywając się od dna po raz drugi, puściła rękę chłopca, zerknęła na niego.

I się roześmiała.